

ZAKAZANE BIOGRAFIE

AMBER

ŚWIATOWY
BESTSELLER
NUMER 1

8 stycznia 2005

Bookseller

Poz.	Tytuł	Autor
1	Sickened	Gregory, Julie

Prawdziwa historia
tragicznego
dzieciństwa



Mama kazała mi chorować

JULIE GREGORY

»

ZAKAZANE BIOGRAFIE

*Mama kazała
mi chorować*

JULIE GREGORY

Przekład
Karolina Bober

&
AMBER

Tytuł oryginału
SICKENED
The Memoir of a Munchausen by Proxy Childhood

Konsultacja
dr n. med. JOANNA CIELECKA-KUSZYK

Redaktor serii
MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

Redakcja stylistyczna
ELŻBIETA NOVAK

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
RENATA KUK
MAGDALENA KWIATKOWSKA

Ilustracje
THE BANTAM DELL PUBLISHING GROUP

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza do własnej księgarni internetowej
<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © 2003 by Julie Gregory.
This translation published by arrangement with The Bantam Dell Publishing Group,
a division of Random House, Inc.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2005 by Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.

ISBN 83-241-2317-2

Ta książka nie jest fikcją literacką. Przedstawione w niej wydarzenia są prawdziwe, a wiele z nich zostało udokumentowanych. Większość imion i nazwisk osób spoza rodziny została zmieniona.

Przedmowa do wydania polskiego

Marna kazała mi chorować to prawdziwa i wstrząsająca historia życia dziewczynki, wychowywanej w rodzinie pełnej okrucieństwa i cierpienia. Autorka opisuje swoje dzieciństwo - lata przemocy fizycznej i psychicznej ze strony dorosłych oraz bezradność i cierpienie dziecka. Poza okrutnymi karami fizycznymi, matka świadomie zmuszała ją do opowiadania o nieprawdziwych objawach chorobowych w celu oszukania lekarzy i przejścia badań, operacji i leczenia.

Ta książka jest z jednej strony pełna bólu, z drugiej zaś nadziei i radości życia poprzez ukazanie możliwości wyrwania się z kręgu przemocy i powrotu do zdrowia. To fascynująca opowieść dla wszystkich czytelników, także dla profesjonalistów zajmujących się zawodowo problematyką społeczną, ukazuje bowiem słabe strony medycyny, w tym diagnozy medycznej i brak skuteczności w działaniach służb społecznych.

Opowieść Julie Gregory jest niejako „anatomią” rodziny, w której występuje tzw. zastępczy zespół Miinchhausena, szczegółowym, autentycznym opisem choroby znanej pod nazwą zespołu Miinchhausena. Nazwa choroby pochodzi od nazwiska XVIII-wiecznego polityka i żołnierza, niemieckiego barona Karla Friedricha von Miinchhausena, znanego ze swoich nieprawdziwych, zafałszowanych opowieści i zmyślnego bohaterstwa. W chorobie Miinchhausena pacjent wie, że jest zdrowy, ale udaje chorobę, żeby zwrócić na siebie uwagę lekarzy i uzyskać zainteresowanie swoją osobą, co w jego rzeczywistym życiu jest często niemożliwe. Chory z zespołem Miinchhausena jest w stanie dokonać samookaleczenia, żeby uwiarygodnić swoje objawy chorobowe.

Odmianą tej choroby jest tzw. zastępczy zespół Munchhausena, który polega na świadomym fałszowaniu objawów klinicznych i celowym wywoływaniu choroby u dziecka przez jego opiekuna dla osiągnięcia własnych korzyści.

Jest to jedna z najgroźniejszych form maltretowania dziecka, ponieważ jedną z najważniejszych trudności diagnostycznych tego zespołu jest niewiarygodna zdolność do oszukiwania lekarzy i personelu medycznego przez opiekuna dziecka. Jedynie wyobrażenia ogranicza możliwe objawy i choroby wywoływane przez matki.

Te czynniki wpływają na brak postawienia prawidłowej diagnozy, a w najlepszym przypadku na późne rozpoznanie zespołu Munchhausena.

Częstość współwystępowania tego zespołu u rodzeństwa szacuje się na około 39%, a czasami dopiero poważna choroba lub śmierć rodzeństwa przybliży rozpoznanie. Należy pamiętać, że zastępczy zespół Munchhausena może dotyczyć zarówno dzieci wcześniej zdrowych, jak i przewlekle chorych, co dodatkowo potęguje trudności diagnostyczne.

W rzeczywistości nie ma wiarygodnych danych statystycznych dotyczących występowania tego zespołu chorobowego na całym świecie. W Polsce, podobnie jak w innych krajach europejskich, uważa się, że cierpi z tego powodu około 3 na 100 000 dzieci, jednak prawdziwa liczba ofiar pozostaje tajemnicą mrocznej sfery relacji dorosły-dziecko.

W każdym przypadku stwierdzenia dowodów zastępczego zespołu Munchhausena lekarz powinien zgłosić sprawę do sądu rodzinnego i sądu dla nieletnich lub bezpośrednio do prokuratury w celu zapewnienia bezpieczeństwa dziecka i wdrożenia procedur prawnych.

dr n. med. Joanna Cielecka-Kuszyk
prezes Fundacji Mederi - pomóżmy dzieciom

Wstęp

Zastępczy zespół Munchhausena (zespół Munchhausena per procura) może być najbardziej złożoną - i tragiczną w skutkach - spośród znanych obecnie form maltretowania. Definiuje się go jako wymyślanie lub wywoływanie dolegliwości fizycznych i emocjonalnych przez opiekuna u zależnej od niego osoby. W większości przypadków sprawcą jest matka, a ofiarą jej własne dziecko. Baron Karl von Munchhausen był postacią historyczną. Ten XVIII-wieczny oficer i podróżnik zasłynął fantastycznymi opowieściami ze swoich wypraw. W 1951 roku brytyjski lekarz wprowadził termin „zespół Munchhausena”, opisujący osoby, które symulują lub wywołują u siebie chorobę, żeby zyskać współczucie i pomoc, a także by zapanować nad innymi ludźmi. Zastępczy zespół Munchhausena dotyczy osób, które z tych samych powodów wpędzają w choroby kogoś innego, „zastępcę”. Według statystyk co roku w Stanach Zjednoczonych stwierdza się 1200 nowych przypadków; w innych krajach liczba ta jest proporcjonalna do liczby ludności. Jednak znacznie więcej przypadków pozostaje niezgłoszonych i niewykrytych z powodu zakamuflowanej natury znęcania się. Niedawne badania wykazują, że w 25 procentach wykrytych przypadków zastępczego zespołu Munchhausena rodzeństwo maltretowanego dziecka już zmarło - najprawdopodobniej uśmiercone przez sprawcę. Dopiero gdy identyczne objawy powtórzą się u drugiego, trzeciego czy czwartego dziecka w rodzinie, specjaliści i przedstawiciele władz są wreszcie zmuszeni dostrzec, że macierzyństwo może się przekształcić w dziwną formę maltretowania, która, w przeciwieństwie do bicia i wykorzystywania seksualnego, wymyka się wszelkiej kategoryzacji. FBI od kilku lat jest

wyczulone na to zaburzenie, jednak zastępczy zespół Munchhausena wciąż pozostaje tragedią, która rozgrywa się w ukryciu.

Z obawą zacząłem się zajmować tym zagadnieniem. Pomimo zainteresowania zespołem Munchhausena bałem się wejść w trudną i przygnębiającą problematykę znęcania się nad dziećmi. Jednak, jako „specjalista od Munchhausena”, musiałem poznawać różne formy tej patologii; oznaczało to aktywne zaangażowanie w działania na rzecz ochrony dzieci, bo maltretujące matki zawsze wypierają się swoich czynów, nawet gdy potwierdza je nagranie wideo. Obecnie często jestem proszony o ekspertyzy sądowe w sprawach przypadków zastępczego zespołu Munchhausena; sędziowie i ławy przysięgłych przeważnie wątpią, że w ogóle może istnieć taka forma maltretowania. Opisuję to zjawisko w swoich książkach, piszę artykuły i rozdziały do publikacji innych autorów, odpowiadam na tysiące pytań, które docierają do mnie telefonicznie, pocztą lub pocztą elektroniczną. Od ponad 10 lat codziennie zajmuję się przypadkami zastępczego zespołu Munchhausena. Serce wciąż mi krwawi na widok nieszczęśliwych ofiar.

Pewnego dnia, szukając linków do uzupełnienia swojej strony internetowej, natrafiłem na kogoś, kto przedstawił zastępczy zespół Munchhausena z nowej perspektywy. Julie Gregory na swojej stronie w sieci opisała własną tragedię, uzupełniając poruszający tekst zdjęciami. Przeczytałem, że chce napisać książkę, więc bardzo gorąco zachęciłem ją do tego w e-mailu. Tak zaczęła się nasza znajomość.

Książka Julie Gregory jest bezprecedensowym opisem przeżyć osoby maltretowanej przez matkę z zastępczym zespołem Munchhausena. Choć na ten temat powstało już ponad pięćset książek i artykułów klinicznych, do tej pory nie było wśród nich żadnej relacji ofiary. Julie Gregory w dzieciństwie nie bawiła się z kolegami; dorastała w dziwnym, jałowym świecie szpitali i gabinetów lekarskich. Jej życie obracało się wokół niezliczonych wymyślonych chorób, a opiekunowie społeczni oraz lekarze, którzy mogli pomóc, bezwiednie przyczynili się do okaleczenia jej ciała i duszy. Lekarze zazwyczaj - choć nieświadomie - są współnikami osoby z zastępczym zespołem Munchhausena, ponieważ bezwarunkowo wierzą w to, co mówi im pacjenci i rodziny. Nie da się zaprzeczyć, że rodzice najczęściej bardzo pomagają w postawieniu diagnozy. Dlatego lekarz musi całkowicie zmienić swoje nastawienie, by zakwestionować słowa matki - która twierdzi, pomimo normalnych wyników badań dziecka, że żadne lekarstwa nie skutkują i domaga się kolejnych badań - i zauważyć, że w tym przypadku rodzic nie pomaga, lecz szkodzi. Oczywiście najbardziej przekonujące są

kłamstwa zawierające trochę prawdy: dziecko rzeczywiście może mieć objawy chorobowe, tylko ich przyczyna zwykle pozostaje tajemnicą.

Matka z zastępczym zespołem Munchhausena potrafi z wielką bezwzględnością i okrucieństwem dążyć do osiągnięcia emocjonalnej satysfakcji z choroby dziecka. Nie musi być wykształcona - tylko przekonująca. Gdy widzi, że zainteresowanie lekarzy jej „dramatem” maleje, po prostu zmienia miejsce: idzie do innego szpitala, zgłasza się do nowej izby przyjęć. Takie matki często szukają informacji medycznych w literaturze fachowej i Internecie, żeby jeszcze lepiej przygotowywać się do występów, które zastrydziłyby najlepsze aktorki.

Czytelnik może odnieść wrażenie, że Julie, dorastając, dobrowolnie zaczęła razem z matką prowadzić grę, mającą na celu zmylenie lekarzy. Czy naprawdę tak było? Nic podobnego. Po prostu nie miała siły. To niemożliwe, żeby dziecko sprzeciwiło się własnej matce, która stworzyła mu odrębny, odizolowany świat. Wiemy, że nawet dorosłe ofiary nie zawsze podają prawdziwe źródła swoich chorób ze strachu przed odtrąceniem lub karą. U ofiar takiego maltretowania można też zauważyć syndrom sztokholmski, jak w przypadku Patty Hearst, która broniła swoich porwaczy. Dzieci często chronią maltretujących je rodziców i zatajają prawdę przed pracownikami służb medycznych i opieki społecznej, którzy mogliby im pomóc.

Ta książka nie jest opisem wspomnień przywołanych metodą hipnozy lub przez naprowadzające pytania psychoterapeuty, lecz wydarzeń, których Julie nigdy nie zapomniała: to błogosławieństwo i przekleństwo razem. Czytając obszerną dokumentację medyczną, uświadamiamy sobie, że lekarze bez zastrzeżeń przekształcili kłamstwa matki w fakty.

Julie Gregory chce opowiedzieć ważną historię. Wykazała się ogromnym hartem ducha. Ma szczęście, że przeżyła. Philip Yancey napisał: „Życie nie jest zadaniem do rozwiązania, lecz pracą do wykonania; w pracy tej możemy dobrze wykorzystać zło, którego wolelibyśmy uniknąć”. Odporność i wytrzymałość Julie w tych okolicznościach jest wprost niewyobrażalna. To zadziwiające, że nie utraciła własnej tożsamości i jasności umysłu; że potrafi o tym wszystkim mówić. Mam nadzieję, że pisząc ten poruszający, piękny pamiętnik, zdołała uczyć choć część nawiedzających ją demonów z przeszłości i że pomoże ofiarom zastępczego zespołu Miinchhausena wyrwać się z rąk swoich oprawców.

Myślę, że książka ta będzie jak iskra, która zelektryzuje świat. Dzięki niej wiele osób dowie się o zastępczym zespole Munchhausena; lekarze i - całą zresztą personel służby zdrowia - członkowie specjalistycznych organizacji,

pracownicy opieki społecznej już nigdy nie będą ignorować takich tragedii. Ten zapis straszliwych przeżyć z dzieciństwa jest wielkim triumfem ludzkiego ducha.

dr Marc D. Feldman
Wydział Psychiatrii i Neurologii Bahawioralnej
Uniwersytet Stanu Alabana, Tuscaloosa

Najbardziej nie lubiłam golenia. W końcu ile włosów na klatce piersiowej może mieć 12-letnia dziewczynka? Mimo to nakładali krem i przeciągali nową, jednorazową maszynką między moimi małymi piersiami. Musiałam mieć gładką skórę bez włosów, żeby białe przyssawki elektrod dobrze przylgnęły do punktów zaznaczonych wokół mojego serca i zarejestrowały jego pracę. W czasie tych przygotowań wbijałam wzrok w chropowate białe panele sufitu i wyobrażałam sobie, że widzę tam swój pokój, odwrócony, daleko od naszej zaśmieconej przyczepy, daleko od szpitala - zawieszony w nieskazitelnej pustce.

Zapach kremu do golenia sprowadza mnie z sufitu na ziemię: tej samej marki używał tata. Co noc, tuż przed świtem, męczyły go nudności, więc czołgał się do łazienki i próbował wykrztusić środek chemiczny Agent Orange. Czasami myślałam, że ten głośny charkot wydobywa się z ust postaci, które mi się śniły; na kilka nieprzytomnych chwil sen stapał się z jawą. Zwykle tata golił się, kiedy już zwymiotował.

Pielęgniarka z gabinetu EKG chyba rozumie mnie bez słów, bo wyciska na rękę ogromną górę kremu. Jest go tyle, że gdy nakłada mi 2-centymetrową warstwę na klatkę piersiową, jej dłoń w ogóle nie dotyka mojej nagiej skóry.

Kiedy ojciec wreszcie wypluł Agent Orange, opierał się o framugę drzwi i oznajmiał:

- Puściłem pawia, Sissy. Rozumiesz? Pawia! Paaaawia!

Potem rechotał i ocierał usta grzbietem mięsistej dłoni.

Pielęgniarka bierze nową, jednorazową maszynkę do golenia z niebieską rączką i przesuwa ją płynnie po moim mostku, wycinając gładką, różową ścieżkę.

Co innego miałam robić o siódmej rano, jeśli nie śmiać się z mojego zwalistego, ociężałego ojca, który udawał, że drzwi łazienki to latarnia, opierał się o nie jak półprzytomny pijaczyna i bełkotał o puszczeniu pa-wia?

Wreszcie koniec. Białe elektrody, posmarowane przezroczystym, lepkiem żelem, przykleiły się już w sześciu różnych punktach. Wychodzące z nich przewody łączą się w jedną, większą rzekę kabli, która płynie spod mojego mostka w dół brzucha i znika w rozporoku spodni, jakbym miała tam scho-wany nowoczesny odbiornik płatnej kablówki. Elektrody z gumową wy-ściółką przesyłają dane do magnetofonu, który leży w ładnej, prostokątnej, skórzanej kaburze. Noszę ją jak torebkę na pasku przewieszonym przez ramię. Magnetofon nagrywa kolejne uderzenia serca, w których rytmie upływa moje 12-letnie życie.

Zawsze byłam chora. Chuda jak tyczka i delikatna jak suflet z mikrofa-lówki; wciąż robiły mi się siniaki i szybko słabłam. W szkole dzieciaki podchodziły do mnie i pytały wprost, czy mam anoreksję. Anoreksji nie miałam, ale byłam chora. Mama odchyłała się w tył, patrząc na mnie uważnie i zastanawiając się, co jest ze mną nie tak. Miałam nie tylko chorobę serca. Dręczyły mnie różne dolegliwości, jak wielki krwotok, zalewający organizm przenikającymi się falami. Poszukiwanie przyczyny mojej sła-bości przypominało zdejmowanie przezroczystych łupin cebuli. Gdy by-łam już dość duża, by samodzielnie obierać cebulę, przy każdej łupinie płakałam.

Moje życie zaczęło się w chorowitej macicy chorowitej matki, która, nie jedząc, głodziła także mnie. Gdy mnie urodziła, miała silną anemię i zabu-rzenia wzroku, spowodowane zatruciem. Później wyjaśniała, że z powodu nadciśnienia krew nie dopływała jej do oczu. Urodziłam się przedwcze-śnie; ważyłam półtora kilograma i wyglądałam jak przezroczyste, błysz-czące, niewyklute pisklą. Kiedy dali mi klapsa, nawet nie zapłakałam. Myśleli, że nie żyję. Lekarz chwycił mnie za kostki, spojrzął na moje sine ciało, wiszące głową w dół, i zauważył:

- O rany, jakie ma długie stopy!

Włożyli mnie do inkubatora. Jak wszystkie inne embriony czekałam, aż będę mogła przejść z tej bańki do prawdziwego świata. Od tamtej pory

stan mojego zdrowia cały czas balansował na krawędzi. Moje życie można było podsumować słowami: „Ustalmy wreszcie, co jest temu dziecku”.

Od dzieciństwa cierpiałam na nawracające zapalenia górnych dróg oddechowych; głośno bekałam, co kłóciło się z moim kruchym wyglądem; męczyły mnie nieznośne bóle głowy; obrzękłe migdałki prosiły o usunięcie, gdy tylko powiedziałam: „Aaa”; z powodu skrzywionej przegrody nosowej musiałam oddychać ustami; najróżniejsze alergie na zawsze pozbawiły mnie przyjemności jedzenia wielu produktów z czterech głównych grup pokarmowych. Gdy kardiologzy byli już blisko wykrycia mojej tajemniczej choroby, mama wkraczała na nowoczesny oddział energicznym krokiem sierżanta.

- Posłuchajcie, do cholery, mała jest chora, jasne? Popatrzcie tylko na nią! Jeśli mi umrze, bo nie umiecie powiedzieć, co jej jest, to, jak Boga kocham, pozwę was i oskubię co do centa!

Miała napiętą twarz i mrużyła oczy, a na jej dolnej wardze zebrała się kulka białej, gęstej śliny, jak zawsze w chwilach zdenerwowania. Jej głos ścigał każdego lekarza, który powiedział, że przeprowadził już wszystkie możliwe badania i nic więcej nie da się zrobić; tropił go korytarzami, przecinał ciszę szpitalnego holu.

- Jezu Chryste - syczała, wracając do gabinetu. - Nie do wiary, co za niedouczony palant!

- Nie martw się, mamu. Wszystko w porządku. Znajdziemy innego lekarza - pocieszałam ją, obiecując, że będziemy próbować dalej.

- Słuchaj, chcę ci pomóc, poświęcam życie, żeby się dowiedzieć, co z tobą jest nie tak, do diabła ciężkiego! Przestań więc to psuć i nie udawaj w szpitalu, że wszystko gra. Pokaż im, jaka jesteś chora, i znajdziemy wreszcie przyczynę, okej?

- Okej.

Mieszkaliśmy razem i spędziliśmy ze sobą wszystkie dni - ja, mama, tata, mały Danny, a później także przygarnięte dzieci - ale tata nie wiedział, że w szpitalu gołą mi klatkę piersiową. Chodził tam rzadko, na rozkaz mamy - zawsze w „przyzwoitym ubraniu” i białych butach, wyjętych z pudełka - tylko wtedy, kiedy trzeba było okazać ojcowskie wsparcie. Przez resztę czasu oglądał kolejne powtórki serialu *M*A*S*H*, splatając na brzuchu poczerwieniałe od rozłupywania pistacji paluchy. Wszędzie leżały puste skorupki.

Nasza przyczepa, podwójnej szerokości, stała na końcu piaszczystej drogi w zalesionym rejonie Ohio: w tej dzikiej części kraju, porośniętej bujną

zielenią, z wysokimi, stromymi wzgórzami. Ich widok zapierał dech w piersi, jak w *Wyzwoleniu*. Mogłabym przysiąc, że w szumie wiatru słyszałam melodię z tego filmu, graną na bandžo.

Moi rodzice przywieźli tu wizerunek ukrzyżowanego Jezusa, namalowany na czarnym aksamicie, z wypukłą strużką krwi, wypływającą spod korony cierniowej. Był z nami w Arizonie i w sześciu kolejnych miejscach, gdzie mieszkaliśmy, zanim osiedliśmy przy tej przeklętej Burns Road.

W dużym pokoju stała kanapa z fotelami, wczesna imitacja stylu osadniczego. Portret Jezusa wisiał na pomarańczowej, welurowej tapecie, poprzecinanej ciemniejszymi pręgami w miejscach, gdzie między deskami ściany były szpary. Po podłodze, jak falujące wodorosty, walały się pasma lepkiego brudu (przypominające wymieszany z kurzem miód). Na podwórku, w parach i grupkach, stały betonowe figurki zwierząt gospodarskich: białe pisklęta, miniaturowe krowy z różowymi wymionami, koguty zalecające się do kur, osioł w sombrero. Gdy wyjeżdżałyśmy do miasta, do lekarza, mama zawsze rozglądała się za nowymi eksponatami do swojej podwórkowej kolekcji.

Pamiętam tatę z tamtych czasów. Wyglądał jak słoń morski: był duży, ciastowaty, gładko ogolony, jakby ktoś właśnie przeciągnął go na rozkładanym fotelu przez myjnię samochodową. Naga, biała skóra napinała się na ogromnym brzuszysku jak warstwa glinki garncarskiej. Nie słyszał. Nie widział. Niewiele mówił. W ciemnym pokoju w naszej przyczepie prawie nie było słyhać jego głosu - oprócz sporadycznych wybuchów śmiechu z żartów Sokolego Oka i kapitana Hunnicuta.

Pewnego wieczoru, gdy miałam siedem lat i już przysypiałam w łóżku, tata ryknął:

- Siiiissy! Siiiissyy!

Zerwałam się na równe nogi, myśląc: pali się! - i wybiegłam do przedpokoju. Z trudem łapałam równowagę, ślizgając się w skarpetkach po podłodze.

- Zrób mi grzanekę, dobra? - Tata leżał z rękami splecionymi na piersi, jego chude łydki spoczywały na podnóżku fotela. Wyglądał jak żółw z artretyzmem. Nawet nie oderwał wzroku od telewizora.

Nie licząc wyjazdów do lekarzy, zwykle siedzieliśmy w tej nędznej przyczepie na końcu piaszczystej drogi. W rzeczywistości byliśmy zupełnie inni, niż udawaliśmy poza domem. Zachowałam zdjęcie z ferii nad Niagarą, gdy miałam około 11 lat, a mój brat tylko cztery. Na fotografii siedzimy w drewnianej beczce, która wygląda tak, jakby staczała się ze spienionego

wodospadu. Nasze uśmiechy są równie sztuczne jak woda wirująca w tle. Jestem naturalną blondynką marki Clairol, mam nowiutkie, pastelowe ubranie prosto z domu towarowego JCPenney i promieniuję szczęściem.

Szczęście to jednak pojęcie względne, gdy ma się 12 lat i siedzi w pełnym chromowanego sprzętu gabinecie - ciało pokrywa gęsia skórka, a szorstka kartka papieru wciśnięta jest pod spoconą pachę. Opinie lekarzy docierały do mnie jak szmer wiatru znad wzgórz. „Lekka tachykardia, do (ego może jeszcze marfanoidalny zespół wiotkości stawowej. Dystroficzny wygląd... ” Nigdy nie udało się wykryć nic na tyle groźnego, żeby postawić ostateczną, jasną diagnozę. Lekarze nie przestawali jednak szukać. Zmuszała ich do tego mama, która była pewna, że przyczyna choroby leży właśnie w moim sercu. Matka wie takie rzeczy. Przecież to ona widziała, jak robiłam się popielata na twarzy, ona mierzyła mój nierówny puls, ona patrzyła, jak chudnę i wyglądam jak szkielet obciągnięty skórą, jednocześnie szybko rosnąc. Jej energia pchała nas do przodu, kazała dalej szukać wyjaśnienia, które na pewno było blisko, pod naszym nosem, czekając, aż je ktoś zobaczy. Pod wieloma względami matka miała rację. Tylko że mój czas mógł się kończyć, więc gdy lekarze nie zgadzali się na przeprowadzenie kolejnych badań, zabierałyśmy się, cholera jasna, z tego szpitala, i szukałyśmy innego doktora, takiego, co to zna się na rzeczy.

tylko broń, której miał pełno w całym domu. Matka, Madge, pochodziła z klanu z Wirginii Zachodniej, w którym bracia sypiali z siostrami, czego skutkiem były zezowate dzieci. Sandy od czasu do czasu zostawiano samą z mężczyznami, którzy robili jej straszne rzeczy w ciemnej piwnicy. Ojca kolekcjonera broni zastąpił pewnego dnia inny facet wymachujący pukawką - tylko że ten nowy miał odznakę. Woził Sandy na swoim motocyklu, obejmując ją ramieniem i kładąc dłoń na jej gołej nodze. Zabierał ją na ryby nad stawy, gdzie rosła wysoka trawa, a nieliczni wędkarze odwracali wzrok. Dwa lata później Sandy wróciła ze szkoły i zobaczyła, że jej nowy tata wsadził sobie pistolet w usta i zastrzelił się na kanapie w pokoju dziennym.

Madge skończyła 10 klas i nie przepracowała ani jednego dnia w życiu. W domu prawie nigdy nie było nic do jedzenia. Sandy nie dostawała pieniędzy na lunch; w wieku 15 lat była wycieńczona z niedożywienia. Pewnego dnia szorując podłogę, zemdląła. Trafiła do szpitala. Leżała w łóżku przez cienkie prześcieradło, którym ją przykrywano, było widać kolce biodrowe - i jadła trzy posiłki dziennie. Gdy odzyskała siły na tyle, żeby można było ją wypisać, Madge dała ją Smokeyowi, który miał w pobliżu farmę i konie, więc mógł się zająć Sandy równie dobrze jak własnymi zwierzętami. Moja matka weszła do jego przyczepy z entuzjazmem dziewczynki, która wybiera się do miasta, zwabiona obietnicą, że dostanie własnego konia. Zaczęła życie z mężczyzną. Inaczej by nie umiała.

Mijały lata, a Sandy wciąż była przywiązywana do koła: biały skórzany strój, uśmiech modelki. Kruczoczarne włosy z przedziałkiem pośrodku, splecione w warkocze jak u Indianki, podkreślają, że wśród jej przodków byli Indianie Cherokee, po których odziedziczyła wystające kości policzkowe i czerwone, pełne usta. Biegnie obok konia, który wchodzi w pełny galop, łapie jego długą, powiewającą grzywę i wskakuje na siodło z wdziękiem pantery, po czym ostrożnie wstaje, utrzymując równowagę. Widowie biją brawo. Koń wciąż galopuje, a ona wsuwa się pod jego brzuch i wyciąga rękę w triumfalnym geście, ta-da! Ten numer nazywał się Rosyjska Jazda Śmierci. Przykuła uwagę publiczności i pierwszy raz w życiu spotkało ją coś więcej niż tylko ból.

Pewnej mroźnej zimy w Ohio Smokey rozchorował się jak co roku, a Sandy miała widzenie. Poza latem, gdy wyjeżdżał z końmi w trasę za Grand Ole Opry, dużo pracował w pralni chemicznej Swan, wdychając parę z chemikaliami. Każdej zimy chorował. Chociaż bardzo się męczył i kasłał krwią,

żadna siła nie zaciągnęłyby go do jakiegoś tam doktora. Nie pomogły nalegania Sandy. Smokey zawsze leczył się pepto-bismolem i nie było powodu, żeby to zmieniać. Pewnego ranka, przed świętami, gdy po przebudzeniu miał twarz koloru pomyj, wysłał Sandy do miasta po ten lek. Pieczenie w klatce piersiowej to na pewno wynik zwykłej niestrawności. Sandy wsiadła więc do samochodu i pomyślała, że chciałaby wyjechać na zawsze. Oczyma duszy widziała zimnego, sztywnego Smokeya, z twarzą wykrzywioną w grymasie bólu. Raz już weszła do domu i znalazła martwego mężczyznę; nie chciała, żeby się to powtórzyło. Jeździła po krętych, wiejskich drogach, gorączkowo zastanawiając się, kogo wezwać na pomoc. Ale miała tylko Smokeya. Gdy po kilku godzinach wróciła do domu, Smokey stał na zwirowym podjeździe, wściekły jak cholera, i wrzeszczał, że świąteczna kolacja będzie za późno. Poszli spać około dziesiątej wieczorem. Po półgodzinie snu Smokey nagle usiadł, wydał z siebie rozdzierający krzyk, dostał drgawek i padł martwy na poduszki.

Sandy zostały konie, rachunki do zapłacenia, nowe ranczo obciążone hipoteką i mnóstwo rzeczy: uprząże, siodła, koce i zgrzebła. Chociaż mogłoby się wydawać, że jej małżeństwo ze Smokeyem było piekłem, ona naprawdę go kochała. Traktował ją lepiej niż wszyscy inni mężczyźni, których znała, choćby tylko dlatego, że nigdy jej nie bił. Teraz, kiedy go straciła, nie miała ubezpieczenia, pieniędzy, pracy ani rodziny. Sprzedała konie i koło do rzucania nożami, siodła i uprząże, żeby kupić trumnę dla człowieka, na którego grób nikt nigdy nie przyjdzie. Sandy stała sama na pogrzebie Smokeya w kaplicy, jęcząc nad jego ciałem, aż przedsiębiorca pogrzebowy wyprowadził ją po upływie opłaconego czasu. Miała wtedy 26 lat.

Gdzieś po drugiej stronie miasta mieszka uśmiechnięty, chudy 19-latek, który niedawno uciekł z wojny w Wietnamie. Z powodu pewnych spraw trafił do szpitala wojskowego. Jego twarz zawsze ma taki sam wyraz, jakby zapisały się na niej lata bicia przez ojca, który był bardziej zainteresowany uprawą pomidorów niż własnymi dziećmi. To wyraz stałej czujności. Gdyby ktoś przyglądał mu się zbyt uważnie lub zbyt długo, byłby to znak, że wie coś, czego nie powinien wiedzieć. A wtedy następuje walka lub ucieczka. Zwykle walka. Taki był w Wietnamie, gdzie zatruł sobie płuca oparami środka chemicznego Agent Orange, a potem przez kłęby dymu patrzył na śmierć swojego kolegi ze szkoły średniej. Trzymał w dłoniach zakrwawioną głowę chłopaka i szlochał. Cztery miesiące później wyjechał,

czując cichy szmer w głowie. Opuścił oddział psychiatryczny /. diagnoza: lekka schizofrenia paranoidalna. To mój tata, Dan Gregory Pierwszy. W sumie spędził w Wietnamie zaledwie kilka miesięcy.

Sandy i Dan natrafili na siebie wkrótce potem, na parkingu przy stacji benzynowej, gdzie on pracował. Rzucili się na siebie, jakby jakiś wielki głód trawił ich dusze. Sandy podjechała zatankować na stację na rogu Lane i Sullivan; całkowicie odmieniła swoje życie, prosząc mechanika, żeby sprawdził poziom oleju. Mój ojciec wszedł do jej auta i już nie wysiadł. Po trzech miesiącach postanowili być razem już na zawsze. Tata chciał katolickiego ślubu. Ksiądz poprosił, żeby Sandy usiadła, i powiedział:

- Zdajesz sobie sprawę, że ten człowiek to wariat, moje dziecko? Wariat.

Później mówiła, że nie wiedziała o jego pobycie na oddziale psychiatrycznym i że 19 lat z nim wiele ją nauczyło. Zabawne: spędziła z Danem tyle lat, ile centymetrów miał każdy z noży, którymi rzucał w nią Smokey.

No właśnie. Widziałam dokumenty ze szpitala, gdzie napisano, że mój ojciec jest chory psychicznie; matka często mi mówiła, że to wariat, i próbowała dociec, dlaczego mu odbiło. Jednak po latach, gdy już odeszłam z domu, wspominam przeszłość i zastanawiam się, czy kobieta, która jest moją matką, nie jest bardziej szalona niż mój ojciec - tylko że nie potwierdzają tego żadne papiery.

Pierwsze wspomnienia medycznej gehenny zaczynają się od czasów, gdy przenieśliśmy się do Arizony, żeby być bliżej babci Madge, matki mojej matki. Miałam wtedy trzy lata. Moje cienkie, jasne włosy koloru banana zawsze wiązano w koński ogon. Cieszyłam się beztrudnym życiem dziecka: jeździłam na wrotkach, z poduszką przywiązaną do tyłka, smażyłam jajka na chodniku w upalne południe w Phoenix, uczyłam się hiszpańskich przekleństw od sąsiada, małego Meksykanina, i odwiedzałam babcię, która mieszkała przy końcu naszej ulicy.

Babcia Madge była już wtedy odrodzoną chrześcijanką i uczyła dzieci w szkółce niedzielnej. Nosiła czapkę z narysowaną uśmiechniętą buźką, pasującą do jej pogodnej osobowości. W gorące popołudnia zabierała mnie nad jezioro, na ryby. Jechałyśmy drogą przez góry, których wierzchołki spowijał smog, zawsze unoszący się nad Phoenix i rozpraszający się dopiero nad pustynią. Gdy docierałyśmy na najwyższy szczyt, Encino Mountain, babcia parkowała swojego sedana przy piaszczystej drodze i, osłaniając oczy dłonią, szukała w górach Jezusa. Gdy tylko go spostrzegła, brała mnie na kolana, żebym, wychylona przez okno, także mogła nacieszyć się objawieniem.

- Widzisz go, Klejnociku? - Wskazywała pomarszczonym palcem. - Jest tam. - Mrużyła oko, jakby patrzyła przez celownik strzelby. Czasami babcia Madge widziała Jezusa modlącego się na klęczkach, czasami stojącego, z Biblią w dłoniach. Zdarzało jej się uronić kilka łez ze wzruszenia i zachwytu nad Jego pięknem. Potem znów energicznie pokazywała mi kierunek palcem. - Nie widzisz go, Sissy? Jest tam, tam!

Nie, babciu, chyba nie widzę. Ale babcia Madge tak się denerwowała moim brakiem spostrzegawczości, że zaczęłam opisywać Jego ubranie, przypominając sobie święte obrazki, które oglądałam w szkółce niedzielnej.

- Och, babciu, czy to on, w brązowej szacie? Z bródką? Chyba widzę.

Babcia aż dygotała, kiedy opisywałam jego rzemykowe sandały. Ale nagle chwyciła mnie za ramiona i gwałtownie obracała, tak że znajdowałam się w polu rażenia jej nieświeżego oddechu.

- Naprawdę widziałas tam Jezusa? - pytała. - Chyba nie kłamiesz, co? Bo kłamcy idą proooooo do piekła. - Słowo „prosto” wydawało się dobiegać z jakiejś czarnej, bezdennej czeluści.

Babcia Madge złościła się na mnie tylko wtedy, gdy kłamałam, że widziałam Jezusa na szczycie Encino Mountain, blisko przemysłowych przedmieść Phoenix. Zaczęłam więc dostrzegać go trochę wcześniej. Zapamiętywałam ze szkółki niedzielnej szczegóły jego wyglądu i wmawiałam sobie, że naprawdę go widzę. Mogłabym przysiąc, że skała, którą wskazywała mi babcia palcem, to naprawdę brodaty mężczyzna pogrążony w modlitwie.

Schodziłyśmy nad jezioro, siadałyśmy na gładkich skałach i łowiłyśmy oślizgłe samogłowy. Nazywała je słonecznymi rybami, bo lśniły w promieniach słońca, igrających na jeziorze. Zachowało się moje zdjęcie z tamtego czasu: stałam na swoich koślawych nóżkach, zachwycona i uśmiechnięta. Nad głową trzymałam wędkę z rybką trzepoczącą się na końcu żyłki. Zawsze uwalniałyśmy złowione ryby. To zresztą były moje ulubione chwile. Po kolei podawałam rybki babci, żeby zdejmowała je z haczyka, a potem kucałam nad brzegiem jeziora i patrzyłam, jak odpływają. Gdy któraś unosiła się brzuchem do góry, modliłam się do Jezusa, żeby nic jej nie było. Babcia, wyjmując haczyk z boku rybich pyszczków, zawsze mówiła, że wszystko jest w porządku. Miałam nadzieję, że się nie myli.

Kiedy słońce zeszło trochę niżej, powoli zbliżając się do zwierciadła wody, wsiadałyśmy z babcią do samochodu, wracałyśmy do miasta i fundowałyśmy sobie stłuczkę.

Nigdy nie stało się nic naprawdę poważnego. Czasami stuknęła jakiś samochód przednim zderzakiem, czasami tylnym, zawsze przy niewielkiej prędkości. Zwykle ofiarą padały auta starszych ludzi. Jak samochodziki w lunaparku, tylko że prawdziwe. Czasami mówiła:

- Już, Klejnociku.

Na ten sygnał przykucałam i chwyciłam się kłamki drzwiczek, zaciskając oczy. Zwykle celowała w to, co czerwone: światła stopu. Gdy tylko

walnęła w inny samochód, wyskakiwała ze swojego auta i wdawała się w rozmowy z gapiami, którzy już zaczęli się schodzić.

Ja niezdarnie wyłaziłam z samochodu (babcia zawsze przechylała się nad siedzeniem i otwierała mi drzwiczki od wewnątrz, zanim sama wysiadła) i błąkałam się w tym całym zamieszaniu. Zwykle ktoś zauważał mnie na miejscu wypadku, stojącą pośrodku skrzyżowania, jakbym była z zupełnie innej bajki. Brał mnie na ręce i zadawał mnóstwo pytań. Potem zanosił mnie do 7-Eleven, sklepu z artykułami wędkarskimi lub swojego domu. Tam czekałam na przyjazd mamy.

Babci nigdy nie zabrano do szpitala; nigdy nie odniosła poważnych obrażeń. Powodowała wypadki, żeby pogadać sobie z ludźmi. Stojąc na środku ulicy, grzebała w swojej wielkiej białej torbie ze skaju - kładła ją na nodze, opartej o koło samochodu - szukając portfela. Pokazywała przechodniom zdjęcia swojej 4-letniej wnuczki, która była z nią i której zniknięcia nikt nie zauważył.

Szczęście mojej babci na miejscu zdarzenia nigdy nie trwało wiecznie. Funkcjonariusz stawał przed nią jak kamienny posąg i prawił jej kazanie na temat niebezpieczeństwa, jakie wywoływała ciągłymi kolizjami. Babcia uśmiechała się do niego dobrotliwie, sama wsiadała do radiowozu i kładła sobie na kolanach Biblię w białej okładce. Gładziła ją palcami jak perskiego kota. Babci zabrano prawo jazdy, więc nie mogła już jeździć ze mną na wycieczki samochodowe, ale nadal wpadała wieczorami, żeby mnie popilnować, kiedy rodzice wychodzili.

Gdy mama się ubiera, tata sadza mnie na kolanach i lekko podrzuca.

- Joe, Joe, mały Joe, jeździł sobie na bawole.

Ze śmiechem potrząsam głową.

- Tato! Ja nie jestem Joe, tylko Klejnocik!

Uwielbiam tatę. Zabiera mnie do sklepu i bierze z półki batonik. Wyjmuje go z papierka i od razu daje mi połowę; puste opakowanie wypada mu z ręki, lekkie jak piórko. Wychodzimy ze sklepu, wsiadamy do naszego małego samochodu i odjeżdżamy, zanosząc się śmiechem przez całą drogę do domu.

W wieczory, które spędza ze mną babcia, gramy w gry planszowe - Chutes and Ladders lub Candy Land. Potem jest kąpiel w pianie. Zanim babcia położy mnie do Józka, zawsze wyciąga coś z czeluści swojej bezdennej torby: posklejane landrynki o dziwnym smaku albo spłaszczony batonik,

przylepiony do opakowania. Nie wypada nie przyjąć słodyczy od babci - wie o tym nawet 4-latka. Siadam więc przy kuchennym stole i skubię podejrzane przekąski, które mi dała, a kiedy patrzy, wydaję z siebie pomruki zadowolenia. Po jedzeniu zaczynają się pytania.

- Kochanie, dobrze się czujesz? Dziwnie wyglądasz.

Czuję się dobrze. Idę do swojego pokoju, po drodze gładząc ręką lśniąca tapetę w korytarzu. Babcia Madge jest tuż za mną. Głośno myśli:

- Och, kotku, martwię się o ciebie. Wyglądasz na chorą. Pokaż czółko.

Odgarnia moje jasne loki i kładzie mi na czole lodowatą dłoń.

- O Boże! Sissy, jesteś rozpalona. Po prostu rozpalona! Wezwę pogotowie. - Babcia przysuwa do mnie swoją poważną, zmartwioną twarz. Zgląda mi w oczy, palcem odsuwając powieki, szuka objawów, które mogłaby podać lekarzowi. Może boli mnie brzuch? Może mam gorączkę? I co, babciu? Jestem chora, babciu? - Kotku, jesteś ciężko chora. Ale zczekajmy, aż wróci mama. Wtedy pojedziemy do szpitala. Zawiozłabym cię od razu, ale twój tata by się rozgniewał. Chyba wytrzymasz do ich powrotu. Mam nadzieję, kochanie. - Lekko mnie klepie, kręcąc głową. - Pomódlmy się teraz. - Babcia Madge bierze mnie za rękę i pochyla głowę.

Zaczynam wrzeszczeć. Nie chcę umrzeć. Babcia nie wie, czy przeżyję. Czuję ucisk w żołądku. Madge kładzie mnie do łóżka. Leżę, z głową opartą na poduszkach jak ta 90-letnia sąsiadka, która zmarła w zeszłym roku.

Babcia jeszcze raz pyta mnie o ostry ból, a ja wsuwam rękę pod kołdrę i łapię się za brzuch. Boję się zbyt głęboko oddychać. Babcia krąży nerwowo od mojego łóżka do telefonu. Podnosi słuchawkę, wybiera numer pogotowia i rozłącza się, kiedy ktoś odbiera. Owija przewód telefonu wokół palca, rozplątuje go, wygląda przez okno, dotyka mojego czoła, biegiem wraca do telefonu, podnosi słuchawkę i po chwili ją odkłada.

Wreszcie na podjeździe widać blade światło reflektorów. Samochód wchodzi się do garażu, silnik gaśnie. Rodzice cicho wchodzi frontowymi drzwiami, a Madge natychmiast zapala światło i każe im iść do mnie. Opowiada, że zjadłam coś dziwnego, że przyszedł jakiś obcy mężczyzna i dal mi lądrynki, a ona pozwoliła mi je przyjąć, bo to był miły czarny mężczyzna i nie wyglądał na takiego, co daje dzieciom truciznę lub słodycze z kawałkami żyletek, jak niektórzy w dzisiejszych czasach.

Babcia Madge splata ręce na piersi. Wygląda jak modliszka; mówi coraz wyższym głosem, piskliwym ze zdenerwowania.

Rodzice słuchają oszołomieni, przez chwilę nie mogą zrozumieć, o co jej chodzi. Gdy wreszcie dociera do nich sens jej słów, mama wybucha:

- Wielkie nieba! Jak mogłaś, Madge? Oszalałaś? Ona jest malutka! Jak mogłaś jej dać słodycze od czarnucha?

Tata przez chwilę obserwuje obie kobiety, przynosząc wzrok z jednej na drugą, jakby oglądał mecz tenisa w zwolnionym tempie. Spuszcza głowę, wdycha głęboko i idzie do łóżka. Jest jeszcze młody, ma dopiero 25 lat.

Mama gorączkowo biega po domu, wybiera rzeczy, które będą mi potrzebne w szpitalu na wypadek, gdyby mnie tam zatrzymali albo gdybym nie przeżyła. Wyrzykuje polecenia do babci Madge.

Czuję, że czyjeś ręce podnoszą mnie i owijają kocem. Biegniemy do samochodu. Auto pędzi jak szalone, zarzucając na zakrętach. Jedziemy do szpitala, łamiąc przepisy drogowe. Mama od czasu do czasu pochyla się do babci i szeptem:

- Sprawdź, co z nią.

Babcia Madge sięga swoją tłustą ręką w tył, kładzie ją na kocu, żeby sprawdzić, czy unosi się i opuszcza w rytm mojego oddechu.

Wjeżdżamy na parking przed izbą przyjęć. Babcia bierze swoją wielką torbę, a mama odwraca się i patrzy na mnie, leżącą na tylnym siedzeniu. Na jej zmartwioną twarz pada żółtawy blask latarni. Wygląda mi piżamę, wbija we mnie wzrok.

- Kotku, musisz pokazać lekarzowi, jak bardzo źle się czułaś. Nie chcę, żeby odesłał cię do domu, kiedy masz w brzuchu kawałek zyletki.

Po pięciu takich wycieczkach na izbę przyjęć tata oświadczył:

- Ta Madge to cholerna wariatka! Wracamy do Ohio.

Zapakowaliśmy więc czarnego, aksamitnego Jezusa do przyczepy i uciekliśmy przed nienormalną babcią Madge. Gdy jechaliśmy autostradami - w latach 70. mało uczęszczanymi - które biegły przez pustynie i pagórkowate obszary na Środkowym Zachodzie, siedziałam na kolanach mamy i grzebałam jej w torebce.

- Szukasz lizaków, kotku? Zaraz ci dam.

Mama wyciąga nową paczkę zapałek i ostrożnie ją otwiera, odsłaniając dwa równe rzędy „lizaków”, które daje mi, odkąd pamiętam. Na widok lśniących karmazynowych łebków ślina napływa mi do ust. Pierwsza zapałka zawsze jest najlepsza, więc szybko ją odrywam i kładę na języku, czekając, aż metaliczny smak podrażni kubki smakowe. Gdy wierzchnia twarda warstwa trochę się rozpuści, przesuwam zapałkę w ustach i obgryzam miękkie. Wypluwam na podłogę skrawki tektury, resztę połykam.

Po kolei zjadam całą paczkę, żeby mama się ucieszyła. Wtedy wyciąga szczotkę i czesze moje długie włosy, aż podskakuje mi głowa. Patrzy z uśmiechem, jak ssę zapałkę, a tata ściska kierownicę, zamyślony, jadąc jak najszybciej, byle dalej od histerycznych ataków szalonej Madge.

Doktorze Phillips, zauważyłam, że Julie choruje głównie w czasie roku szkolnego, ma wysoką gorączkę i bardzo zaczerwienione gardło. Myślę, że to angina lub zapalenie migdałków.

Teraz naszym domem jest Ohio. Po kilku przeprowadzkach, które dla mnie wiązały się z pięciokrotną zmianą przedszkola, osiedliśmy na eleganckim przedmieściu, bo tata znalazł dobrą pracę w Bazie Sił Powietrznych Rickenbacker.

Nadchodzą dobre lata: biały, dwupiętrowy dom, błękitne dywany, przestronny pokój dzienny, wielkie okna z włochatymi fiołkami afrykańskimi na parapecie, wygrzewającymi się w promieniach słońca wpadających przez niedawno wymienione, nowoczesne, podwójne szyby.

Teraz, kiedy mamy pełne ubezpieczenie zdrowotne, mama zapisuje mnie do pediatry. Przychodnia rodzinna znajduje się jakieś 15 kilometrów od naszego domu. Po pierwszych badaniach kontrolnych wracam tam często z powodu przeziębień, mdłości i bólów głowy. Mama sądzi, że jestem uczulona na nową wykładzinę w domu, ale doktor Phillips zaleca dietę, żeby sprawdzić, czy to nie alergia pokarmowa. Zabrania mi jedzenia czekolady, mięsa, jajek, nabiału i chleba.

Po wizycie u lekarza idziemy z mamą do supermarketu. Przechadzamy się między regałami, ja zaplatam palce wokół prętów koszyka i patrzę, jak mama zdejmuje z półek ciasteczka, wieprzowinę, jajka klasy A, mleko o 2-procentowej zawartości tłuszczu i dwa bochenki chleba. W sklepie Bay's

Grocery nie ma chyba żadnego jedzenia, na które pozwoliłyby mi doktor Phillips.

Dziś znów jestem w przychodni, bo często boli mnie głowa. Siedzimy z mamą w gabinecie, czekając na lekarza.

- Jak się zachowuje chore dziecko, Julie? Pokaż.

Zsuwam się na krawędź krzesła, rozluźniam ręce i nogi. Wyciągam język, dolna warga opada mi, odsłaniając zęby. Wyglądam jak Pigmeje na zdjęciach w „National Geographic”, z ustami rozciągniętymi od kolczyków.

- Bardzo dobrze. Co by sobie pomyślał pan doktor, gdyby zobaczył cię wyprostowaną i uśmiechniętą? Uwierzyłyby mi, że jesteś chora? Musisz mu pokazać, jak źle się czujesz w domu. Trzeba cię wyleczyć, żeby mamusia mogła wreszcie odpocząć. - Liże kciuk i wyciera zaschniętą plamkę żółtka z kącika moich ust. Jej ślina śmierdzi zgnilizną.

- Okej, kochanie?

- Okej, mamó.

- Mówi pani, że Julie często ma podwyższoną temperaturę i boli ją gardło? - Doktor Phillips opiera się swobodnie o umywalkę, bazgrząc coś w mojej karcie.

Karta pacjenta s. 30-31 - tłumaczenie

Nazwisko: Gregory Julie, nr 1798.18, data urodzenia: 16.05.1969
Data, diagnoza, plan leczenia

[kolumna 1-2]

4.06.1978 Ból gardła, suchy kaszel, ból uszu i karku. Temperatura: 40°C od wtorku.

Temperatura: 38°C, zaczerwienione gardło, kaszel.

Gardło silnie przekrwione, nawet języczek, bez wysięku, węzły chłonne szyjne lekko powiększone.

8.07.1978 Ból gardła, ból głowy.

Od dwóch dni ból gardła, złe samopoczucie, gorączka.

Matka zauważyła chorobę lokomocyjną, szczególnie w szkolnym autobusie. Dramamina nie pomaga w zwykłej dawce, niewywołującej senności.

Nos w normie, powiększone migdałki, z wysiękiem, nieznacznie powiększone węzły chłonne podżuchwowe.

19.09.1978 Temperatura: 40°C od dwóch dni.

Ból gardła

Po podaniu aspiryny ból brzucha.

Matka mówi, że przez ostatnie dwie doby temperatura wahała się od 38°C do 40°C, ból gardła się nasila. Powiększone węzły chłonne, nie kaszle, ogólnie złe samopoczucie.

Nie wygląda na chorą.

Płuca w normie. Drożne przewody nosowe. Lekko zaczerwienione dziąsła. Powiększone migdałki, obfity, żółtawy wysięk. Bolesność węzła chłonnego szyjnego.

Skóra ciepła i sucha, kolor normalny.

[kolumna 3]

Zapalenie gardła, prawdopodobnie angina.

Zapalenie migdałków.

Choroba lokomocyjną.

Nawracające zapalenie migdałków.

[kolumna 4]

Penicylina, płyny, leżenie, w razie braku poprawy wizyta za tydzień.

Penicylina

Ruvert, próbka podana na miejscu.

Penicylina 250, lxdz.

Płyny, leżenie.

Wymaz z gardła na posiew - ujemny.
Jutro zadzwonić po wyniki.

I kolumna 1-2 s. 31]

6.12.1978 Matka mówi, że od kilku miesięcy pacjentkę boli gardło. Brak apetytu, ale Julie od kilku lat mało je. W ciągu ostatnich 48 godz. nasilił się ból gardła, węzły chłonne nieznacznie powiększone. Pacjentka codziennie skarży się na ból głowy. Niedawne badanie okulistyczne potwierdziło, że przepisane okulary są właściwe.

Ogólne poczucie znużenia. Nie ma mdłości, wymiotów ani biegunki, ale źle się czuje. W ciągu ostatniego tygodnia stale stan podgorączkowy.

Nie wygląda na ciężko chorą.

Badanie osłuchowe w normie. Przewody nosowe drożne. Nie ma zapalenia. Lekkie powiększenie migdałków z żółtawym wysiękiem. Nieznacznie powiększony węzeł chłonny szyjny, niebolesny.

Płuca czyste.

Regularny rytm zatokowy. Puls ok. 88. Brzuch miękki. Skóra bez wysypki, ciepła, sucha, kolor normalny. Dobre napięcie.

15.12.1978 Wizyta odwołana.

19.12.1978 Pacjentka odesłana ze szkoły do domu, mdłości, bledność, temperatura: 37.7°C, o 10.45 podano aspirynę. Gardło zaczerwienione. Trzy dni temu zakończono podawać penicylinę.

Prawie codziennie bóle głowy, mdłości, bóle brzucha, wymioty, stan podgorączkowy, ból gardła - prawie od dwóch lat, od 11.1976 r. Objawy występują przez dwa dni, potem ustępują, wracają po jakimś czasie. Matka nie za każdym razem przychodzi z pacjentką do lekarza, bo stan się poprawia.

[kolumna 2 s. 31]

Prawdopodobnie nawracające zapalenie migdałków podniebiennych
Układ oddechowy bz
Iteż cech gorączki reumatycznej

[kolumna 3 s. 31]

Morfologia krwi, OB, rozmaz ręczny, wymaz z gardła
Penicylina, płyny, aspiryna

Zaplanowana konsultacja u dr H. po otrzymaniu wyników badań laboratoryjnych

- Raz miała 38 stopni, ale wydaje mi się, że cały czas ma stan podgorączkowy. Skarży się na... jak to się fachowo nazywa... chyba migrena, prawda, Julie? - Zerka na mnie, więc potakuję. - Opowiedz panu doktorowi o swojej migrenie.

- Czy bóle są związane z czymś, co jadła, pani Gregory?

- Może mi pan mówić Sandy, doktorze Phillips. Namawiam ją, żeby jadła, ale jest tak wybredna, że odkąd przeszłyśmy na tę dietę eliminacyjną z powodu uczulenia, prawie nic nie bierze do ust. A jeśli już, to ma mdłości.

- Czy nudności towarzyszą migrenom?

- Nie wiem. Julie, czy przy migrenach masz też mdłości?

Mama zwraca głowę w moją stronę, opierając twarz na kciuku i palcu wskazującym, ustawionych prostopadle, w kształcie litery L. U lekarza zawsze siedzi prosto i trzyma się za twarz, żeby nikt nie zauważył nerwowych tików, które zdarzają się od czasu do czasu.

- Czy podczas migreny boli cię czoło, o, tak... - Rozciąga palcami skórę na czole, w stronę uszu; śmiesznie wygląda. - Czy raczej... - Zbliża do siebie dłonie. - Wokół czaszki?

Wodzę wzrokiem od mamy do lekarza. Co to właściwie jest ta migrena? Kiedy bolą mnie oczy? A może kiedy w autobusie kręci mi się w głowie? Próbuję zgadnąć, mając nadzieję, że trafię.

- Trudno powiedzieć.

- Nie wiesz, Julie? Co to ma znaczyć? - Mama przekrzywia głowę i mruży oczy tak, że wyglądają jak szparki. Przełykam z trudem. Upływa kilka sekund. Nie mogę odwrócić wzroku. Jestem jak przyklejona do jej oczu. Nagle matka z irytacją klepie się dłonią w udo i robi niezadowoloną minę.

- Chryste, dziecko, ciągle chorujesz. Od tygodnia mówisz, że w samochodzie masz migreny. Pamiętasz, jak było ci niedobrze? - Odwraca się do doktora Phillipsa. - Bardzo przepraszam, nie wiem, co się z nią dzieje i dlaczego mi to robi. Jest naprawdę niedobrze, jeśli nie pamięta, jak fatalnie się czuła jeszcze wczoraj. Julie, nie marnuj czasu doktora i powiedz wreszcie, co ci jest. Już!

- Boli mnie czoło, tak jak pan mówił.

Doktor Phillips jest bardzo zainteresowany.

- Czy czujesz się tak, jakby głowę ścisnęła ci opaska, czy jest to tępy, pulsujący ból?

- Hm. Opaska.

- To może być migrena. Na początek spróbujmy podać ergostat, Sandy, a w przyszłym tygodniu zapraszam na kontrolę.
- Bardzo dziękuję, doktorze.

Kiedy mama mówi, że nie mam migreny, wyjeżdżam rowerem na pobliską drogę. Mocno naciskam na pedały i jadę szybko po tej krętej, asfaltowej rzece, która kończy się pętlą na łączce, porośniętej wysokimi chwastami i dziką marchwią. Frędzle przy kierownicy świszczą na wietrze, a barwne koraliki na szprychach wyglądają jak zamazana smuga na kołach mojego szybkiego pojazdu. Tabliczka z nazwą firmy, Honeycomb, przyczepiona do lśniącego siodełka w kolorze banana, podskakuje przy każdym ruchu moich nóg. Długie jasne włosy spadają mi na plecy, potrząsam nimi, jeżdżąc zakosami po drodze i śpiewając: „Nie uśmiechnę się bez ciebie, nie zaśmieję się bez ciebie. Gdybyś wiedział, jak ja cierpię... ”

Łokcie mamy wyglądały tak, jakby tkwił w nich śrut lub kulki z łożyska. Zwykle siedziałam na tylnym siedzeniu i wyciągałam ręce, żeby ścisnąć w palcach jej skórę, urzeczona fioletowymi kamyczkami, poruszającymi się w tę i z powrotem. Kiedy zapytałam, dlaczego ma te kamyki w rękach, powiedziała, że babcia Madge pewnego wieczoru wysłała ją gdzieś samochodem z chłopakami, a ona musiała wyskoczyć przez okno, gdy jechali autostradą. Żwir z pobocza wbił się tak głęboko, że na zawsze został pod jej skórą.

- Dlaczego wyskoczyłaś przez okno, mammo?
- Musiałam, Julie.
- Ale dlaczego?
- Powiem ci, kiedy będziesz starsza. - Odwraca się, drżą jej wargi.

Tata włącza radio i opiera się o okno. Nadal ścisnęłam łokieć między palcami, przyglądając się każdemu sinawemu ziarenku. Widzę, że po twarzy płyną jej łzy.

- Przepraszam, mamusiu, przykro mi, że jesteś smutna. - Mimo to nie przestaję ścisnąć łokcia.

Minął kolejny tydzień i nic się nie zmieniło. Nadal siusiam w łóżko i rano budzę się mokra po kolana. Piżama i prześcieradło są lepkie i cuchnące. To zaczęło się tuż po naszym przyjeździe. Nic na to nie poradzę. Nie mogę przestać.

Siedzimy z mamą w poczekalni w przychodni, czekając na doktora Phillipsa. Przeglądam wszystkie egzemplarze „Reader's Digest”, jakie tylko mogę znaleźć. Szybko czytam opowiadania i dowcipy z serii *Śmiech najlepszym lekarstwem*, *Zycie w tych Stanach Zjednoczonych*, *Humor w mundurze*. Mam nadzieję, że mama zapomni o mokrym ubraniu, które zdjęta ze mnie rano. Chybabym umarła, gdyby pan doktor zapytał, dlaczego jeszcze siusiam w łóżko, chociaż mam już siedem lat.

- Wiesz, mamusiu, te migreny są chyba coraz gorsze. Moja koleżanka ze szkoły dostała okulary i przestała ją boleć głowa.

- Naprawdę, Sis? Zauważyłaś, że migreny się nasilają? - Mama nie podnosi wzroku znad pisma kobiecego. - Koniecznie powiedzmy o tym lekarzowi. Dobrze, że myślisz o swojej chorobie.

W gabinecie mama mówi:

- Powiemy panu doktorowi o tępych bólu w głowie, mniej więcej... - Maca moją głowę palcami, szukając miejsca. - Tutaj. - Ścisza mocno, żeby mi przypomnieć, jak bardzo bolało. - Nie zrobisz mi już wstydu jak zeszłym razem, okej?

- Okej.

- Jestem twoją mamą i wiem, co się dzieje. Jeśli pan doktor o coś zapyta, ja odpowiem.

Do gabinetu wpada doktor Phillips i przeprasza, że musiałyśmy czekać. Mama opowiada mu o mojej diecie i wymienia nowe symptomy. Lekarz niektóre zapisuje, o innych tylko słucha, przenosząc wzrok z mojej karty na mamę. Siedzę w pozycji chorego dziecka, prawie pewna, że mama zapomniała o mokrym łóżku.

Wylicza kolejne objawy mojej choroby, chociaż wiem, że nie zawsze mówi prawdę. Siedzę na skraju leżanki, ze wzrokiem wbitym w kolana, i staram się powstrzymać słowa, które cisną mi się do ust. Chciałabym się odezwać, poprawić ją. Wydaje mi się, że te słowa, których nie wolno mi wypowiedzieć, zderzają się i zatrzymują na jakiejś potężnej tamie. Przyciskam język do zębów, żeby mi się nie wymknęły. Różne „ale” wirują w moich ustach, chcą się wydostać na zwisającą dolną wargę.

Ale... Gardło nie boli mnie codziennie, bolało tylko wczoraj. Nie! Wczoraj wcale nie miałam wysokiej gorączki, nigdy powyżej 39°.

Zaraz, zaraz... Nie chodzę codziennie do szkolnej pielęgniarki. Doktor Phillips nagle przerywa pisanie, zamiera z długopisem nad kartą.

- Dobrze się czujesz, Julie?

Kiwam głową.

- Rozumie pan, co miałam na myśli, doktorze? Z nią dzieje się coś niedobrego. - Gdy doktor Phillips wychodzi po kolejne lekarstwo, mama boleśnie szczypie mnie w kolano i syczy, żebym przestała się wygłupiać.

Kiedy przyjechaliśmy z Arizony i wprowadziliśmy się do białego, dwupiętrowego domu, wybraliśmy się wszyscy do Columbus, żeby odwiedzić Chestera - mojego dziadka ze strony taty - pierwszy raz, odkąd pamiętam. Bardzo się cieszyłam, bo nie znałam dziadka ze strony mamy, a pradziadek, który pisał do mnie śliczne listy i nazywał mnie w nich Klejnocikiem, zmarł, zanim nauczyłam się wymawiać jego imię. Mama powiedziała, że przyjechał po nas do szpitala i poprosił ją, żeby prowadziła auto, a sam przez całą drogę tulił mnie w ramionach. Mówił, że jestem najpiękniejszym dzieckiem na świecie, królową elfów, księżniczką i brylancikiem. Dużo słyszałam o jego miłości do mnie, więc bardzo pragnęłam go poznać. To był pierwszy mężczyzna, który mnie opuścił. Tata nie chciał, żebym wychowywała się w pobliżu babci Madge, a jego matka zmarła, zanim przyszłam na świat, więc Chester był jedynym potencjalnym kandydatem na kochającego dziadka, jaki mi został.

Podjechaliśmy pod osiedle weteranów, gdzie mieszkał Chester. Okolica sprawiała wrażenie odludnej.

Mama splotła ramiona i oznajmiła:

- Zaczekam w samochodzie, Dan. Nie siedźcie tam za długo.

Tata ostatni raz widział Chestera, gdy w wieku 16 lat opuścił dom, żeby wstąpić do marynarki. Ja też denerwowałam się przed spotkaniem. Miałam dostać nowego dziadka.

Stanęliśmy z tatą na zakręcie. Odetchnął głęboko, więc ja też. Spojrzeliśmy na siebie, a potem wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy po chodniku, uważnie przyglądając się domowi. Firanki były u góry pożółkłe i miały ciemne smugi od dymu papierosowego; ze skrzynki wystawały listy; do siatkowych drzwi zabezpieczających przed owadami przykleiły się stare, wyblakłe ulotki, które wały się też po ziemi, przy gumowej wycieraczce. Kiedy zapukaliśmy, odezwał się chrapliwy głos:

- Drzwi są otwarte.

Zatrzymaliśmy się w przedpokoju, czekając, aż nasze oczy, częściowo oślepięne ostrym, lipcowym słońcem, przywykną do półmroku. Chester ustawił ścianę ze skrzynek po piwie bud light przed jedynym oknem w pokoju dziennym, więc do środka wpadało niewiele światła. Tata usiadł na otomanie między Chesterem a telewizorem. Wdrapałam mu się na kolana.

- Możesz nazywać Chestera dziadkiem, Sissy. Zgadzasz się, prawda? Chester potaknął.

- Jak ci na imię, mała?

Wskazałam swoją pierś kciukiem.

- Julie, ale tata mówi na mnie Sissy.

Chester rozmawiał z nami tylko w czasie reklam. Gdy się kończyły, oglądał swój ulubiony program, przechylając się w bok, bo mu zasłaniał. Mimo to tata opowiadał o Arizonie, mojej szkole, swojej pracy w bazie sil powietrznych oraz o mamie. Chester najpierw pomrukiwał coś w odpowiedzi i pytał: „ach, tak?“, ale w końcu z westchnieniem wcisnął kciukiem przycisk głośności na pilocie, zagłuszając tatę.

W czasie następnej przerwy reklamowej Chester powiedział:

- Cieszę się, że przyjechałaś, Peggy.

Peggy była siostrą mojego taty. Zrozumiałam, że dziadek chciał się nas pozbyć, chociaż spędziliśmy u niego tylko kwadrans. Tata przez chwilę siedział bez ruchu. Po twarzy płynęły mu łzy. Wreszcie spuścił głowę i powoli wstał, a ja zsunęłam się z jego kolan, jakbym była kartką papieru. Objęłam go swoimi chudymi ramionami i ścisnęłam najmocniej, jak potrafiłam, trzymając dłońią nadgarstek drugiej ręki. Nie puściłabym go za nic w świecie. Stał, bezradny, z umięśnionymi rękami przy bokach, bo tak mocno go przytulałam.

- Kocham cię, tatusiu.

- Ja też cię kocham, Sissy.

Kiedy mama wsuwała mi pod język małą, białą tabletkę, głowa bolała mnie bardziej.

- Widzę, że zbliża się migrena. Otwórz buzię. Język w górę. Doobrze.

Czasami zbierało mi się na wymioty. Na ogół po prostu wracałam do łóżka i czekałam, aż pigułka pod moim językiem rozpuści się i będzie przypominać rozrobiony gips; bardzo cierpiałam. Wciąż nie potrafiłam określić, czy boli mnie czoło, czy cała głowa; czułam się rozpalona, było mi niedobrze, coś podskakiwało mi w gardle, jak stróżujący pies, szarpiący się na łańcuchu.

Z powodu moich chorób mama nie pracowała. Przecież w każdej chwili mogłam dostać migreny, wysokiej gorączki albo ostrego zapalenia gardła; wtedy musiała rzucać wszystko i wieźć mnie do lekarza.

W ciągu dnia mama robi porządki we wszystkich pokojach naszego dużego domu; gdy przewiduje, że będę się źle czuła, każe mi zostać

w domu, bo chce mnie obserwować. Czasami słyszę, jak głośno śmieje się w kuchni. Kiedy wchodzę i pytam, co ją tak bawi, robi zdziwioną minę i mówi:

- Och, przypomniały mi się tylko moje żarty z pielęgniarką.

Pewnego popołudnia prowadzi mnie do samochodu i mówi:

- Trzeba coś zrobić z tymi twoimi włosami.

W salonie fryzjerskim sadzają mnie na obrotowym fotelu, a mama mówi pani z nożyczkami, żeby ścięła mi włosy i zrobiła takie same „pazurki”, jakie nosi matka w serialu *The Brady Bunch*. Fryzjerka patrzy na moje długie włosy. Od wczesnego dzieciństwa jestem blondynką, ale mama mówi, że włosy ciemnieją mi z wiekiem, tak samo jak jej. Niedługo będą miały brązowy kolor pomyj. Dziś jednak siedzę z kaskadą blond włosów, niestrzyżonych przez siedem lat mojego życia, jedwabistych i prostych, z końcówkami zbiegającymi od słońca.

- Jest pani tego pewna? - pyta fryzjerka.

- Próbowałam ją zmusić, żeby coś zrobiła z tymi kudłami, ale nic z tego nie wychodzi. Niech pani to wszystko zetnie!

Nigdy przedtem nie byłam strzyżona, więc kiedy fryzjerka obraca mnie przodem do lustra, jestem w szoku. Nie wiem, co się stało z moimi włosami. Sterczą przy uszach i są brązowe - nie jasne, jak zawsze.

- Oddajcie mi włosy! - krzyczę.

Wyglądam okropnie, jak chłopak; dobrze to wiem, bo nawet mama wybuchła śmiechem na mój widok.

Mama mówi, że już nie może ze mną wytrzymać, że ma już tego wszystkiego po dziurki w nosie, że nikt jej nie pomaga. „Zrób coś z tym dzieckiem, Dan! Doprowadza mnie do szału”.

Siedzimy na górze, w moim pokoju, kiedy tata wchodzi frontowymi drzwiami. Mama ciągnie mnie za krótkie kosmyki, bije i szczypie. Tata wolno wchodzi po schodach.

- Hej, co się tu dzieje?

Zagląda do pokoju w chwili, gdy uchylam się przed ciosem. Mama stoi tyłem do drzwi, potargane, spocone włosy przyklejają jej się do twarzy.

- Sandy, cholera jasna, co ty wyprawiasz?

- Do diabła, Dan! - Obraca się energicznie i chwyta się poręczy mojego łóżka. - Ta dziewczucha nie chce posprzątać w pokoju. Ma wszystko gdzieś! Nikt mi tu nie pomaga. Dość tego, Dan, mówię poważnie. Nigdy cię nie ma! Nie mogę już wytrzymać!

Ojciec milczy, słucha, wbijając wzrok w podłogę. Wreszcie idzie kilka kroków po dywanie, opiera się o moją toaletkę i podwija rękawy.

- Ja to załatwię, Sandy. - Zwraca do mnie twarzą i wydaje mi się, że puszcza oczko.

Mama się odsuwa. Tata zaczyna krzyczeć, z początku cicho. W jego oczach migocą iskierki wesołości, więc przestaję płakać, bo jestem uratowana. Tata zawarł ze mną milczące porozumienie: odegramy scenę, żeby dała nam spokój. Jednak im dalej odsuwa się mama, tym głośniejszy krzyczy tata, wesołe iskierki znikają, a jego oczy stają się prawie czarne. Zaczynam płakać jeszcze bardziej, bo nigdy przedtem nie widziałam, żeby tata był tak wściekły, ani nie słyszałam tak głośnego krzyku.

Tata łapie mnie za nadgarstek i ciągnie za sobą. Zatrzymuje się przy drzwiach, gdzie stoi mama.

- Teraz przeproś mamę.
- Przepraszam, mamusiu.
- Powiedz, że ją kochasz.
- Kocham cię, mamusiu.
- A teraz ją uściskaj.

Mama stoi sztywno, z zaciśniętymi zębami, odwraca wzrok, po policzkach płyną jej łzy. Na chwilę przytulam się lekko do jej splecionych ramion.

- Pójdziemy gdzieś, mała - mówi tata. - Żebyś już dziś nie denerwowała mamy. - Sprawadza mnie po schodach, wyłożonych pluszowym chodnikiem; mama idzie za nami.

- Naprawdę mam tego dość, Dan. Potrzebuję pomocy, nie rozumiesz?
- Wiem, Sandy, wiem - odpowiada tata i pchnięciem otwiera drzwi, które zatrząskują się za nami.

Wsiadamy do samochodu i tata natychmiast msza. Żwir strzela spod kół i uderza w płot, opony zostawiają ślad na trawie. Mocno trzymam się deski rozdzielczej. Kątem oka widzę mamę, czoło przyciska do framugi drzwi z siatką przeciw owadom. Szlocha, jej dłoń bezwładnie zsuwa się po siatce. Samochód wyjeżdża na chodnik i tata zmienia bieg. Pędzimy drogą. Tata uderza dłonią w kierownicę.

- Udało się, Sissy! Dziś nam się upiekło!

Przepełnia mnie radość, mam poczucie zakazanej, skradzionej wolności. Jest tak, jakbym uciekła z przychodni w momencie, gdy wchodzi doktor Phillips.

Jednak po chwili opieram głowę o szybę, a z oczu zaczynają mi płynąć łzy. Nie mogę zapomnieć o mamie, która jest uwięziona w domu za drzwiami

z gęstej siatki, podczas gdy my zabraliśmy jedyny samochód. Ojciec trochę się uspokoił. Wyciąga rękę i klepie mnie po kolanie.

Nie przejmuj się, Sissy - mówi. - Mama jest w złym humorze, bo w brzuchu rośnie jej małe dziecko.

Tata i ja całą sobotę chodzimy po centrum handlowym, trzymając się za ręce. Już prawie zapomniałam, że mama mnie zbiła. Nigdy przedtem nie spędziłam całego dnia z tatą. Omijamy staruszków przysypiających na ławkach, zachwycamy się miniaturowymi palmowcami, stajemy przy fontannie, która z hukiem rozbryzguje kropelki wody, i wrzucamy do niej drobniaki. Tata mnie namawia, żebym wyłowiła kilka 25-centówek do automatów ze słodyczami. Nie ciągnę go nawet do sklepu z zabawkami. Wystarczy mi, że jesteśmy razem.

Gdzieś za nami ktoś wybucha śmiechem, który niesie się po czteropoziomym budynku. Tata podskakuje nerwowo i zwraca się w tamtą stronę z przerażoną miną. Śmieje się grupa ludzi stojących przed sklepem. Ja też zaczynam się śmiać, bo na pewno powiedzieli coś wesołego. Tata patrzy na mnie ponuro.

- Sissy, kotku, wiesz, dlaczego tamci ludzie się śmieją?

Przecząco kręcąc głową.

- Śmieją się... - Ujmuję mnie wielką dłońią za podbródek i zwraca do siebie moją twarz. - Wiem, że będzie ci przykro, malutka. Oni śmieją się z twoich paskudnych włosów. Nie jesteś ładna jak inne dziewczynki. Wiem, że jeszcze tego nie rozumiesz, ale jestem twoim tatusiem i będę cię bronił. Julie, ludzie nieraz będą chcieli cię wykiwać. Nie przejmuj się, córeczko. Trzymaj się mnie, a wszystko będzie dobrze.

Patrzę na ludzi, którzy się ze mnie śmiali. Teraz nie patrzą w moją stronę, stoją w kółku i rozmawiają. Myślę z oburzeniem, jacy są wredni. Szybko się odwrócili, żebym ich nie przyłapała na naśmiewaniu się ze mnie. Tata rusza wolnym krokiem, a ja raz po raz zerkam przez ramię, bo chcę ich złapać na gorącym uczynku.

- Kocham cię, Sissy. - Tata ściska moją małą dłoń w swojej, wielkiej.

- Ja ciebie też, tato.

W dniu, gdy urodził się mój brat, wskoczyłam do szkolnego autobusu i krzyknęłam do kierowcy:

- Mam dziecko! Właśnie urodziło mi się dziecko!

Daniel Joseph Gregory II - z rzymską cyfrą, żeby wyglądało to po królewsku - ważył 4, 5 kilograma. Był zdrowy i tak wielki, że lekarz musiał go wyciąć z brzucha mamy. Mały Danny Joe wyglądał jak pieczony indyk i, w przeciwieństwie do mnie, przyszedł na świat z owłosioną głową, głośno krzycząc.

Nie był planowanym dzieckiem, tylko niespodzianką lub pomyłką, w zależności od tego, czy zapytało się tatę, czy mamę. Tak czy inaczej, to cud, że się urodził taki zdrowy, bo poprzednia dwójka zmarła od razu po porodzie.

Tata głośno śpiewa:

- Joe, Joe, mały Joe, jeździ sobie na bawole... - Promiennie uśmiechając się do synka, którego imię jest w jego ulubionej piosence.

Teraz, gdy jest z nami Danny, obcy ludzie zatrzymują się pod naszym domem, żeby go zobaczyć. Dalecy krewni przysyłają zaproszenia na przyjęcia do rodziny, o której istnieniu nie wiedzieliśmy. Nawet babcia Madge zwierzyła się mamie, że chce przyjechać z Phoenix, by zobaczyć małego Joe, jak nazwał go tata.

Mama grucha nad jego łóżeczkiem i mówi: „Chwała Bogu”, gdy Danny robi kupę w pieluszkę lub podskakuje w szelkach, uśmiechając się bez powodu.

Naśladowuję słowa mamy, ton jej głosu, radość.

- Chwała Bogu, spójrzcie tylko, czyż on nie jest uroczy?

Odbierając telefon, mówię głosem gospodyni domowej, jak w reklamach, z intonacją mamy.

- Halo, tu dom państwa Gregorych, czym mogę służyć?

- Sandy?

- Och... - Udaję zaskoczenie. - Nie, mówi Julie, jej 7-letnia córka. Proszę chwileczkę zaczekać, zawołam ją. Mogę zapytać, kto dzwoni?

Mama zaczyna rozmowę, a ja chowam się za przepierzeniem w kuchni.

- To moja mała pomocnica, niech ją Bóg ma w swojej opiece.

Bóg miał mnie w swojej opiece, podobnie jak mama. Przy Dannym zawsze Go chwaliła, a mnie polecała Jego trosce.

Od niemowlęstwa mojemu bratu groziło wiele niebezpieczeństw. Pamiętam gorączkowe wyjazdy do szpitala, kiedy mama stwierdzała, że leży siny w łóżeczku, wzywanie strażaków, żeby sprawdzili, czy w domu nie ma jadowitego pająka... Tymczasem Danny był najśliczniejszym i najzdrowszym członkiem rodziny Gregorych; miał niezwykłą zdolność unikania chorób i urazów. Tacie dokuczał Agent Orange, mama cierpiała na zatrucie, Madge miała świra, Lee brakowało piątej klepki, Chester zachowywał się jak bezmózgowiec, ja byłam chorowita. A Danny? Uśmiechnięty aniołeczek, żywe srebro, zawsze z dobrym apetytem, lubiący zabawę, wesoły. To było zaraźliwe. Gdy Danny się urodził, wszyscy czuliśmy się lepiej, zwłaszcza ja. Migreny nagle ustąpiły. Już nie musiałam brać tabletek pod język, przestałam nawet siusiać w łóżko. Kiedy nie chorowałam i nie opuszczałam lekcji, zaczęłam przynosić piątki i recytować na akademiach wierszyki Shela Silversteina. W trzeciej klasie byłam prawie najlepsza z czytania, radziłam sobie tak jak niektórzy czwartoklasiści. Wszystko to zawdzięczałam Danny'emu.

Danny stał się teleskopem, przez który wyglądaliśmy z naszej pełnej chmur bańki. Pozwalał nam dostrzec inną galaktykę, pełną światła, śmiechu i nadziei.

Pewnego dnia w szkole biegłam przez boisko, gdy rozległ się gwizdek nauczycielki wuefu. Spieszyłam się, żeby stanąć w szeregu. Potknęłam się o czyjś but i upadłam na chodnik. Poczułam chrupnięcie w nadgarstku. Od razu wiedziałam, że złamałam rękę. Nie płakałam; przycisnęłam tylko rękę do piersi i szarpnęłam nauczycielkę za koszulkę. Kazała mi iść do

wychowawczynie. Wychowawczynie odesłała mnie do pielęgniarki, która zadzwoniła do mojej mamy i powiedziała, że trzeba jechać do lekarza.

Całe popołudnie siedzę w pokoju dziennym, na obrotowym, obitym niebieskim aksamitem fotelu, a mama kręci się po domu, zmywa, gwizdże piosenki, nadawane w radiu i przewija Danny'ego. Złamana kość przemieściła się, tak że widać ją przez skórę. Ból jest pulsujący, po twarzy płyną mi łzy, gorące jak krew, którą czuję w nadgarstku. Chcę iść do doktora Phillipsa. Chcę, żeby mnie wyleczył. Ale mama mówi, że to pewnie tylko skręcenie.

- Trudno coś powiedzieć na pewno, kotku. Zaczekajmy, może opuchlizna sama zejdzie. Mamusia jest zajęta. Muszę ugotować kolację, bo niedługo wróci tata. Później zdecyduję, czy zawieźć cię do lekarza.

Dochodzi piąta, gdy mama wreszcie dzwoni do przychodni i pyta, czy powinna mnie przywieźć z tym drobnym urazem, czy może poczekać do następnego dnia.

Doktor Phillips pokazuje prześwietlenie mojej ręki, złamanej w trzech miejscach.

- No, no - dziwi się mama.

Lekarz mówi, że przyjechałyśmy w ostatniej chwili. Jeszcze trochę, a nadgarstka nie dałoby się nastawić. Jeśli w przyszłości wydarzy się coś takiego, Sandy, nie zwlekaj, tylko natychmiast ją przywieź.

Doktor wychodzi po gips, a mama odwraca się do mnie.

- Nie patrz tak, przecież to mogło być zwykłe skręcenie.

Rok później, kiedy znów się potknęłam, wiedziałam, że złamię drugi nadgarstek, zanim jeszcze upadłam na chodnik. Ale mama powiedziała, że muszę poczekać na tatę. Niech chociaż raz on zawiezie mnie do lekarza.

Kiedy złamałam rękę, tata był na wsi, szukał dla nas nowego miejsca zamieszkania. Nie podobało mu się, że wścibscy sąsiedzi obserwowali nas zza firanek, a pastor zwalniał, przejeżdżając samochodem obok naszego domu, żeby wzbudzić w nas poczucie winy i zmusić całą rodzinę, by przychodziła do kościoła. Tata chciał wyjechać z tej okolicy, pełnej szaleńców oraz czarnych, stojących na rogach i przy stacjach benzynowych. Był przekonany, że tylko czekają na okazję, by uprowadzić któreś z nas i sprzedać jakiemuś draniowi od pornografii dziecięcej.

Gdy byliśmy w domu lub jechaliśmy prosto do przychodni, rodzice zachowywali się normalnie. Ale kiedy trzeba było jechać do centrum Columbus, bo tata miał wizyty kontrolne w szpitalu dla weteranów, denerwowali się i z niepokojeni rozglądali wokoło.

- Och, Dan, spójrz na tego na rogu. Przyspiesz, żeby nie stanąć na czerwonym świetle.

Tata zerka na mnie w lusterku wstecznym.

- Julie, zablokuj drzwi. Zamknij okno. - RzUCA okiem na stojącego przy przejściu dla pieszych czarnego mężczyznę z grzebieniem sterczącym z bujnych włosów. - Szybko, zamykaj, Julie! Sandy, ty też zamknij drzwi. Schowaj torebkę pod siedzeniem.

- Cholera, światło się zmienia. Nie zatrzymuj się!

Mama gorączkowo próbuje wcisnąć pod siedzenie torebkę wielkości kuli do gry w kręgle, ja szybko kręcę korbką okna, a tata wciska przycisk blokujący zamki, potem go wyciąga i znów wciska, mocniej, dla pewności.

Mężczyzna wchodzi na pasy; swobodnym, wolnym krokiem zbliża się do naszego samochodu jak lew do myśliwych podczas safari. A my tkwimy na skrzyżowaniu i wstrzymujemy oddech. Patrzy na nas jak na wariatów.

Wreszcie przeszedł. Tata z całej siły wciska pedał gazu i ruszamy z piśkiem opon.

- Chryste, mało brakowało - mówi mama.

W lusterku wstecznym widzę szerokie czoło taty, zroszone potem.

- Jeśli taki podejdzie do was, nieważne, gdzie będziecie i z kim, krzyczcie, ile sił w płucach. Jasne?

- Tak, tato.

W Niedzielę Wielkanocną drugi raz siedziałam w niebieskim obrotowym fotelu, przyciskając do piersi złamaną rękę. Tata wrócił wieczorem i krzyknął od progu:

- Znalazłem idealne, odosobnione miejsce. Dzieci, kochanie, wyniesiemy się z tego cholernego przedmieścia i będziemy z dala od tych wszystkich wariatów. Wyjeżdżamy na wieś!

Jedziemy wszyscy dużym, szerokim samochodem: ja, 3-letni Danny, wycmachujący tłustymi łapkami w swoim foteliku, tata za kierownicą i mama na przednim siedzeniu. Mama patrzy przez okno na pola, które mijamy.

Jest gorąco, co czujemy nawet przy prędkości 90 kilometrów na godzinę. Jakby przez okna samochodu wpadał żar z piecyka. Z przeciwnika nie jedzie żadne auto, któremu można byłoby pomagać światłami. Są tylko otwarte przestrzenie, kręte drogi, zagajniki i czasami cmentarze, czyli wystające z ziemi małe, białe tablice nagrobne o zaokrąglonych brzegach, przypominające prostokątne miętówki, trochę już rozpuszczone.

Przez okno wpada pszczoła i ląduje na moim ogrzanim przez słońce gipsie, co uznają za komplement. Nie odganim jej; idzie w górę, do miejsca, gdzie zdrowa skóra, opalona na słońcu, styka się z tą bladą, zwiotczałą, która zawsze jest w cieniu. Ręka mi schudła, więc pszczoła swobodnie wchodzi pod gips. Wędruje po moim spoconym ramieniu, aż czuję łaskota nie w miejscu, gdzie nie mogę sięgnąć. Stukam w gips, żeby ją spłoszyć. Tego by tylko brakowało, żeby mnie użądliła.

Zjeżdżamy z głównej, brukowej drogi na węższą, żwirową. Prowadzi daleko w dół, do tunelu, który tworzą gałęzie drzew o zielonych liściach, splecione nad naszymi głowami. Samochód podskakuje w koleinach, wyżłobionych przez lata kołami aut, których właścicielom wydawało się chyba, że biorą udział w motokrosie. Na samym dole droga nieco się rozszerza. Wyjeżdżamy z lasu na łąki, gdzie chwasty sięgają do okien samochodu. Mijamy podmokły zagajnik, rozpadającą się chatę z bali i wreszcie -jeszcze jeden zakręt - docieramy na trawiastą polanę wielkości połowy boiska do bejsbolu. Tu zamieszkamy.

Miejsce jest odludne. Czuję ucisk w żołądku. W oddali hałasują cykady. Kurczę, daleko zajechaliśmy. W pobliżu nie mieszkają żadne dzieci. Do szkoły jest pewnie sporo kilometrów.

- Jesteśmy na miejscu. - W tej ciszy dobrze słyszeć, jak mama żuje gumę. - Nazwę je Farmą Kryjówką.

Zastanawiam się, dlaczego mama mówiła, że będzie mi tu dobrze. Tymczasem Danny, gdy tylko znalazł się na zewnątrz, zdejmuje spodnie i kuca, żeby zrobić siusiu. Śmiejemy się. Zaczyna biegać w kółko jak szczeniak, spuszczone ze smyczy. Nie ma tu czarnych, którzy mogliby go porwać, ani samochodów mogących go przejechać, jest za to całe morze szmaragdowej zieleni, gdzie można się bawić. Skoro Danny się cieszy, to my też. Jest barometrem, który wskazuje, co jest dobre dla naszej rodziny, a co nie.

Mama podchodzi do jedyne go budynku, na szczycie, blisko drogi. To nasz własny domek z bali, jak z kolorowej etykiety na syropie do naleśników. Stąd prawie widać chatę z bali, którą mijaliśmy po drodze. Mama mówi, że nasz dom jest bardzo stary i że w latach 20. pan Burns, który go zbudował, przywiózł tu pieniądze zrabowane z banków. Zakopał je głęboko gdzieś na wzgórzach. Nadal swoje nazwisko drodze dojazdowej. Po jego śmierci zjeżdżali się tu ludzie, żeby szukać skarbu, ale nikomu nie udało się go odnaleźć.

Obchodzę domek i staję nad stromym stokiem pagórka. W dole, jak okiem sięgnąć, walają się zardzewiałe lodówki, stare piecyki, pogięte obudowy

pralek, wyszczerbione płyty blachy i stopy opon. Powietrze faluje nad czarną gumą, spieczoną słońcem.

Następnym razem, gdy przyjeżdżamy tą drogą, naprzeciwko drewnianego domku stoi mieszkalna-przyczepa z oknami na wzgórzu. Wiem, że nie powinnam narzekać, ale nowe miejsce nie może się równać z białym dwupiętrowym domem i niebieskimi dywanami na podłogach. Staram się cieszyć z planów mamy, która zamierza zrobić ganek tutaj, potem taras tam, a jeszcze później postawić dobudówkę, dodatkowy pokój. Dlaczego jednak nazywa domem blaszaną puszkę, która nie ma nawet prawdziwych okien, tylko kwadraciki plastiku otwierane śrubokrętem? Przyczepa jest podwójnej szerokości, mówi mama, ma takie same wymiary jak prawdziwy dom, najprawdziwszy. Nazywa naszą działkę farmą, ale niesłusznie, bo przecież nie mamy zwierząt. Nawet ja wiem, że przyczepa to nie dom, a kawałek ziemi to nie farma, ona jednak uparcie nazywa to odludzie Kryjówką i cieszy się, że przyjechaliśmy na początku lata.

Od razu, gdy się sprowadziliśmy, tata postanowił, że złoży sobie pontiaca GTO, ideał starego samochodu. Naznosił lokalnych gazet z ogłoszeniami motoryzacyjnymi i broszurek informacyjnych o pontiacach, po czym zaczął gromadzić wokół przyczepy najróżniejsze części: lekko pogięte zde-rzaki, stare rury wydechowe, drzwiczki i przeżarte rdzą silniczki do wycieraczek. Cały ten złom leżał zapakowany w gazety, w których go przysyłano (części w lepszym stanie były na półce w szafie, a te duże - pod przyczepą), czekając, aż tata zbuduje sobie garaż przy ścianie drewnianej chatki. Ale mama miała inne plany. Wolała, żeby tata poświęcił cały wolny czas na rozbudowę domu. Chciała, żeby wykopał studnię na wzgórzu. Marzyła o tarasie z tyłu i większej jadalni, gdzie mogłaby wydawać świąteczne obiady oraz przyjęcia dla krewnych i przyjaciół. Oczy jej lśniły, gdy snuła plany na przyszłość. A tata zawsze starał się udowodnić, że to on jest głową rodziny.

Odkał pamiętam, mama opowiadała nam pewną historię o tacie; robiła to, kiedy się pokłócili, a ona chciała, żebyśmy trzymali jej stronę. Do tej pory nie wiemy, czy było w tym choć trochę prawdy, ale jako dzieci chłonęliśmy każde słowo i emocjonowaliśmy się ponurą, wstydliwą tajemnicą rodzinną. Podobno w latach 70., kiedy byłam malutka, tata kogoś miał. Ale nie to było najgorsze. Mama mówiła nam przez zaciśnięte zęby, że tata związał się z facetem.

- Pedał. Wasz ojciec to nieudacznik, nierób i pedał.

Dlatego właśnie tata musiał podkreślać swoją męskość - w trosce o własne ego, jak też bojąc się żony. Pod stołem do pracy trzymał stosy lokalnych magazynów z rogami tłustymi od ciągłego przewracania stron, pełne zdjęć przedstawiających rozkraczone kobiety; co więcej, głośno komentował fizyczne atrybuty każdej pani, która przechodziła w pobliżu. Inaczej mama zmieszałaby go z błotem.

Marzeniem mamy było mieć kilka koni. Chciała, żeby jej dzieci należały do organizacji młodzieżowej 4-H i z ręką na sercu recytowały słowa przysięgi:

Przysięgam

Mysleć jasno,

Być lojalnym,

Pomagać innym,

Dbać o zdrowie, dobrze żyć,

Służyć klubowi, społeczności, krajowi i światu.

Chciała, żebyśmy występowali na pokazach koni. Dawała nam wielkie, kowbojskie kapelusze, obszyła srebrnymi muszelkami nasze poliestrowe spodnie ze sklepu z używaną odzieżą, a my wygrywaliśmy konkursy jeździeckie i zdobywaliśmy nagrody, o których ona marzyła w dzieciństwie. W sierpniu, gdy tylko zdjęli mi gips, zawiozła nas na zorganizowaną przez metodystów wystawę koni, połączoną ze zbiórką pieniędzy na cele dobroczynne. Później, w przyczepie, spoceni zdejmowaliśmy z siebie kostiumy i złościliśmy się, że potraktowała nas jak lalki-kowbojów.

Tak naprawdę ja i Danny chcieliśmy zbijać baki całe lato i pluskać się w basenie, kupionym okazji z ogłoszenia. Tylko że mama chciała akurat mieć zagrodę z drutu kolczastego i siano dla wygłodzonych koni, które uratowała przed rzeźnią, o kilka nędznych dolarów przebijając na aukcji innych chętnych.

Harowaliśmy jak niewolnicy, starając się zrobić wszystko, co kazała. Basen stał pusty, nie licząc kilku jasnozielonych rzekotek, które powłaziły pod brudną wkładkę, oraz gromadki chrząszczy. Szarpaliśmy się z grubym drutem kolczastym, ciasno nawiniętym na szpulę. Mama i ja rozciągałyśmy go bardzo daleko, przez wzgórza i wrzosowiska, przybijałyśmy go do pochyłych drzew i z trudem okręcałyśmy wokół starych słupów ogrodzeniowych, naciągając tak mocno, że kaleczyłam sobie ręce do krwi. Kiedy już zrobiliśmy jedna, zawsze czekała jakaś nowa, pilna praca, więc nie mieliśmy czasu na odpoczynek. Czteroletni Danny trzymał na głowie płytę

kartonowo-gipsową, a ja pomagałam tacie przybić ją do słupków. Nawet mój braciszek, z którego twarzy przedtem nie znikał uśmiech, teraz ciągle się bał, że mama przyłapie go na zabawie i przyłoży mu packą na muchy.

Dzień miał za mało godzin, żebyśmy zajmowali się czymś tak nieistotnym jak mycie zębów czy - gdy zaczęliśmy chodzić do szkoły - odrabianie lekcji. Czasami mama zdrapywała paznokciem żółtawy osad z naszych siekaczy.

- Widzę, że coś się tu zbiera - mówiła tylko. - Umyjcie zęby.

Rano jedliśmy słodkie płatki śniadaniowe, posypane jeszcze cukrem, tak te na wierzchu tworzyła się gruba skorupa. Późnym wieczorem padaliśmy / nóg, zmęczeni i przesłodzeni, jak lepkie, lukrowane pączki. Następnego dnia wszystko zaczynało się od nowa.

Mama musiała pilnować taty, bo kiedy tylko spuściła go z oczu, rzucał wszystko, czym się akurat zajmował, i siadał w swoim fotelu.

W pokoju dziennym tata włącza telewizor i dręczy każdego, kto akurat jest w pobliżu. Jeśli przysiądziesz na kanapie, kiedy on właśnie coś ogląda, będziesz ciągle biegać do kuchni po napoje, tosty z marmoladą czy inne przekąski, których sobie zażyczy. Odkąd się tu sprowadziliśmy, tata zaczął tyć, chociaż codziennie wypija sześciopak napoju przyspieszającego trawienie. Jeśli wyczerpią się baterie w pilocie, każe ci usiąść przy telewizorze i zmieniać kanały. Tata nie rusza się z fotela, jakby był do niego przymurowany; spluwa w dłoń i wycierają o ścianę lub dywan. Ale jeśli wie, że jesteś blisko, musisz przynieść papier toaletowy, a potem wyniesiesz go, z obrzydzeniem trzymając dwoma palcami za suchy koniec. Najlepiej jest schować się w swoim pokoju, gdzie nikt cię nie szuka.

W moim pokoju jest dużo książek, które dostałam w prezencie na Gwiazdkę, pożyczyłam z biblioteki lub ukradłam z jakiejś poczekalni. Czytam je raz po raz, leżąc w łóżku, nawet kiedy na dworze jest słonecznie. Wykorzystuję każdą okazję, żeby ukryć się wśród stron ulubionych książek.

Z biegiem lat nasza mała przyczepa rozrosła się, tworząc prawdziwy labirynt z dobudowanymi sypialniami, łazienkami i pokojami dziennymi, a nawet oddzielnymi pomieszczeniami dla weteranów wojennych i sierot, sprowadzanych przez mamę na farmę. Dobudówki przylegają do siebie, pojawiają się nie wiadomo skąd. Otacza nas gęsty, zielony las: jest jak płot, który kryje przed światem naszą bańkę mydlaną, nasz własny ekosystem buzujący jak potrawa w tyglu.

Jednak na końcu drogi jest coś ciekawego: Miasto.

Przed wyjściem z domu wszyscy ubieraliśmy się przyzwoicie. Oznaczało to kolorystycznie dobrany strój dla mnie, szorty Garanimals dla Danny'ego i czystą bieliznę dla nas obojga. Złote włosy Danny'ego były zaczesane na bok i spryskane lakierem, a moje - nakręcone lokówką i natapirowane gęstym grzebieniem, który mama kazała mi nosić w torebce, na wypadek, gdyby trzeba było poprawić fryzurę. W samochodzie zapinaliśmy pasy i siedzieliśmy prosto. Gdy tylko wyjechaliśmy z tunelu tysiąca drzew, ożywało radio. Nagle zamiast trzasków rozlegała się piosenka. Zdarzało się, że musieliśmy się zatrzymać na końcu naszej bocznej drogi, żeby dać pierwszeństwo samochodowi, który jechał po głównej, brukowanej szosie. Patrzyliśmy na pasażerów tamtego auta. Wyglądaliśmy tak samo jak oni! Wtapiałiśmy się w otoczenie. Jechaliśmy w stronę cywilizacji, mijając prawdziwe domy z sąsiadami, którzy się znali; przedmieścia takie, na jakich kiedyś mieszkaliśmy. Docieraliśmy do zatłoczonych sklepów i poczekalni.

Mama odrywała się od prac domowych i narażała nas na niebezpieczeństwo ze strony złych ludzi tylko z jednego powodu: żeby zawieźć mnie do lekarza i wreszcie ustalić, co ze mną jest nie tak.

W nowej szkole zaczynam naukę od piątej klasy. Mama załatwia z dyrektorem, że będzie mnie mogła zwalniać z lekcji na wizyty u lekarza. Gdy on oznajmi przez szkolny megafon: „Julie Gregory, zgłoś się do gabinetu dyrektora. Przyszła twoja matka”, mam wziąć wszystkie rzeczy i biec do mamy. Wiem, że tego dnia już nie wrócę do szkoły.

Doktor Phillips przepisuje następne lekarstwo na migrenę i podaje nazwiska specjalistów, którzy powinni mnie przebadać. Doktor się starzeje. Stoi przy biurku i nawet nie zapisuje tego, co mówi mu mama. Zaczął ją nazywać panią Gregory, a nie jak dawniej Sandy, chociaż ona wciąż prosi, żeby zwracał się do niej po imieniu. Radzi nam zmienić lekarza, bo mój przypadek jest bardzo skomplikowany. I wychodzi, chociaż mama nie skończyła jeszcze wyliczać moich objawów, o których chciała mu dziś powiedzieć.

- Nie do wiary. Widziałas to, Julie? Po prostu wyszedł. Chryste, czy on naprawdę zamierza tak mnie traktować?

- Nie martw się, mamó, znajdziemy innego lekarza.

- Zgadza się. Jeśli ma tak postępować, pokażemy mu! Pójdziemy gdzie indziej.

Tak właśnie robiłyśmy. Czasami jeździliśmy do innych hrabstw, żeby tamtejsi lekarze wysłali mnie na badania, o których mama czytała

w poczekalniach. Bywało, że wybierałyśmy się do Columbus i patrzyłyśmy z samochodu na dwupiętrowe, ceglane budynki przychodni, z obiecującymi szyldami specjalistów i naklejkami informującymi o refundacji wizyt przez ubezpieczalnię. Jest dobrze, kiedy jeździmy po przedmieściach i nie trzeba blokować drzwi.

Mama złości się za kierownicą.

- Jak on śmie? Nazywa mnie panią Gregory! Wysła gdzie indziej! A ja jeżdżę jak głupia z twojego powodu!

Kiedy zobaczy szyld, który ją interesuje, mówi ostrym tonem:

- Zapisz numer, to zadzwonimy z domu.

Rozglądam się po ulicach, z ołówkiem nad kartką, bardzo chcę znaleźć odpowiednią przychodnię, żeby mama się uspokoiła.

- Tutaj mogą być dobrzy lekarze. Zapiszę numer. Okej? Mamusiu?

- Chryste, Julie, nie pytaj! Choć raz wykaż inicjatywę i pomóż mi trochę! Wszystko muszę robić sama?

Tata siedzi w pokoju aż do końca wiadomości o jedenastej wieczorem. Potem zmienia go mama. Kuli się na końcu welurowej kanapy, pod stojącą lampą, która rzuca na nią snop światła. Siedzi nieruchomo, pogrążona w lekturze. Okulary do czytania, kupione w sklepie spożywczym, zsuwają jej się na koniec nosa.

W środku nocy idę na palcach do kuchni, żeby napić się wody. Mama jeszcze nie śpi. Liżąc palce, przewraca strony grubego *Domowego poradnika medycznego*.

- Co robisz, mamusiu?

- Och - odpowiada z roztargnieniem. - Szukam czegoś, Sis.

- Czego?

- Znow jesteś chora, kotku, a ta książka pomaga mi zrozumieć, co z tobą jest nie tak.

- Czy jest bardzo niedobrze?

- Widzę u ciebie dużo objawów, które tu opisali, ale są badania, które pozwolą nam wykluczyć groźniejsze choroby. Mam listę lekarzy, więc jesteś w dobrych rękach. Okej, Sissy?

- Okej. Dobranoc, mammo.

- Śpij dobrze, kotku.

Kolejny męczący, letni wieczór po dniu spędzonym na przybijaniu płyt kartonowo-gipsowych i rozciąganiu drutu kolczastego. Mama dała nam duszone mięso z warzywami w glinianym garnku, które nastawiła rano.

Pracowaliśmy cały dzień, a teraz, brudni i spoceni, przyszliliśmy jak zmęczone, zagubione ćmy do ciepłego blasku bijącego przez kuchenne drzwi, zabezpieczone siatką przeciw owadom.

Tata stał przygarbiony, ciężko dysząc, z rękami na oparciu żółtego fotela; do podkoszulka przykleiły mu się źdźbła trawy, włosy na nogach były zielone od roślinnego soku. bo biegał wzdłuż ścieżek i wokół przyczepy, żeby skosić wszystko przed zmrokiem.

Mama nakrywała do stołu.

- Dan. mówię poważnie, potrzebna nam pomoc. Przed zimą musimy skończyć dobudówkę i ganek.

Starała się o licencję opiekunki dla weteranów II wojny światowej, bo plotkowano, że baza sił powietrznych za rok przestanie istnieć. Mama wciąż nie mogła podjąć pracy zarobkowej. Moje migreny powróciły, byłam wiecznie zmęczona i miałam chorobę lokomocyjną. Usłyszała też coś niepokojącego w klatce piersiowej Danny'ego, więc zaczęła sprawdzać jego objawy w poradniku, tak jak moje.

- Słuchaj, Dan, mam na głowie dwa chore dzieciaki i nie mogę pracować, a ty cały dzień siedzisz na tyłku i oglądasz $M^*A^*S^*H$.

Mama twierdziła, że opieka nad weteranami to jedyny sposób na podwojenie dochodów. Dzięki temu tata nie musiałby się bać zamknięcia bazy, nadal rozbudowywaliby dom, a ona wciąż mogłaby być dobrą mamą.

- Poza tym - dodawała - Chester był tak żałosną i beznadziejną karykaturą dziadka, że byłoby dobrze przyjąć do domu kilku miłych, starszych panów. Chcecie, dzieci?

- Taaak, mamó - odpowiadaliśmy.

- Może byście więc powiedzieli to ojcu?

- Sandy - przerwał tata, który stał tuż przy nas. - Dzieciaki nie powinny przebywać w towarzystwie takich ludzi. Nie wiadomo, co mogłoby się stać. Pieniądze nie są tego warte.

- Ale Dan, jeśli ty nie...

- Cholera, kobieto, dość tego! Bez dyskusji! Teraz jedźmy!

Wszyscy usiedliśmy do stołu, podaliśmy sobie dłonie i oparliśmy je na blacie stołu, a tata pochylił głowę i odmówił modlitwę.

Jedliśmy w milczeniu. Danny i ja wbiliśmy wzrok w talerze i bezszelestnie postawiliśmy nasze plastikowe kubki na stole. Każdy metaliczny szcęk sztućców ze sklepu Dollar-Mart wydawał się trafieniem w odbywającej się bez słów szermierczej potyczce rodziców.

Nagle mama zwraca się do mnie piskliwym głosem:

Skończyłaś? Więcej nie zjesz? Po jaką cholere gotuję, jeśli nic nie |
|csz?

Dan?

Hm? - mruczy Dan z pełnymi ustami.

Słuchasz mnie? Patrz, jak mało je ta dziewczyna. Bądź wreszcie mę-
|
|czynną i zadbaj o wychowanie dzieci! Czy wszystko muszę robić sama?
|
|Jezu Chryste!

Julie, zjedz mięso, jak każe mama.

- I już? „Zjedz mięso, jak każe mama”. Załatwiłeś sprawę? Ty pieprzo-
|
|ny pedale, sukinsynu jeden!

tata rzuca nóż na stół.

- Do diabła, Julie, zjedz to cholerne mięso! Albo zjesz sama, albo cię
|
|zmuszę!

- Ale to są chrząstki, tato. - Przesuwam kawałki po talerzu, próbując je
|
|schować pod puree ziemniaczanym.

- Dan, naprawdę mam cię dość. Nie umiesz nawet namówić do jedzenia
|
|małej dziewczynki! Nie słucha cię nawet słabowite dziecko! Jak myślisz,
|
|dlaczego cały czas choruje? Dlaczego nie ma siły pracować? Hm? Bo nikt
|
|nie każe jej jeść. A ty tylko siedzisz jak Chester. - Kręci młynka kciukami.

„Okej, no to może zjedz mięsko, kochanie”. Rzygać mi się chce! Co
|
|z ciebie za ojciec? Udajesz mężczyznę, a nie potrafisz utrzymać rodziny
|
|ani nawet kazać córce jeść?

Tata wali pięścią w blat stołu, aż podskakują sztucce.

- Kurde, Julie, to tylko tłuszcz, od niego będziesz miała mięśnie. - Pod-
|
|rywa się z krzesła. - Powiedziałem, jedz!

W mgnieniu oka staje za mną. Swoją wielką dłonią odchyła mi głowę
|
|w tył i wciska oślizgłe mięso do ust.

- Zjadaj, mówię.

Matka patrzy, zamarta z widelcem w powietrzu. Zwisa z niego kawałek
|
|mięsa. Danny wbił wzrok w swój talerz; bezgłośnie płacze, wstrzymuje
|
|oddech.

- Mówiłam ci, żebyś słuchała ojca, ale nie, ty chyba myślisz, że on nie
|
|jest mężczyzną. Wydaje ci się, że to mięczak i możesz wejść mu na głowę?
|
|lak właśnie sobie myślisz. Że to żałosny dupek i pedał.

Palce taty poruszają się w moich ustach, wciskają kawałek chrząstki aż
|
|do gardła. Wygląda to tak, jakby Zielony Olbrzym próbował nawlec igłę.
|
|Do oczu napływają mi łzy; duszę się. Tata nie zdążył wrócić na miejsce,
|
|a ja już zwymiotowałam tłuszcz i cały stos innego jedzenia.

- Przynajmniej zjadła, Sandy. Nie ma mowy, żeby jakiś dzieciak nie słuchał mnie w moim własnym domu. - Grozi mi widelcem. - Rozumiesz, pannico? Ja tu rządę.

Mama miała prześliczny głos. Kiedy jechałyśmy samochodem do lekarza, zaczynała śpiewać: „Otwórz Biblię, poznaj święte słowa Boga. Słowa proroków i naszego Paaana. Gdy zabraknie innych ksiąg, ta jedna ci pomoże. Otwórz Biiiblię i zbaw swą biedną duszę”.

Śpiewała też o starym Indianinie o imieniu Kawliga, który miał serce z sękatą sosny i zakochał się w młodej Indiance, pracującej w sklepiu tytoniowym. Dziewczyna plotła warkocze i stroiła się w paciorki, mając nadzieję, że on ją zagadnie. Pewnego dnia przyjechał bogaty poborca podatkowy, zabrał ją ze sobą i odtąd słuch po niej zaginął. Już wtedy wiedziałam, że tą dziewczyną była moja mama.

„Biedny, stary Kawliga nigdy nie dostał buziaka, biedny, stary Kawliga nie wie nawet, co stracił. Nic więc dziwnego, że jego twarz jest czerwona, głowa Kawligi w drewnie wyrzeźbiona”.

Lubiła Boxcara Williego. Podczas godzinnych podróży do przychodni najczęściej śpiewała jedną piosenkę: „Słyszysz samotnego lelka? Jest smutny, nie wzbije się w powietrze. O północy przyjeżdża pociąg, jestem tak samotny, że chciałbym uuuumrzeć”.

Czasami mama płacze, śpiewając. Głos nie łamie się jej ani trochę, ale po policzkach płyną strugi łez. Mówię jej, że powinna występować w radiu.

- Oj, Sis, kto by mnie tam słuchał?

- Ja, mamusiu! Zapłaciłabym milion dolarów, żebyś mi śpiewała! Masz głos jak Patsy Cline.

Gdy samochód prowadzi tata, włącza radio na cały regulator albo się wścieka:

- O rany, Sandy, śpiewaj ciszej, nie przeszkadzaj mi myśleć!

Kiedy jesteśmy same, mama podnosi oparcie fotela, żeby usiąść prosto, kładzie dłonie na kierownicy i śpiewa tak głośno, że dźwięki wypełniają cały samochód. Staram się jej wtórować, śpiewamy piosenki z czasów Smokeya i pieśni gospel z małych zborów na wsi, które czasami odwiedzamy. Mama nauczyła się nawet jodłować, kiedy podróżowała z cyrkiem; brzmi to, jakby w gardle podskakiwało jej jo-jo. Próbuję jodłować razem z nią ale udaje mi się zaśpiewać tylko kawałek *Swiss Miss*. Siedzimy sobie, śpiewając piosenkę, mama patrzy na mnie z uśmiechem,

a ja - uradowana jej miłością - czuję się tak, jakby mój głos wznosił się do nieba.

Mama nie mogła ścierpieć, gdy jakaś żywa istota była głodna.

- Och, kochanie, przykro mi patrzeć na tego zabiedzonego źrebaka. Nie-szczęśnik jest przywiązany, nie może się ruszyć. - Mijałyśmy źrebaka o wystających żebrach za każdym razem, gdy jechałyśmy do miasta. - Julie, wspaniale do wiadra dwie miarki owsa z melasą, to nakarmimy biednego konika.

Zawsze była gotowa śpieszyć z pomocą cierpiącym zwierzętom. Gdy jadąc autostradą, zauważyłyśmy na poboczu czarną, wypchaną torbę na śmieci, zawiązaną u góry, którą jakiś kierowca wyrzucił przez okno, zatrzymywała się i kazała mi sprawdzać, czy nie ma w niej kociąt. Do dziś zwracam uwagę na torby przy drodze, sprawdzam, czy nie ruszają się w nich jakieś zwierzątka.

Wychowywałam się w otoczeniu psów. Zapchłone, brudne, głodne i porzucone przez właścicieli, znajdowały drogę do serca mojej matki - i na farmę.

Tuż po wprowadzeniu się wzięliśmy Czarną, kudłatą sukę ze wsi, która co najmniej raz odwiedziła każde z okolicznych gospodarstw. Mama hodowała kilka psów rasowych, kupionych z ogłoszenia, by je rozmnażać i trochę zarobić na szczeniętach. W kojcach przy drewnianym domku mieszkały więc małe pekińczyki i shih tzu. Ubłagałam mamę, żeby pozwoliła mi trzymać w domu P. J., ulubioną suczkę shih tzu. Gdy P. J. się oszczeniła, zrobiliśmy młodym kojcem w pralni. Mama sprzedała cały miot najszybciej, laskę się dało. P. J. wyła całymi dniami, gdy mama odebrała jej szczeniaki, krążyła po kojcu, drapała drzwiczki. Wtedy zabierałam ją i chowałam pod swoją kołdrą, tuliłam, pomagałam zapomnieć. Tygodniami trzymałam suczkę w swoim pokoju, mając nadzieję, że mama nie zauważy. Dwa razy dziennie wyprowadzałam ją na spacer; pod łóżkiem stawiałam puszkę z psią karmą.

Najnowszym psim dodatkiem do rodziny był szceniak, którego wzięłyśmy z autostrady, gdy próbował zjeść jakieś przejechane zwierzę. Można mu było policzyć wszystkie kręgi w ogonie. Wskoczyłam z samochodu i podniosłam go za skórę na karku. Dał nura w torebkę mamy i pożarł całe opakowanie miętówek.

Och, ty śmierdzący szczeniaku! - wykrzyknęła mama.

Stąd wzięło się jego imię. Śmierdziel.

Nasze dwa duże psy towarzyszyły mi podczas przerażających wycieczek nocą do garażu, gdy tata kazał mi zgasić światło, oraz kiedy rozciągałam kilometry drutu kolczastego w nieznośnym upale. Czarna miała łagodne usposobienie, a w jej sierści tkwiło mnóstwo rzepów, które przyczepiały się, kiedy biegała po lesie. Śmierdziel, zawsze czujny, dbał o swoje jedzenie tak bardzo, jak my - o swoją prywatność. Sokolim wzrokiem wypatrzył każdy kąsek. Kiedyś, wybierając się na ryby, nadzialiśmy na haczyki kawałki boczku, bo potajemnie wypuściłam na wolność robaki z wiadra. Nie znosiłam łowić ryb: czasami nad stawem wybuchałam płaczem, patrząc, jak mama nabija robaka na haczyk i wrzuca go do wody na pewną śmierć. Gdy tylko mogłam, przewracałam wiaderko i zrzucałam winę na opsy. Boczek nie spełnił jednak swojej roli jako przynęta. Spławik nie drgnął ani razu. Oparliśmy wędki o ścianę szopy. Następnego ranka zobaczyliśmy Śmierdziela, ciągnącego wędkę po podwórku: w jego górną, obrzękłą wargę wbity był haczyk z kawałkiem boczku, który wyglądał jak przyszyty do pyska.

Na ten widok mama wybuchła śmiechem.

- Skocz po pęsetę, Sis. Śmierdziel się złapał. Ale z niego głupek!

Od początku szóstej klasy opuściłam tyle dni nauki, że ze szkoły przysłano list z informacją, iż jeśli moja frekwencja się nie poprawi, będę musiała powtórzyć rok.

W dni wizyt u lekarzy robimy też zakupy. Inaczej trzeba byłoby specjalnie przyjeżdżać do miasta, a mama nie lubi samotnych wycieczek. Ponieważ dzień i tak jest stracony, co szkodzi zatrzymać się w nowej hurtowni odzieżowej? Lepiej upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Mama i ja bierzemy wózki i chodzimy po sklepie, wygrzebując z koszy wszystko, co warto przymierzyć.

- Co o tym myślisz, Sis? Na plażę? - Mama podnosi kostium ze złotą lamówką.

- Och, byłoby ci w tym świetnie, mamo!

Spędzamy całe godziny w przymierzalniach, wnosimy tam naręcze kolorowych ubrań i przeglądamy się w potrójnych lustrach. Mama staje przed moją kabiną i pyta:

- Jak tam, Sis? Wyjdź, jak się przebierzesz.

Jestem bardzo dumna, że noszę dziewczęcy rozmiar 6X.

Kiedy już wyjdę, wygładza mi spodnie i bluzkę, po czym decyduje: tak czy nie. Ubrania, które jej się nie spodobały, przerzucam nad drzwiami

kabiny, a mama je odwiesza. Potem się zamieniamy i ona przymierza ciuchy ze swojego przepełnionego koszyka. Ponieważ do przymierzalni można wnieść tylko 10 sztuk za jednym razem, biegam do wózka i z powrotem żeby wymienić ubrania, których mama nie chce.

Kupujemy rozmaite stroje na różne okazje: do szkoły, do lekarza, do kościoła, na czas, gdy wykończymy dom i zaczniemy zapraszać gości. Ładujemy do naszego kombi 25-kilogramowe worki obroku dla koni, 10-kilogramowe opakowania suchej karmy dla psów oraz torby z żywnością nie mówiąc o nowych, betonowych figurkach ze sklepu ogrodniczego, które staną na podwórku, oraz o pstrokatych glinianych psach i kotach na-----j wielkości, pokrytych warstwą błyszczącego lakieru. Mama ustawi je w przyczepie.

Sadowię się na przednim siedzeniu i układam stos toreb na podłodze, pod swoimi stopami. Wracamy do domu odmienione po zakupach w ta---hsklepach Penney's Outlet, Sears, Value City i Kmart. Gdy oddaliśmy się od miasta, grzebię w torbach, gładząc tkaninę swojego nowego życia, które zacznie się już jutro, wyobrażając sobie, że będę pięknie wyglądać i wszystkie dzieciaki w szkole wreszcie zaczną mnie lubić. Wchodząc z mamą do sklepu, mam tak dobry nastrój, że zapominam o poranku w szkole. Nie myślę już o dwóch godzinach spędzonych u lekarza. Moja pamięć jest jak kartka, w której po każdym zakupach w sklepie pojawia się kolejna dziura, aż wcześniejsze wydarzenia dnia stają się tylko strzępami. Liczy się tylko torba ubrań, którą przytrzymuję stopami, zadowolona matka za kierownicą i cudowne uczucie, że od tej pory wszystko będzie lepiej.

Skracając w Burns Road, mama mówi, że lekcje mogę odrobić jutro w autobusie. Muszę wyjąć z samochodu worki z owsem i psią karmą, rozpakować jedzenie, nakarmić konie i pozmywać po kolacji, więc i tak nie zdążę położyć się spać o zwykłej porze.

Mam nasiusiać do pojemniczka. Nie mogę. Przecież nikomu nie powiem, że zapomniałam o zakazie i poszłam do toalety, kiedy mama czekała przy recepcji.

Biorę jednak pojemnik i siadam na sedesie, przykrytym zimnym papierem. Nic. Pocieram się pojemniczkiem, ale nie udaje mi się wycisnąć ani kropelki. Mama będzie wściekła. Jeśli się nie wysusiam, lekarz nie będzie chciał nas przyjąć. Muszę się postarać. Jechałyśmy tak długo. Opuszczam cały dzień w szkole, żeby iść do specjalisty. Musi mi się udać. Tak mocno przyciskam do siebie pojemniczek, że na skórze pozostaje czerwony ślad.

Odkręcam kran z zimną wodą i wkładam rękę pod strumień, opierając c/o ło o chłodną, białą umywalkę. Znów nic. Siedzę tu 15 minut i ani kropli. Zostawiam pojemniczek na umywalce i wracam do poczekalni.

Mama wie. Staję przy niej, a ona wbija mi paznokcie w udo. Pochyla się, jakby powierzała mi jakąś tajemnicę, ma spokojną twarz. Mocno mnie szczypie i sapie mi do ucha. Łapie mnie za łokieć kciukiem i palcem wskazującym i prowadzi do recepcji.

- Przepraszam panią... - Potem zwraca się do mnie. - Powiedz, co zrobiłaś.

- Przepraszam bardzo, ale nie mogłam.

- To nic, kochanie, zapiszemy cię na inny...

- Niech pani posłucha, z tą małą naprawdę jest coś nie tak, skoro nie może nawet nasiusiać do pojemnika. Nigdy przedtem tak nie było. Na pewno jest ciężko chora. Czy lekarz mógłby ją jednak zbadać?

- Naprawdę wszystko w porządku, pani Gregory. Dzieciom często się to zdarza.

- Ale temu dziecku nigdy!

- Przykro mi, ale wszyscy nowi pacjenci muszą dać mocz do analizy.

Pielęgniarka zapisuje nas na inny dzień, a ja podchodzę na palcach do obitych wełnistą tkaniną foteli. Są tak szerokie, że na jednym zmieściłyby się swobodnie trzy osoby mojej postury. Siadam i macham nogami. Przesuwam się na bok fotela, kładę nadgarstek na zimnym, metalowym oparciu, grubszym niż moja ręka. Jestem dumna, że zajmuję tak mało miejsca. Będę się kurczyć i kurczyć, aż kiedyś stanę się suchym, opadłym liściem, z półprzezroczystym ogonkiem i żyłkami. Silny wiatr poderwie mnie do góry, wysoko, aż do błękitnego nieba.

Wyobrażam sobie siebie, wychudzoną i wycieńczoną. Mama patrzy z miłością i wszystko za mnie robi, bo jestem słabowitym, ale pogodnym dzieckiem, które od środka zżera niewidoczny rak. Wyobrażam sobie, że mam piękną, łysą głowę. Jedwabna chustka będzie świetnie wyglądać, zawiązana w duży węzeł na moim bladym karku, z końcami opadającymi na plecy. Jestem nietykalna. Nikt nie odważy się naśmiewać z dziewczynki chorej na raka. Wszyscy są mili, bo ona może lada moment umrzeć.

Tej nocy śni mi się coś, czego nie zapomnę do końca życia. Brodę po naszym strumyku o dnie z łupkowych skał. kostki obmywa mi brudna woda, która zebrała się po ulewnym deszczu. Mama zawsze mnie ostrzegała, że bym nie wchodziła tam po burzy; wystarczy, że osunie się jeden płaski

kamień, a wpadnę do podziemnej jaskini i już nigdy nie wyjdę. Myślę o jej słowach, powoli posuwając się naprzód, łapiąc się gałęzi i badając dno palcami stóp. Nagle moja stopa natrafia na śliski mech; gdy próbuję się czegoś uchwycić, łupek pęka pode mną jak skorupka na cieście. Przewracam się i woda porywa mnie w podziemny tunel, który biegnie pod kątem, jak zjeżdżalnia na basenie. Ściany są z gładkiej, wilgotnej gliny. Ześlizguję się coraz szybciej, wzburzona woda niesie mnie aż do jądra Ziemi. Tunel staje się węższy i bardziej stromy, ściany przyciskają mi ręce do boków, więc zjeżdżam wyprostowana jak strzała. Nie boję się. Pogodziłam się z sytuacją. Zsuwam się coraz niżej i niżej. We śnie wiem, że nigdy, ale to nigdy, nie wrócę na powierzchnię i nie zobaczę już światła dziennego.

Karta pacjenta s. 60 - tłumaczenie

Pacjentka: Julie Gregory nr 1798.18

Objawy: zob. załącznik.

Pacjentka miała zapalenie migdałków w sierpniu i wrześniu, teraz znów w grudniu. Matka opisuje wiele innych objawów; część z nich nie ma prawdopodobnie żadnego związku z tą chorobą. Proszę o konsultację laryngologiczną. W marcu bieżącego roku miała badania górnego odcinka przewodu pokarmowego, które nie wykazały żadnych zmian.

Inne:

Badania przedmiotowe:

Badania laboratoryjne:

Bardzo proszę o powiadomienie o wyniku konsultacji. Proszę o powiadomienie mnie przed decyzją o ewentualnej hospitalizacji.

Data: 20 grudnia 1978

Podpisano:

Pierwszym weteranem wojennym, który wszedł po żwirowym podjeździe do naszej przyczepy, był pan John Beck. Walczył podczas II wojny światowej. Większą część życia spędził w szpitalu dla weteranów. Nie ożenił się; jego renta i pieniądze z ubezpieczalni spływały na konto, z którego nie wolno mu było samodzielnie korzystać. Gdy potrzebował pieniędzy, musiał się zwracać do swojego opiekuna i to on podejmował decyzję.

Pan Beck z trudem szedł po korytarzu, szurając po wykładzinie plastikowymi podeszwami swoich tanich kapci z Kmart. Tłustymi, posiniaczonymi rękami chwycił się krzeseł, blatów i krawędzi akwarium, jak akrobata cyrkowy, który stara się zdążyć do toalety.

Beck, jak nazywała go mama, był cukrzykiem. Brał insulinę, a raczej ona podawała mu ją dwa razy dziennie, czasami podwajając dawkę, jeśli nie miała czasu zrobić mu zastrzyku o stałej porze.

Beck wyglądał jak zwiedły bakłażan na straganie. Ciemnofioletowa tkanka pod jego skórą była twarda jak mięsień, ale dziwna i napięta, jakby już nosił w sobie śmierć, która zaczynała go usztywniać od wewnątrz. Spędzał dużo czasu w toalecie, a potem z trudem wracał do swojego pokoju, gdzie padał jak kłoda - nogi puchły mu tak bardzo, że nie mógł ich zgiąć - na fotel przed małym, czarno-białym telewizorem, który odbierał tylko jeden program: zakłócenia.

Pan Beck codziennie przesiadywał w fotelu, wędrował do toalety i z trudem przychodził do kuchni, kiedy zawołała go mama. Jadł przed nami, bo

mama nie mogła patrzeć, jak żuje z otwartymi ustami, a z ciemnej, bezzębnej dziury wypadają kawałki jedzenia.

Gdy przybywali kolejni weterani, mama gotowała smaczną kolację. Rozkładaliśmy stół w jadalni, przynosiliśmy dobre krzesła i próbowaliśmy stworzyć rodzinną atmosferę. Mama, z przekrzywioną głową, starała się wciągnąć starszków w rozmowę. Wypytywała o krewnych i przeżycia z czasów wojny, ale weterani na ogół niedosłyszeli albo byli tak oszołomieni lekarskimi przepisami w państwowej przychodni, że tylko potakiwali, z podbródkami kilka centymetrów nad talerzem. Niektórzy słyszeli całkiem dobrze, ale nie mieli ochoty rozmawiać z żadnym z nas. Wiedzieli, że jesteśmy mili tylko z powodu comiesięcznych czeków, więc szkoda im było zachodu na odwzajemnianie uprzejmości; pracowaliśmy dla nich. Po jakimś czasie mama przestała zapraszać ich do stołu, by jedli z nami; podawała im posiłek oddzielnie, wczesnym popołudniem. Niedługo potem znudziło jej się gotowanie dla nich. Zaczęła ich karmić bieżą z resztek, wymieszanych i podgrzanych na starej patelni, z której łuszczył się teflon. Twierdziła, że i tak nie czują żadnego smaku.

A oni przychodzili i odchodzili, tych silniejszych zabierano, słabsi zostawali dłużej. Jeden mieszkał u nas na stałe: Beck, we flanelowej koszuli, przykrótkich, kraciastych spodniach z poliestru, rozciągniętych podkołanówkach, które zsuwały mu się do kostek, z drewnianymi nogami, skórą w kolorze bakłażana i twarzą pomarszczonego żółwia.

Mieszkał u nas wiele lat, był najfajniejszym weteranem. Pojechał z nami na wycieczkę do Disneylandu, za którą mama zapłaciła pieniędzmi z jego konta; siedział spocony w zaparkowanym samochodzie z zamkniętymi drzwiami i oknami, podczas gdy my przechadzaliśmy się po parku. Wychodząc z domu na dłużej, na przykład w dni moich wizyt u lekarza, mama naciągała czarny plastikowy worek na śmieci na siedzenie fotela Becka i zamykała drzwi jego pokoju na klucz.

Moja matka sprawiała wrażenie normalnej. Minęły czasy Smokeya, gdy uśmiechała się jak gwiazda filmowa i nosiła kowbojskie, zamiszowe stroje z frędzlami oraz paski z wielkimi, turkusowymi kłamrami. Przy moim ojcu straciła rozmach. Tak jakby sama zamknęła się w rozsądnych nawiasach. Pastelowe kolory, proste blond peruki, twarz pełna życzliwości i zainteresowania, gdy rozmawiała z kimś spoza rodziny. Potakiwała i mówiła „rozumieć” regularnie jak w zegarku. Było tak, jakby wszystkie komórki w jej ciele zmutowały i rozmnożyły się, wspólnie pracując na pełnych obrotach, by zrobić wrażenie na rozmówcy.

Wysuwała głowę w przód, żeby okazać szczerze zainteresowanie tematem, nieważne, czy były to ceny wieprzowiny, czy polityka, o której nie miała pojęcia. Kiwała głową, wpatrywała się uważnie w osobę, z którą rozmawiała, układała dłoń w kształt litery L: kciuk pod brodą, dwa palce z boku twarzy. Matka mogłaby szkolić stewardesy. Odbierała ludzkie reakcje jak najczulszy radar, z prawie niezauważalnego grymasu ust lekarza lub sposobu, w jaki się odwrócił, wnioskowała, że bagatelizuje moją chorobę; natychmiast zdawiała wysiłki, by przekonać go o konieczności przeprowadzenia jeszcze jednego badania, tak na wszelki wypadek. Potrafiła wywęszyć w powietrzu najmniejszy ślad obojętności.

Teraz, gdy mieliśmy Becka, a tata wciąż pracował - nie mówiąc o dodatkowych dochodach ze sprzedaży szceniąt - mama zgromadziła w szafie sto par butów. Ustawione kolorystycznie, w równych rzędkach, czekały na wyjścia, kolacje i imprezy, na które kiedyś zabierze ją tata. Lubiłam je liczyć, kucałam wtedy przed półkami. To było prawdziwe muzeum butów. Wypełniały wielką szafę na ścianie sypialni rodziców, a kiedy tata dobudował jeszcze jeden pokój, ustawiła je w rzędach przy ścianie, wzdłuż całego pomieszczenia. Sześciometrowy pas butów głęboki na trzy pary: koturny, kowbojki różnych kolorów - niektóre z wysokimi obcasami do tańca - klasyczne pantofelki, plastikowe klapki na plażę, espadryle... Tkwiły tam jak miny, które lada chwila mogą wybuchnąć. Mama często stawała przed szafą i przymierzała ubrania, uświadamiając sobie, że traci młodość w tej przekłętej dziurze, przy mężu, którego nigdy nie ma w domu, z niewdzięcznymi dziećmi na głowie.

Tata wraca z pracy, staje na małym ganku przed drzwiami i nuci: „Sissss-sy, Dannnnny”, a my biegniemy do niego na wyścigi, radośni jak szczenięta. Rzucam się w jego silne ramiona, a mój brat próbuje objąć twarde, wielkie brzuszysko lub tylko chwyta go za nogę. Pomimo wielkiego brzucha tata wciąż ma chude nogi z twardymi łydkami; bary i ramiona nabite jak u Popeye'a, przechodzą w szczupłe, mocne, umięśnione przedramiona.

Gdy już się przywitamy, tata opada na fotel, chwyta za dźwignię, żeby odchylić w tył oparcie, włącza *M*A*S*H* i mówi:

- Przynieś mi dietetyczny napój, Sissy.

Mama czeka w kuchni, żeby przyszedł i pocałował ją na powitanie. Tata zwykle o tym zapomina, więc mama wbiega do pokoju dziennego.

- Nie poganiaj małej, Dan. - Rozciąga samogłoskę w jego imieniu.

- Ona to lubi, prawda, Sissy?! - odkrzykuje tata z fotela.

Ja zawsze potakuję, bo tata jest dla mnie najmiłszy, kiedy mu usługuję.

Podłoga wokół tronu taty jest zavalona resztkami jedzenia i opakowań ze sklepu 7-Eleven: torebki z solą i kilkoma połamanymi paluszkami na dnie, stare puszki po napoju Tab, kawałki galaretki, które przykleiły się do boku fotela. Co tydzień przychodzę tu z odkurzaczem i wyciągam brudy z zagłębień mebli tapicerskich wraz ze wszystkimi resztkami, które Beck rozrzucił wokół stołu.

Gdy mama spędziła zbyt dużo czasu przed szafą, zaczyna rozmowę z tatą od razu po jego powrocie do domu. Czasami nawet dzwoni do niego do pracy. Mówi, żeby natychmiast przyszedł i zrobił coś z tymi okropnymi dziećmi, bo sama nie może dać sobie z nimi rady. Nasłuchuje warkotu silnika jego samochodu i wybiega do pokoju dziennego, żeby mieć na oku drzwi.

- Dan - zaczyna, gdy tylko ojciec wejdzie. - Naprawdę musisz coś zrobić z tymi dziećmi. Doprowadzają mnie do szału.

Tata stoi w przedpokoju, w ręce trzyma pudełko z lunchem. Mruga, żeby przystosować wzrok do półmroku panującego w przyczepie. Mama nerwowo opowiada o naszych zbrodniach, do których przecież nie bylibyśmy zdolni. Zналиśmy przecież na pamięć *Ojciec nasz* i robiliśmy krzyże z wypalonych zapałek podczas letniego obozu religijnego. Uczyliśmy się pilnie w szkółce niedzielnej i sądziliśmy, że dzieci, które nie zjadają do końca gulaszu, całą wieczność smażą się w piekle. Mówiliśmy nawet kolegom w szkole, że Jezus jest naszym Zbawicielem. Nie potrafilibyśmy wymówić słów: „kurwa” lub „cipa”, nie zналиśmy zresztą ich znaczenia. Ale mama mówi, że właśnie tak ją wyzywaliśmy.

Tata stoi nieruchomo w swoich ubłoconych, podkutych butach.

- Co ty na to? Potrzebują ojca, który narzuci dyscyplinę. Trzeba je przywołać do porządku.

- Co mam zrobić, Sandy, spuścić im łanie? - Jest zmęczony. - Spójrz. Mamy dwójkę ślicznych brzdąców, które po prostu zachowują się jak dzieci. Mam je za to karać?

Oddychamy z ulgą. Mama denerwuje się coraz bardziej, między jej wargami zaczyna się tworzyć biała kulka śliny. Pochyliła się do ojca z ręką opartą na biodrze.

- Okej. - Klepie się dłonią w udo. - Nie pozostawiasz mi wyboru. Nie chciałam ci tego mówić, ale jednak musisz wiedzieć, jak okropnie zachowują się te smarkacze.

Danny i ja stoimy sztywno przy welurowej kanapie, pojękując.

Rzuca nam groźne spojrzenie.

- Widzisz, Dan? Przerzywają własnej matce. A ty nawet nie kiwniesz palcem, żeby przywołać je do porządku.

- Dzieci, nie przerywajcie mamie.

- Dobra, Dan, powiem, co zrobili ci cholerni gówniarze. Na pewno wtedy zdejmiesz pasek i stłuczysz ich na kwaśne jabłko.

Ściskam w palcach fałdkę weluru na kanapie, Danny przestępuje z nogi na nogę.

- Poszli dziś do garażu, rozumiesz? - Tata się prostuje. - Rozumiesz? - powtarza pytanie, żeby ojciec potaknął. - Przyłapałam ich na zabawie twoimi narzędziami. - Tata podnosi głowę. Jego narzędzia. Wygrała. - Powiedziałam im: „Dzieci, przecież wiecie, że tata nie lubi, kiedy dotykacie jego rzeczy, więc wyjdźcie stąd natychmiast”. Wiesz, co oni na to?

Chce wiedzieć. Co powiedzieli ci cholerni smarkacze, bawiąc się narzędziami, których nie wolno im dotykać?

- Powiedzieli, wcale nie żartuję... - Wykrzywia usta. - „Pieprzyć starego”. - Tata rozpiną pasek. - A potem jeszcze: „To głupek, i tak nie zauważ”. Wiesz, co zrobili? Wzięli twoją nową zębatkę i wrzucili do stawu, chociaż krzyczałam i błagałam, żeby odłożyli ją na miejsce!

Słuchamy z wytrzeszczonymi oczami. Gdy dochodzi do zębatki, protestujemy.

- Nazywacie własną matkę kłamczucha? Co? No, gadać, do cholery! Powiecie mi, że wasza mama zmyśla? Kłamie w żywe oczy? Jestem waszym ojcem, nie dam się nabrać! Ściągaj portki, Dan!

Danny nigdy przedtem nie dostał paskiem. Krzyczy tak głośno, że zagłusza mój szloch. Tata bierze zamach i uderza. Na gładkiej skórze Danny'ego natychmiast pojawia się czerwony ślad jak po oparzeniu. Ze mną będzie inaczej. Jestem starsza, mam nadzieję, że tym razem ujdzie mi na sucho. Rozpinam spodnie, ale jestem za duża, żeby tata przełożył mnie przez kolano. Ściskam palcami grube oparcie kanapy; moje pośladki nie znajdują się jednak na odpowiedniej wysokości, żeby tacie było wygodnie bić. Ryczy z wściekłości, tak że nie słychać moich gorączkowych wyjaśnień.

- Liczę do trzech. Raz, dwa...

Chce mnie złapać za rękę. Wybiegam z pokoju przez drzwi z siatką na owady, wyskakuję na ganek i dalej, za basen. Pędzi za mną i chwytą mnie za nadgarstek, ten, który miałam złamany. Zatrzymuje mnie tak gwałtownie, że tracę równowagę. Padam na trawę, ojciec bije mnie po rękach, nogach, głowie i twarzy. Naznacza swoim ulubionym paskiem, twarde krawędzi

robią czerwone pręgi na mojej skórze. Mama wymyka się frontowymi drzwiami i po cichu idzie do garażu. Musi wyjąć tę zębatkę ze skrzynki z narzędziami na wypadek, gdyby sprawdził.

Zdarzają się lepsze dni. Mama rano włożyła pastelowe ubranie, godzinę kręciła włosy i spryskała je obficie lakierem z dużego różowego pojemnika. Starannie dobrała buty, odpowiednie na wizytę ze mną u lekarza. Kazała mi patrzeć, jak się stroi, i pochwalić rezultat. Mam stanąć na wannie i sprawdzić, czy loki układają się dobrze z tyłu głowy. U lekarza przybliżamy się trochę do odkrycia przyczyn mojej tajemniczej choroby. Tata pamięta, żeby po pracy iść do kuchni i pocałować mamę na powitanie. Wszystko jest tak, jak należy. Wieczorem po takim dniu ojciec głośno beka, opada na fotel, rozpina rozporek i wsuwa tam rękę.

Gorsze czasy przeplatają się ze wspaniałymi chwilami, których jest tyle, te przyznaję rację rodzicom, gdy mówią, jak szczęśliwe mamy dzieciństwo. Przecież dzieci w Afryce mrą jak muchy. Czasami nie przejmujemy się niczym, mówimy: „Do diabła z indykiem w Święto Dziękczynienia!”, i jemy krewetki, ciesząc się wolnością. Jesteśmy wolni - od krewnych, sąsiadów i znajomych. Nikt niczego nam nie narzuca. Wkładamy potrawkę z puszki do garnka do fondue, a na kolację świąteczną jemy japońskie gotowe danie, wymieszane z kostkami sera i grzybami. Kto mówi, że mamy przestrzegać jakichś zasad?

Tata gotuje, kiedy ma ochotę. Większość weekendów spędza na oglądaniu telewizji lub majsterkowaniu w garażu, ale czasami wstaje wcześniej, wymiotuje, zdejmuje z półki ciężką patelnię oraz termometr i wspólnie / nami przygotowuje karmelki.

Spiskujemy, żeby zdobyć aromaty spożywcze, bo mamie szkoda na nie pieniądze. Kiedy wszyscy jesteśmy w mieście i mama robi zakupy, ukradkiem podchodzę z tatą do stoiska. Jak szpiedzy, pytamy szeptem, czy możemy dyskretnie wybrać aromat. Sprzedawca podejmuje grę. Sprawdza, czy nikt nas nie obserwuje, a potem uchyla drzwi szafki, w której stoją setki fiolek z aromatami: karmelowym, owocowym, truskawkowym, melonowym, ziołowym...

Tata wylewa całą butelkę syropu na patelnię, a ja wybieram smak z naszej powiększającej się kolekcji. Słodka, gęsta masa musi później zastygnąć na pergaminie. Tata - w mechatycznych rękawicach do łokci - w odpowiednim czasie, co do sekundy, gdy temperatura jest taka, jak trzeba, krzyczy:

- Uwaga, Sissy! Uwaga! -I biegnie przez kuchnię, żeby wylać masę na papier, zanim zaczniesz tężeć.

Schodzę tacie z drogi. Po chwili posypuję stygnącą całość cukrem pudrem. Wreszcie bierzemy z tatą karmelowe arkusze i kruszymy je na kawałki, uderzając o krawędź blatu. Rozbijam je młotkiem na jeszcze mniejsze części, które zmieszczą się w ustach.

Inne szczęśliwe chwile zostały uwiecznione na zdjęciach jako rzeczowy dowód, że byliśmy normalną rodziną, w każdym znaczeniu tego słowa. Wetknięte w świąteczne kartki, opisane pochyłymi literkami mamy i opatrzone własnoręcznym podpisem każdego z członków rodziny zdjęcia przedstawiające nas na pustyni, w tekturowej paszczy rekina w Wodnym Świecie, szczerzących zęby przy koniach, podnoszących w górę szarfy zdobywców drugiego miejsca w zawodach jeździeckich - trafiały pocztą do dalekich krewnych i przyjaciół z przeszłości, na których mama desperacko pragnęła zrobić dobre wrażenie.

Można jednak odkryć prawdę, uważnie przyglądając się zdjęciom, które nie spłonęły w pożarze. Na jednym z nich, z polaroidu, ja, mania i Danny siedzimy wśród podartych opakowań pod choinką, pięknie przystrojona bombkami i soplami. Otaczają nas prezenty: lalka Stretch Armstrong, szkatułka na biżuterię z baleriną na wieczku, tor dla samochodzików, kostka Rubika, spirograf, gra planszowa, zestaw do szydełkowania, kolekcja książek dla dzieci *Black Beauty i inne powieści*. Ma to dowodzić, w jak radosnej atmosferze spędzamy święta. Danny ma głupkowatą minę klauna, mama wyciąga szyję i zmusza się do uśmiechu. Tylko moje opuchnięte od płaczu oczy zdradzają, co naprawdę stało się tego ranka: mama biegała z krzykiem po przyczepie, grożąc, że popełni samobójstwo.

Danny był w ostatniej grupie w przedszkolu, gdy mama wykryła niepokojące szmery w jego klatce piersiowej. Wszyscy spodziewaliśmy się, że czeka go tylko przedmuchiwanie uszu i usunięcie migdałków, tak jak zrobiono ze mną. Tymczasem mama oznajmiła, że mały oddycha z trudem, więc będzie mu potrzebny inhalator.

- Wszystko w porządku, Danny, na pewno możesz oddychać? - Mama staje za moim braciszkiem i kładzie mu dłoń na plecach, a on charczy i sapie. - Nie może złapać tchu, kiedy jesteśmy w domu.

Chwyta w dwa palce kosmyk gęstych, złotych włosów Danny'ego i łagodnie odsuwa mu go z twarzy, żeby lekarz lepiej widział. Danny siedzi

w gabinecie, przygarbiony, od czasu do czasu parszcząc, jakby się topił. Ja siedzę na drugim krześle. Mama musiała zwolnić mnie ze szkoły, bo inaczej, po zakupach, nie zdążyłaby wyjść po mnie na przystanek.

- Co dziwne, w szkole oddycha normalnie. Myślę, że ma te ataki astmy, bo pyła rośliny na łąkach. Wokół naszego domu rośnie mnóstwo koniczyny i ambrozji zachodniej, panie doktorze.

Mama sprawdziła objawy Danny'ego w poradnikach medycznych ze swojej kolekcji. Wykupiła subskrypcję na serię *Tune-Life*. Żadnych zobowiązań, w każdej chwili można zrezygnować. Książki piętrzą się przy kanapie jak miniaturowe schody: *Encyklopedia chorób*, *Narządy wewnętrzne i ich funkcjonowanie*, *Poradnik farmaceutyczny*. Czyta je do późnej nocy, kiedy my już dawno śpimy, wyszukując nasze objawy, żeby podpowiedzieć doktorowi, jakie trzeba zlecić badania i jakimi środkami powinien nas leczyć.

Danny chodzi po domu z wetkniętym w usta białym plastikowym inhalatorem.

Mama łązi za nim.

- Wszystko w porządku, Danny? Możesz oddychać swobodnie? Nie zaczynasz się dusić, kochanie? Zaczekaj, sprawdzę, co się dzieje. - Jedną rękę kładzie mu na plecach, druga, z przodu, podnosi się i opada przy każdym świszczającym wdechu Danny'ego.

Minał tydzień. Danny leży na kanapie, ssąc inhalator jak smoczek. W czasie reklamy tata odwraca wzrok od telewizora.

- Synu, co ty masz w ustach, do jasnej cholery?

Mama natychmiast wyskakuje z kuchni.

- Dan, już dawno chciałam o tym z tobą porozmawiać. - Staje przed telewizorem. - Kiedy to wyłączysz. Dan... - Zawiesza głos, oblizuje wargi. - Twój syn ma astmę. Powinieneś wiedzieć, w jakim ciężkim jest stanie. Mówię ci, nie wygląda to dobrze. - Tata mruga i potakuje, a potem próbuje ją przepędzić sprzed telewizora, machając ręką. - Pogadamy o tym w czasie reklamy.

Mama wznosi oczy do nieba i wraca do kuchni. Podczas następnej reklamy tata energicznie podrywa się z fotela. Nakrywam do stołu i nagle czuję, że cała przyczepa się trzęsie. Przez szczelinę między szafkami a blatem widzę ich torsy. Tata chwytą mamę za nadgarstek i przyciska go do blatu. Pochyliła się nad nią; ona się odsuwa, odgina w tył nad zlewem.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, Sandy - warczy tata niskim głosem. - Zostawisz Daniela Josepha Gregory'ego II w spokoju. To mój syn. - Przygniata

jej nadgarstek do kuchennego blatu; mama krzyczy tak przeraźliwie, że czuję ucisk w żołądku. - Mój syn jest zdrowy.

Mama i tata byli zagorzałymi przeciwnikami palenia. W domu nie było też alkoholu, rodzice nigdy nie wypili ani kropelki. Każdej jesieni sadzali mnie i Danny'ego przed telewizorem, żebyśmy obejrzeni *Angel Dust*, doroczny program antynarkotykowy, w którym jakiś dzieciak po LSD wyobraża sobie, że umie latać, więc skacze z balkonu do pustego basenu. Skok jest pokazany w zwolnionym tempie. Tata bez żalu zrezygnował z powtórek swojego ulubionego serialu, bylebyśmy tylko zobaczyli *Angel Dust*.

Chodziliśmy do kościoła, żeby zacząć wszystko od nowa po weekendach bicia i wzywania boskiego imienia nadaremno. Pomimo prostego, bogobojnego życia, jakie wiedliśmy, rodzice uważali, że władza spoczywa w ich rękach. I że mają prawo do posiadania broni.

Gdy tylko wprowadziliśmy się do przyczepy przy Burns Road, mama i tata zaczęli zbierać broń. Nie musieliśmy się już obawiać czarnych porwaczy, ale mama czytała o zbiegłym więźniu, który pojechał autobusem na wieś, przywędrował na samotną farmę i wymordował całą mieszkającą tam rodzinę. Ponieważ nasz dom stał tak daleko od drogi, mama uznała, że gdyby dotarł tu jakiś zbieg, nic nie powstrzymałoby go od zabicia nas, poćwiartowania i wetknięcia kawałków do dużej lodówki w garażu. Kto by nas znalazł? Kiedy zorientowano by się, że coś jest nie tak?

Żeby uchronić nas przed takim końcem, rodzice trzymali broń w całym domu: na lodówce (poza zasięgiem Danny'ego), w szafce w łazience, za ukrytymi katalogami, po jednej sztuce pod poduszkami mamy i taty, w schowku w samochodzie oraz pod przednim siedzeniem. Zawsze i wszędzie można się było natknąć na nabity pistolet.

W naszej okolicy panowała tak niesamowita cisza, że kiedy jakiś samochód zjeżdżał na naszą żwirową drogę z głównej, brukowanej, od razu słyszeliśmy cichy szmer opon. Wiedzieliśmy, że ktoś jedzie w naszą stronę. Z szybkości wnioskowaliśmy, czy kierowca zna ostre zakręty na drodze, czy też jedzie nią pierwszy raz. Jeśli silnik warczał inaczej niż samochody dwóch rodzin mieszkających niedaleko, mama wkładała pistolet do kieszeni i wyglądała z okna sypialni z tyłu domu. Notowała numer rejestracyjny przejeżdżającego auta i dzwoniła do szeryfa z prośbą, żeby go sprawdził. Dzwoniła na posterunki w różnych hrabstwach, a funkcjonariusze szukali w komputerze numeru podejrzanego samochodu, który nam zagrażał - powoli mijając naszą działkę lub zawracając na podjeździe.

W końcu mama uznała, że wygodniej będzie cały czas nosić pistolet w tylnej kieszeni dżinsów; dzięki temu nie musiała biegać po broń za każdym razem, gdy usłyszała podejrzany szmer obcych opon. Pogroziła pistoletem jednemu domokrażcy, który dotarł do nas i chciał nam sprzedać gazety. Pewnego dnia, gdy dwaj kilkunastoletni chłopcy weszli na naszą drogę, postraszyła ich Śmierdzielem i Czarną, a potem przesłuchiwała, wymachując bronią.

Kiedy miałam 12 lat i byłam niezdarna jak pędrak, uczyłam się strzelać z czterdziestkopiątki do celu, ludzkiego serca, które tata rysował ręką w powietrzu, na wypadek, gdybym kiedykolwiek zobaczyła na naszej działce obcego człowieka. Tata zaciskał moje dłonie na rękojeści z masy perłowej, przytrzymywał nadgarstki i kierował lufę w stronę wymagowanego serca napastnika.

Potem cofał ręce i kazał strzelać. Dłonie trzęsły mi się z wysiłku, bo spust ani drgnął, aż wreszcie, gdy tak stałam, z łokciami przyciśniętymi do boków, na ugiętych kolanach i z przekrzywioną głową, pistolet - też oczywiście przekrzywiony - strzelał, wyrzucając chmurkę metalicznego pyłu, który piekł mnie w nos. Odrzut był tak silny, że z trudem utrzymywałam się na nogach.

Minęło trochę czasu. Mama znów stoi przed telewizorem. Przeszkadza ojcu oglądać *M*A*S*H*, a w naszym domu to świętokradztwo.

- Rany boskie, Sandy! - Tata krzywi się jak Archie Bunker. - Nie możesz zaczekać do reklamy? Nie widzisz, że oglądam?

Danny i ja denerwujemy się, leżąc na welurowej kanapie w stylu kolonialnym, ustawionej w rogu pokoju.

- Mamo, proszę, daj mi spokój. Nie rób tego. Mamusiu, chodź do nas.

Ale ona stoi nieruchomo, lekko pochylona, ręce opiera na biodrach tak, że palce przypominają kiść bananów, biała kulka śliny drży coraz szybciej.

- Gdybyś był mężczyzną, ty tłusty pedale, ty nieudaczniku, leniu...

Z trzaskiem wyłącza telewizor.

Tata podrywa się z fotela jak rozjuszony nosorożec i rzuca się na nią, chwytając jakąś gipsową figurkę. Mama z krzykiem wybiega na korytarz. My chowamy się w kuchni, obserwujemy ich sylwetki w ciemnym przedpokoju. Ojciec łapie matkę za szyję i przypiera ją do ściany; ona krztusi się i wymachuje rękami jak wielka chuda modliszka. Tata raz po raz uderza w pomarańczową tapetowaną ścianę figurką uśmiechniętego, pstrokatego kota. Głowa mamy podskakuje.

- On mnie zabije! Zaraz mnie zabije! - krzyczy mama.

Łapię pistolet leżący na lodówce, oplatom palcami perłową rękojeść. Danny i ja biegniemy korytarzem. Stopy matki dyndają nad ziemią, głowa już prawie się nie rusza, ojciec mocno ściska ją za szyję. Zaraz roztrzaska jej czaszkę.

Przemierzam korytarz skokami jak gazela. Rzucam się w ich stronę, od wrzasków mamy kręci mi się w głowie. Danny łapie tatę za nogi, dla równowagi opiera czoło o jego biodro i uderza piąstkami w duży brzuch. Odbezpieczam pistolet. Jedną ręką odgarniam ojcu włosy z boku głowy, drugą przykładam lufę do wgłębienia w jego skroni.

- No, już, zastrzel mnie, cholerna dziwko, pociągnij wreszcie za spust, niech mój mózg rozbryźnie się na całej pieprzonej ścianie. Strzeeeeelaj! - Na oślep wali figurką kota w ścianę, jakby wymachiwał młotkiem przy taśmie produkcyjnej. W dziurach w deskach znikają duże kawałki pomarańczowej tapety.

- Zostaw mamę!

- Niech mnie zabije, Julie, niech wreszcie zakończy moje cierpienia!

- Nieee, mamó! Nie umieraj, mamó! Sissy, nie zabijaj tatusia.

Mama krzyczy. Tata krzyczy. Danny krzyczy. I ja krzyczę.

Stoimy tak, w końcu korytarza, jak sklejeni, z gardłami rozpalonymi od gwałtownych słów, które mają nas uratować. Nasza czwórka jest jak jedna, wielka, ściśnięta sprężyna. Krzyczymy coraz głośniejszym, nieskończonym; z naszych piersi wydobywa się przeraźliwy wrzask. Nagle, prawie jednocześnie, wszyscy tracimy siły. Tata opuszcza barki i zdejmuje dłoń z szyi mamy; jej stopy znów dotykają podłogi; pistolet ześlizguje się ze skroni ojca, pozostawiając okrągły, czerwony odcisk. Danny odsuwa się od taty. Stoimy nieruchomo, oszołomieni, zdziwieni, z oczami lśniącymi od adrenaliny.

Po tym gwałtownym wybuchu wszystko znów jest jak dawniej.

Mama idzie do swojej sypialni, tata do telewizora, a Danny i ja odwracamy się do siebie plecami i, powłócząc nogami, chowamy się w swoich pokojach, położonych ukośnie względem siebie. Ferie świąteczne zaczęły się kilka dni temu. Przed nami jeszcze cały tydzień walki o spokój w domu, zanim wrócimy do szkoły.



Najboleśniej wspomnienia najłatwiej jest przywołać. Trwale zmieniają człowieka. Nawet jeśli się z nich otrząśniesz, pozostawiają zaognienia na tkaninie twojej duszy.

Jest wieczór w środku tygodnia, leżę już w łóżku. Wiem, że mama znów zasłania telewizor, bo tata krzyczy:

- Mówię ci, kobieto, odsuń się, bo zaraz koniec reklamy. Raz... Dwaaaa...

Trudno zgadnąć, o czym chce rozmawiać mama. O rachunkach, o nas, o moich problemach zdrowotnych. Tata nie wyłączy telewizora z takiego błahego powodu. A jeśli nawet - to tylko raz w roku, gdy próbuje być lepszym ojcem, lepszym mężem, lepszym człowiekiem. Wtedy wciska przycisk na pilocie, wzdycha głęboko i mówi:

- Okej, Sandy. Widzisz? Już. Wyłączyłem. Jaką ważną sprawę masz do mnie?

Dziś jednak wydzierają się w czasie reklam. To dobry znak. Przynajmniej ze sobą rozmawiają. Przeglądam pod kołdrą katalogi Fingerhut i Swiss Colony, świecę sobie latarką. Słucham, co dzieje się w pokoju, i wybieram rzeczy, które kupię mamie, kiedy dorosnę i zacznę pracować. Robię sobie listę. Potem zmieniam je w tabelki, dopisuję kwoty tygodniowych płatności oraz odsetki; odznaczam rzeczy, które kupię na raty, bo uważnie przeczytałam zasady zamawiania towarów z katalogu i wiem, że można rozłożyć spłatę w czasie.

Mama co tydzień będzie dostawać pocztą paczkę z niespodzianką: kosz z owocami i ciasteczkami, wart 100 dolarów, różową, nadmuchiwaną

poduszczkę do wanny lub ładnie opakowane cukierki ze Swiss Colony. Będzie miała na co czekać. Bardzo chciałam uszczęśliwić mamę.

Moja lista zajmuje już trzy strony. Wyobrażam sobie minę mamy, kiedy rozpakuje prezenty ode mnie, i jak bardzo się ucieszy, zwłaszcza że paczki będą jej osładzać trudne chwile, gdy w domu zanoszą się na kłótnię lub gdy wizyta u lekarza zakończy się niepowodzeniem. To wszystko nagle straci znaczenie, bo mama będzie już czekała na następny prezent ode mnie.

W przyczepie zapada cisza. Przysypiam z dłonią na formularzu zamówienia. Nagle rozlega się ciche skrzywienie plastikowej klamki w drzwiach mojego pokoju. Mama stoi w progu jak upiorny hologram, w snopie światła z przedpokoju, z twarzą pogrążoną w cieniu. Podchodzi na palcach do mojego łóżka i odwraca się, żeby usiąść. Wtedy zauważam pistolet w jej ustach. Pełne wargi okalają lufę czterdziestki, która zwykle leży na lodówce.

Patrzy na mnie; po jej opuchniętej twarzy płyną łzy. Wbijają we mnie wzrok, przerażona jak ścigane zwierzę, i kładzie palec na spuście. Dłoń jej drży, tak jak kiedyś mnie przy strzelaniu.

- Mamusiu, mamusiu! - Wyskakuję spod kołdry i zaczynam płakać. Umiem naśladować i dostosowywać się do nastroju. Jeśli zareaguję, zachowując się jak jej lustrzane odbicie, może choć na chwilę przestanie myśleć o pistolecie.

Otwiera usta, ale lufa wciąż przyciska jej język.

- Nie szesz, szebym sze szabiła? - Wyjmuje pistolet z ust. - Wy, dzieci, chcecie, żebym się zabiła, prawda? - Płaczę coraz głośniejsze. - Nienawidzicie mnie. Jestem podłą zdziwą, jak mówi wasz ojciec, więc mnie nienawidzicie. Powiedział mi to.

Teraz płaczę naprawdę. Mówię jej, że nie, wcale nie czujemy do niej nienawiści, że ją kochamy i nie chcemy jej śmierci, bo przecież zostalibyśmy bez mamy.

Kładzie sobie pistolet na kolanach i spuszcza głowę. Oblapuję ją jak mała małpka. Ona traci siły, ja zyskuję.

- Mamo, jeśli ty umrzesz, ja umrę z tobą. Dobrze? Dobrze? - Próbuję uzyskać skinienie głową, tak jak ona od taty. - Kto by się mną zajmował, kiedy zachoruję, kto by mnie woził do lekarzy? - Wyciągam rękę w stronę, gdzie stoi fotel ojca, i mówię z obrzydzeniem: - Myślisz, że on o mnie zadba?

Mama drży i szlocha.

- Byłaś kiedyś molestowana, Julie?

Nie wiem, co to znaczy, patrzę tylko na pistolet i zastanawiam się, jak go jej zabrać.

Mama dostaje czkawki.

- Zrobił to Lee, on i syn sąsiadów. Przywiązali mnie do stołu w piwnicy, wyciągnęli baterię... -jęczy - z komóóóóórki.

Czuję ucisk w żołądku. Nie rozumiem, co ona mówi dalej. Przytulam się do niej, delikatnie zabieram pistolet z jej kolan, żeby się nie zorientowała, i wsuwam go pod kołdrę;

- Już dobrze, mammo.

- Razili mnie prądem... O Boże! - Szlocha. - Pamiętam, że wołałam mamę. Zamknęła drzwi do piwnicy. Ona wiedziała, Julie. Wiedziała, co mi robili.

Łzy płyną mi strumieniami po policzkach; płaczę nad mamą i nad sobą, z powodu tego, co ją spotkało i co może spotkać także mnie z rąk mężczyzn; mężczyzn, których dobrze znam, brata dziwaka, ojca albo sąsiada; powtarzam tylko, nie umieraj, nie umieraj, mammo; przysięgam sobie w duchu, że nikt nigdy mnie tam nie dotknie. Szlocham coraz bardziej, a moja piękna matka, którą tak bardzo kocham i bez której nie mogłabym przeżyć ani sekundy, stopniowo się uspokaja. Wreszcie przestaje płakać. Prostuje plecy i wyciera nos rękawem flanelowej koszuli. Ma zapuchnięte oczy, wyglądają jak szparki. Ścisca lekko moje kolano.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś, Sis. - Wstaje z łóżka. - Teraz śpij, kotku... - I zostawia mnie, na krawędzi materaca, z nabitym pistoletem pod kołdrą i cierpieniem, dorównującym jej własnemu.

W drzwiach odwraca głowę.

- Dan to straszny sukinsyn, nie powinien nastawiać przeciwko mnie dzieci, prawda?

- Tak, mammo, tak.

Chociaż jesteśmy w nowym centrum medycznym, mama wie, co robić. Sadza mnie w poczekalni i idzie do rejestracji. Szepcze przez okienko do pielęgniarki, że wstydę się swoich objawów. I że wołałaby sama porozmawiać z lekarzem.

Siedzę na stole w gabinecie, w za dużej męskiej koszuli, przewieszając nogi przez chłodną metalową krawędź. Czekam. Dziwne, że musiałam zdjąć majtki. W przychodni nigdy nie kazali mi tego robić. Mama wyszła, żeby porozmawiać z doktorem.

Pielęgniarka lekko stuka do drzwi i wsuwa głowę do środka.

- No dobrze, panno Gregory. Pójdiesz ze mną? Przejdziemy do innego gabinetu.

Ten pokój jest większy, słabo oświetlony. Pośrodku stoi stół, a obok niego - inna pielęgniarka, z metalową tacką. Siadam na stole. Pielęgniarka bierze mnie za ramiona i pcha w tył, żebym się położyła. Bardzo dziwne. Układam się na ligninie, starając się jej nie pognieść, a pielęgniarka, z którą przyszedłam, przysuwa taboret do krawędzi stołu, łapie mnie lodowatymi palcami za kostki i rozsuwa mi nogi.

- Muszę włożyć twoje stopy w strzemiona. Są chłodne. - Strzemiona? Mają tu takie strzemiona od siodła? Pielęgniarka opiera moje bose stopy o coś, co przypomina urządzenie do sprawdzania rozmiaru w dobrych sklepach z butami.

- Co pani robi? Co mi dziś zrobicie? - Przecież pielęgniarki zawsze mi mówią, co się będzie działo.

Ta stojąca z boku bez słowa przewiązuje mi ramię kawałkiem gumowej rurki. Przeciera wacikiem ze spirytusem skórę po wewnętrznej stronie łokcia i energicznie klepie palcami, żeby pokazała się żyła.

Pielęgniarka, stojąca przy moich stopach, wreszcie się odzywa.

- Poczujesz lekkie ukłucie, Julie. Musimy ci włożyć plastikową rurkę w cewkę moczową, bo twoja mamusia mówi, że masz kłopoty.

Serce mi wali, co to jest cewka moczowa? Co ta pielęgniarka wyprawia? Otwieram usta, żeby zapytać, ale wydobywa się z nich tylko krzyk przerażenia.

- Julie, nie dam rady, jeśli będziesz się ruszać.

Dźga mnie twarzą, plastikową słomką.

Podkurczam ręce i nogi jak pajak, który chce ochronić swoje miękkie podbrzusze. Milcząca pielęgniarka u mojego boku wykręca mi rękę i wbija igłę w żyłę. Naciska tłoczek. Do krwi dostaje się pałący płyn, wszystko mnie parzy.

- Julie, przestań! - nakazuje pielęgniarka przy moich nogach. - Wiem, że się denerwujesz, ale bądź grzeczna i miejmy to już za sobą. Teraz się nie ruszaj.

Zasłaniam twarz wolną ręką, gryzę ją, ssę, żuję. Kołyszę tułowiem jak zrozpaczone dziecko. Przewracam głowę z boku na bok. Pielęgniarka, stojąca przy moich nogach, mruczy, że zastrzyk z jodiny zmieni kolor moczu, więc będzie dobrze widać, jak płynie. Mam całą zasmarkaną, umazaną łzami rękę. Pielęgniarka zdejmuje gumową rurkę z drugiej, która teraz zwisa bezwładnie.

Druga pielęgniarka wyciąga ze mnie rurkę.

- Już po wszystkim. Widzisz? Wcale nie było tak źle.

Mam zaciśnięte oczy, pieką mnie od łez. Z trudem je otwieram i patrzę w światło. Powoli dochodzę do siebie. Gdzie ja jestem? Na mojej zapłakanej twarzy nagle zrobiła się krosta, więc jej dotykam. Wyskakują następne, na ramionach i twarzy. Po chwili pulsujące, swędzące pryszczki pokrywają mi całą twarz, szyję, ręce i nogi. Pielęgniarka wprowadza do gabinetu moją matkę, która z łagodnym uśmiechem pyta, czy byłam grzeczna. Wszystko mnie swędzi, drapię się, z trudem przełykam, bo mam opuchnięty język.

Karta pacjenta s. 77 - tłumaczenie

[kolumna 1]

Klinika urologii

Dla

... DR

... CENTRUM MEDYCZNE

Wywiad: Nawracające stany gorączkowe o nieznannej etiologii, moczenie dzienne, bóle brzucha, bez częstomoczu, bez moczenia nocnego, spadek masy ciała (+)
Od 2 lat ból przy oddawaniu moczu.

Badanie dodatkowe:

Badanie ogólne moczu bez zmian

Częstomocz (+++)

Badanie fizykalne:

Brzuch miękki, tkliwy po stronie lewej

[kolumna 2]

Konsultacja dotycząca pacjenta:

Gregory, Julia

Jak stosować:

List szybkiej przesyłki

Napisz swoje obserwacje dotyczące pacjenta poniżej. Wyślij kopię białą, a różową zachowaj w historii choroby pacjenta

A. Ból, etiologia refluksowa?

W planie:

1. Posiew moczu z antybiogramem
2. Urografia
3. Cytografia
4. Powtórne badanie moczu

- Hm - mruczy pod nosem pielęgniarka. - Chyba jest uczulona na jodynę. - Zapisuje coś w mojej karcie i wychodzi.

Matka przegląda jakiś magazyn, żując gumę.

- Ubierz się, kochanie. Pielęgniarka powiedziała, że byłaś bardzo grzeczna. Jestem z ciebie dumna. Sis.

Nie mogę nic powiedzieć. Czuję się tak, jakby przepaliły się wszystkie przewody w moim mózgu. Nie potrafię znaleźć słów, chociaż moje ręce desperacko szukają czegoś po omacku. Kropla śliny zbiera się na mojej obwisłej wardze. Jestem jak odłączona od własnych palców, giętkich pałeczek, pokrytych skórą, które mocują się z guzikami sztywnych dzinsów.

Matka przystaje przy rejestracji, żeby się pożegnać. Dziękuje wszystkim za to, że przyjęto mnie w ostatniej chwili. Wsiadamy do samochodu i wyruszamy w długą drogę powrotną do domu. Mama zerka na mnie, marszczy brwi, dotyka mojego czoła.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Wyglądasz na chorą.

- Ja... boli mnie głowa. - Mój szepc z trudem po niej dociera.

- Dobrze, dam ci tabletkę na migrenę. - Sięga po torebkę leżącą na podłodze, znajduje w niej fiolkę i wyjmuje korek. - Masz, kochanie, od razu podwójną dawkę. Nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

Uśmiecha się wesoło, patrzy roziskrzonymi oczami w moje, półprzytomne. Jest zachwycona, że zauważyła, co się dzieje, i w porę podała mi odpowiednie lekarstwo.

- Bardzo się cieszę, że przy tym jestem, Julie. Teraz będę mogła opowiedzieć lekarzom, jak zaczynają się twoje okropne migreny.

Wyglądam przez okno, przestajemy rozmawiać, pola, które mijamy, zamazują się, tworząc barwną smugę. Czuję się jak na karuzeli. Matka, spokojna i zadowolona, uśmiecha się lekko i przekrzywia głowę, myśląc pewnie o żartach z pielęgniarkami. Promienie słońca padają na bok mojej głowy; szyba odcina mnie od chłodnego, wiosennego powietrza, czuję się więc tak, jakby anioł rozgrzewał mnie swoim ciepłym oddechem. Tracę przytomność i osuwam się po szybie.

- Myślę, że Julie powinna się bawić z innymi dziećmi, Dan.

Tata siedzi na kanapie, wyłączył telewizor. To jeden z rzadkich, 48-godzinnych okresów pod hasłem „będę lepszym ojcem, mężem i człowiekiem”. Mama tłumaczy, że ponieważ ciągle choruję i opuszczam lekcje, to koniecznie muszę przebywać w towarzystwie rówieśników, bo inaczej nie

nauczę się życia w społeczeństwie i będę miała poważne problemy poza domem.

Jest dziesiąta rano. Lada moment przyjdzie opiekunka społeczna. Mama nerwowo krąży po domu.

- Jak wyglądam? Julie, do cholery, natychmiast posprzątaj w łazience!

Tata stoi przy kredensie, wystrojony w jasnoniebieski garnitur i nowe białe buty. Czeką na polecenia mamy, chciałby się do czegoś przydać. Splata ręce, jakby się bał, że pobrudzi meble, świeżo wyczyszczone woskiem o zapachu cytrynowym.

W naszą drogę wjeżdża jakiś samochód. Wszyscy zamieramy jak przestraszone króliki, nadstawiamy uszu, staramy się rozpoznać szmer opon. Upływa jeszcze kilka sekund i już wiemy, że to ona.

- Okej. - Mama przystępuje do działania. - Zachowujmy się normalnie. Dzieci, nie wychodźcie z domu. Jeśli opiekunka społeczna będzie chciała z wami porozmawiać, powiedzcie jej, że marzycie o braciszkach i siostrzyczkach, żeby się z nimi bawić i jeździć konno. Dan, wyjdź na ganek. Rusz się!

Mija ojca i wybiega frontowymi drzwiami.

- Dan! No chodź! - Tupie nogą jak zniecierpliwiony koń.

Wiedząc, że opiekunka zobaczy ją z podjazdu, zaczyna się poruszać wolniej i swobodniej.

Ścisła jej dłoń; tata stoi kilka kroków za nimi. Oprowadzają ją po gospodarstwie: basen, kucyki, staw - mnóstwo pstrągów, więc dzieci będą mogły łowić - tak, to prawdziwy raj dla maluchów, śmieje się mama.

- Kochamy dzieci, ale nie możemy mieć więcej własnych. Przed laty byliśmy rodzicami zastępczymi w Arizonie i, rozumie pani, pomyśleliśmy, że wrócimy do tego, bo znów mamy warunki.

Mama nie dopuszcza nikogo do słowa. Opiekunka społeczna jest wysoka, chuda i łagodna. Wygląda jak chodząca i mówiąca lalka Holly Hobbie. Ma duże okulary, które powiększają jej oczy, jest ubrana w kwiecistą spódnicę do kostek i klapki na cienkich podszwach. Tak cienkich, że trudno jej iść po twardym, ostrym żwirze podjazdu. Śmieje się z tego i schodzi na trawę. Urzekli ją ci szczęśliwi ludzie, są jak prawdziwy klejnot w ponurym południowym Ohio, gdzie nie sposób znaleźć rodziny zastępczej, w której wszyscy mieliby komplet zębów, nie mówiąc o innych zaletach państwa Gregorych.

- Myślę, że sprawa załatwiona - mówi, rozglądając się. - Tak tu pięknie i cicho! Ile dzieci moglibyście przyjąć? Ile pokoi zamierzacie dobudować?

Mama przekrzywia głowę, mówiąc, gestykuje, pochyla się ku opiekunce i lekko dotyka jej ramienia. Tata idzie za nimi, starając się wyglądać jak prawdziwy ojciec, taki, którego dzieci szanują, a żona uwielbia, który naprawi wszystko, co się zepsuje, i umie zadbać o rodzinę.

Opiekunka społeczna jest zachwycona uprzejmością rodziców; nie widzi nic poza panelami imitującymi drewno; nie zagląda za zamknięte na klucz drzwi do pokoju, gdzie pan Beck siedzi sztywno w swoim fotelu, z oczami lśnącymi po insulinie, w białych butach, takich, jakie nosi mój tata, w zasikanej bieliźnie, której nie zmieniał cały tydzień. Nie zauważa nabitej broni na lodówce w szafce w łazience czy pod poduszkami. Nie zdaje sobie sprawy, że piękne jasne włosy mojej matki to peruka, którą Sandy zamówiła z katalogu Fredrick's of Hollywood, bo wszystkie ciemnowłose dziewczyny to puszczałskieV robiące bachory porządnym facetom.

Holly Hobbie jest łagodna i zbyt dobrotliwa, by dostrzec, że na naszej wiejskiej farmie dzieje się coś złego. Wystarczyło dwadzieścia minut, żeby się nabrała.

Uwierzyła we wszystko.

Teraz, kiedy przyjmujemy nowe dzieci, wszyscy musimy zachowywać się lepiej. Pewnego niedzielnego ranka wsiadamy do naszego kombi i jedziemy do kościoła w Laurelville. Zajmujemy miejsca w ławkach i wszyscy śpiewamy. Tata daje na tacę i nie udaje, że puszcza pa)wia w czasie kazania, co kiedyś robił, żeby rozśmieszyć mnie i Danny'ego. W drodze powrotnej do domu rozmawiają z mamą o tym, że od tej pory będziemy co niedziela jeździć do kościoła.

Wieczorem, kąpiąc się, myślę o tym, co powiedział ksiądz: że Bóg patrzy na każdego z nas i widzi wszystko, co robimy. Zastanawiam się, czy Bóg widzi mnie teraz, przy Burns Road, siedzącą w żółtej, plastikowej wannie wypełnionej żelazistą wodą. Może ma mi za złe, że za długo się kąpię. Albo że używam za mało mydła? Gdy tak rozmyślam o innych rzeczach, które widzi Bóg, chociaż chyba bym tego nie chciała, zaczynam czuć przyjemne ciepło w głowie. Powoli opadają mi powieki, jakby zamknęły je jakieś lekkie jak piórko palce. Siedzę rozluźniona w wannie, a ciepło spływa na mnie z góry, po barkach i ramionach, dociera do powierzchni wody i promieniuje wokół mnie. Mocno zaciskam oczy, unoszę głowę do sufitu. Wiem, że Bóg tam jest i patrzy. To cudowne, radosne ciepło płynie od Niego. Bóg jest w górze, czuwa nade mną, wylewa cały

kubek złotej światła na moją głowę. Światło jest tak jasne, że nie śmiem otworzyć oczu. Uśmiecham się do Boga, bo wiem, że wszystko będzie dobrze.

Jestem z mamą u nowego pediatry w mieście. To kobieta, pierwsza i jedyna lekarka, jaką znam.

- Julie ostatnio często ma niestrawności. W życiu nie słyszałam, żeby dziecko tak głośno bekało. Prawda, Julie? Nie może jeść mięsa, jej organizm chyba go nie toleruje. Ojciec raz namówił ją do zjedzenia mięsa, a ona natychmiast zwymiotowała. Prawda, Sis? Żaden lekarz nie umie powiedzieć, co z tym dzieckiem jest nie tak. Mam nadzieję, że pani nam pomoże. Małomiasteczkowi lekarze nie traktują nas poważnie. Na pewno nie są tacy kompetentni i rzetelni jak pani doktor.

To nasza druga wizyta u doktor Kate w ciągu tygodnia. Pierwszy raz przyszłyśmy na zastrzyk przeciwężcowy, kiedy nadepnęłam bosą stopą na zardzewiały gwóźdź. Dziś mama przywiozła mnie z powodu niestrawności.

- W porządku, Julie, teraz wstań. Osłucham ci serduszko... Hm... Jeszcze raz.

Jestem wzdęta. Jestem głodna. Dochodzi druga w nocy, a ja od rana prawie nic nie jadłam. Poszłam do szkoły bez śniadania i pieniędzy na lunch, a kiedy wróciłam autobusem do domu, musiałam spełnić swoje obowiązki. Codziennie przynosiłam trzy paczki siana ze stodoły do żłobu, kruszyłam lód drewnianym młotkiem, dawałam koniom kilka wiader obroku, a jedno wkładałam do samochodu, dla żrebaka, którego dożywiamy w drodze do miasta. Potem jeszcze dawałam jeść i pić wszystkim pieskom o szorstkiej, ubłoconej sierści, mieszkającym w kojcach. Kiedy już zrobiłam wszystko przy zwierzętach, musiałam przynieść tyle szczap na opał, żeby wystarczyło na noc i następny dzień, oraz wynieść szufłę popiołu z pieca. Czasami tata wstawał i otwierał mi drzwi, kiedy szłam, chwytając się na nogach, z rączką szufli opartą na piersi. Rąbałam drewno siekierą, tyle samo, ile wniosłam do domu; potem nakładałam łopatą węgiel do 20-litrowych wiader. W domu nakrywałam do kolacji, a potem zmywałam naczynia. Mama powiedziała, że Danny jest jeszcze za mały, żeby opiekować się końmi, zresztą siano i pył węglowy szkodzą astmatykom. Teraz, kiedy go podleczyła, nie miała zamiary znów zaczynać wycieczek do lekarzy. Przygarnięte dzieci zwykle siedziały w swoich pokojach i odrabiały lekcje. Ja

mogłam się do tego wziąć dopiero po skończeniu pracy w domu, czyli zwykle bardzo późnym wieczorem. Zdarzało się, że rano mama zabraniała mi iść do szkoły, bo starała się załatwić kolejną wizytę u lekarza.

Dziś zostałam oskarżona o kradzież sałatki owocowej z tacy jakiegoś chłopca w szkolnej stołówce. Uczniowie szóstej klasy mogli pracować w stołówce w zamian za darmowy posiłek; trzeba było tylko wcześniej zgłosić się w świetlicy. Na ogół dojeżdżałam do szkoły za późno, żeby zmieścić się na liście, ale dziś miałam szczęście. Zmywałam naczynia: spłukiwałam resztki i ustawiałam tace na ruchomej taśmie. Znałam tego chłopca, był młodszym bratem mojej koleżanki z klasy. Podał mi tacę i zapytał, czy chcę zjeść jego sałatkę owocową. Zgodnie z przepisami nie wolno było brać jedzenia z tac, ale sałatka wyglądała na bardzo dobrą, zresztą, kto mógł mnie zobaczyć? Pochyliłam się i jadłam palcami, ciesząc się smakiem syropu z puszki. Połykałam duże kawałki brzoskwiń i ssałam kostki gruszeki, aż wyczuwałam językiem ziarenka. Pycha!

Chłopiec na mnie naskarżył. Najpierw sam zaproponował mi sałatkę, a potem, kiedy ją zjadłam, pobiegł do pani Sweeney i powiedział, że ukradłam mu jedzenie. Byłam od niego dwa lata starsza. Znałam przepisy. Pani Sweeney kazała mi odczytać przeprosiny przy całej klasie. Po lunchu - którego nie dostałam, bo wyrzucono mnie ze stołówki - poszłam do jego klasy. Gdy czytałam tekst z kartki, w brzuchu burczało mi tak głośno, że uczniowie wybuchli śmiechem. Kiedy w połowie czytania zaczęłam płakać, staruszka Sweeney zlitowała się nade mną.

Jak mogłam się przyznać doktor Kate, że nie dostawałam pieniędzy na lunch? Mama stwierdziła, że skoro za obiady przybranych dzieci płaci państwo, to za moje też powinno. Po co tracić dolara dwadzieścia, kiedy szkoła mogłaby mi zapewnić posiłek? Tymczasem doktor Kate usłyszała, że zgubiłam pierwszą serię kuponów na obiady, a druga leży w kuchennej szafce, ale mama na razie nie ma czasu ich wypełnić. Drobnych, które podkładałam jej z portmonetki, wystarczało tylko na ciasteczka Little Debbie. Na śniadanie zjadałam kilka łyżek bitej śmietany z lodówki, a lunch zastępowały mi batoniki.

Wykradałam też monety z serii zeszytów dla kolekcjonerów, wydanej przez Mennicę Franklina. Tata zaprenumerował ją dla Danny'ego; kolejne egzemplarze chował głęboko w kredensie. Wyciskałam z kieszonek dziesięciocentówki, czasami ćwierćdolarówkę. Gdyby tata się zorientował, byłoby ze mną źle.

- Pani Gregory, słyszę wyraźną zmianę bicia serca Julie, gdy siedzi odprężona, a potem wstaje.

Mama energicznie potakuje.

- Widzę też, że kiedy się podnosi, trudno jej złapać oddech. Jak się wtedy czujesz, Julie?

- Pokaż, jak brakuje ci tchu. Zawsze sapie, doktor Kate. O Jezu! - Mama klepie się w kolano. - To wszystko wyjaśnia!

- Serce szybciej bije i trochę kręci mi się w głowie.

- Wyglądasz, jakbyś zaraz miała stracić przytomność, kotku - mówi mama. - Zemdlejesz, prawda?

- Cóż, pani Gregory, wydaje mi się, że warto ją skierować do szpitala. Być może wystarczy zwykłe EKG, EEG lub echo serca, żeby wykryć, co jej dolega. Może nawet przyczepiają jej tak zwany aparat Holtera, żeby dłużej monitorować bicie serca. Zadzwoń na oddział kardiologiczny i wszystko załatwię. Odpowiada to pani, Sandy?

- Taaak! - Mama uderza pięścią w kierownicę. - Wreszcie coś się dzieje. Wiedziałam, że ta doktor Kate jest niezła. Ci starzy kretyni nie odróżniłyby własnej dupy od dziury w ziemi! Byłam pewna, że jesteś ciężko chora.

Jedziemy do szpitala! Jestem podekscytowana, już tak blisko. Na kardiologii kładą mnie na stole i przyklejają mi do piersi małe miękkie kółka. Są połączone z maszyną. Leżę sobie, spokojnie oddychając, a aparat wykonuje swoją pracę. Gapię się w sufit. Wreszcie dostanę jedno lekarstwo, które pomoże mi na wszystko. Będę miała przyjaciół, zacznę uprawiać sport i chodzić do kina. Mama się ucieszy; nie będzie już musiała siedzieć w domu ani sprzątać po staruszkach i przygarniętych dzieciakach. A ja stanę się normalną dziewczyną i nie będę już opuszczać lekcji.

Tego pragnęłam najbardziej: uczyć się dobrze, jak wtedy, kiedy urodził się Danny, zanim znów zachorowałam.

Karta pacjenta s. 85-86 - tłumaczenie

Dr

Pediatra

Tel.

9. 07. 1982

Dr

Przychodnia pediatryczna

Columbus, Ohio!

Pacjentka: Julię Gregory

Ur. 16. 05. 1969

Wiek: 13 l., 2 itities.

Rodzice: Dan i Sandra Gregory

13621 Burns Road\

Amanda, Ohio

Przyjęta z powodu'objawowej arytmii:

Cały czas poczucie\ znużenia, brak kondycji, nie może dorównać innym dzieciom w szkole.

Od trzech lat, mmej więcej co trzy miesiące, zdarzają się epizody, trwające 15-20 minut: ostry ból w klatce piersiowej, niepokój, poczucie, że serce „pędzi i skacze”. Matka potwierdza przyśpieszenie tętna (128, 144, 167), mówi, że córka robi się szarosina na twarzy. Ostatnio częstość epizodów wzrosła, występują raz, dwa razy dziennie.

Pacjentka od dzieciństwa cierpiała na „niestrawność”. Badania układu pokarmowego nie wykazały żadnych zmian. Krwiomocz - raz, podczas wirusowego zapalenia pęcherza moczowego. Złamanie dwóch nadgarstków, po upadku.

Objawy: Nie może jeść mięsa - wymiotuje.

Częste mdłości- słodyczne chyba łagodzą objawy.

Częste zawroty głowy, gdy wstaje.

Uczulenia: jfodyna - wysypka

Wywiad rodzinny: Matka Julie ma palpitanje, które powstrzymuje, uciskając gałki oczne.

Babcia ze strony matki także miała palpitanje. Dziadkowie ze strony ojca chorowali na cukrzycę. Babcia ze strony ojca zmarła w wieku 42 lat.

Niedobór masy ciała Julie nie jest cechą rodzinną.

Badanie przedmiotowe: W gabinecie zmierzono tętno: 82, 76, 88. Gdy wstaje, puls wzrasta do 128. Po biegu - 140, miarowy; po dwóch minutach wraca do normy.

Ciśnienie krwi: 100/68

Wzrost: 160cm (50-75C), rozpiętość ramion 165 cm (90-95C)

waga: 39 kg (10-25C)

Sylwetka asteniczna.

Ogólny stan zdrowia w normie.

Badania: Standardowe EKG, 5-godzinny test na tolerancję glukozy, prześwietlenie klatki piersiowej - w normie. 24-godzinne badanie aparatem Holtera potwierdza zmiany rytmu serca, bradykardia i tachykardia.

Pytania:

1. Czy zgodzi się Pan, że objawy są związane z arytmia?
2. Czy przyczyną arytmii może być wypadanie płątka zastawki mitralnej lub niemiętarowosc zatokowa? Czy też inne zaburzenie?
3. Czy zaleca Pan podanie inderalu lub innych środków przeciw arytmii?

Proszę omówić swoje spostrzeżenia z Julie i jej matką i, jeśli będzie to konieczne, zmienić leki.

Chętnie zapiszę pacjentkę na kolejne badanie holterowskie, jeśli uzna to Pan za stosowne.

Będę wdzięczna za kopię Pańskich wniosków i za wynik echa serca, jeśli uważa Pan za uzasadnione.

Dziękuję bardzo.

Z poważaniem

23. 11. 1982 r.

Dr. (zob. list) zalecił dalsze badania. Pacjentce nie zmieniono leków. Matka mówi, że część objawów (częstoskurcz itd.) zmienia nasilenie po podaniu leków, można to jednak tłumaczyć faktem, że teraz rodzina jest bardziej wyczulona na stan Julie i poświęca jej więcej uwagi w okresach arytmii.

Proszę o odpowiedź na pytania z powyższego listu.

Czy możemy poprawić jakość życia pacjentki lub pomóc jej dostosować się do własnych możliwości?

Dziękuję.

Od naszego przyjazdu na Burns Road moje stopnie z angielskiego bardzo się pogorszyły. Nauczycielka skrzyczała mnie za dwóję z testu z przedmiotów ścisłych. Mama mówi, że w tej szkole jest wyższy poziom niż w poprzedniej, ale to nieprawda. Nauczycielka jest gruba i głupia, a ja źle rozwiązuję testy, bo zawsze mi się wydaje, że pytanie jest podchwytliwe. Kombinuję, chociaż wystarczyłaby najprostsza odpowiedź.

Źle się uczę, bo dużo choruję; zawsze coś jest ze mną nie tak.

- Pani Gregory, mam dobre wieści. Holter nie wykazał poważnych zmian, które skłaniałyby do dalszych badań serca Julie. Wszystko jest w normie. - Lekarz w szpitalu przygląda się zygzakom w mojej karcie, pokazując nam, czego nie ma. Mama ze złością klepie się w udo.

- Co? Jak to, nie może pan nic znaleźć? - Wylicza na palcach zdarzenia, które spowodowały wizytę w szpitalu. - Doktor Kate do pana zadzwoniła i posiedziała, że dzieciak ma częstoskurcz i nie może złapać tchu. Obiecała mi, że tu uzyskamy pomoc, że wreszcie wykryjemy przyczynę choroby. A pan mi mówi, że ta mała jest zdrowa? Że ja wszystko zmyślam?

- Nie powiedziałem, że...

- Słuchaj *pani*. Znajdę kompetentnego lekarza, który będzie umiał stwierdzić, co z nią jest nie tak, jasne? Wracam do doktor Kate i powiem jej, że zdrowie dziecka gównu was obchodzi!

Mama nie ma zaufania do szpitala w małym miasteczku; wszyscy tu zachowują się jak prostytutki, mają przestarzały sprzęt, nie umieją interpretować wyników badań. Jedziemy do doktor Kate. To nagła wizyta. Wstaję. Siadam. Doktor Kate znów słyszy przyśpieszone bicie serca i krótki oddech; widzi, że męczy mnie najmniejszy wysiłek.

Przyciska mi stetoskop do serca, a matka dalej jazdoci:

- Ona nie ma siły. Rozumie pani? Jeszcze ktoś pomyśli, że każę jej ciężko pracować, odmawiam jej posiłków, albo co! Dobrze gotuję, ale ona nie je. Co mam zrobić? Wecisnąć jej jedzenie na siłę? Do samego gardła?

- Pani Gregory, nie wątpię, że robi pani, co może. Niektóre dzieci są po prostu wybredne. Wada serca na pewno wiele by wyjaśniała. Julie, wstań jeszcze raz.

- Zapisałam ją do klubu 4-H, ale za szybko się męczy. Wsiadamy do samochodu, a ona ma mdłości i boli ją głowa. Jestem dobrą matką, czym sobie zasłużyłam na coś takiego? Dlaczego Bóg mnie karze?

- Sandy... - Doktor Kate przysuwa swój taboret do mamy. - Zapewniam panią, że znajdę innego kardiologa, który dobrze zaopiekuje się Julie. Myślę o specjalście z jednego z najlepszych oddziałów kardiologicznych w kraju, w klinice Uniwersytetu Stanu Ohio. Nie mam wątpliwości, że bardzo troszczy się pani o Julie. - Zwraca się do mnie piskliwym głosem, jak do małego dziecka. - Prawda, Julie? Powiedz mamusi, że świetnie się spisuje. Powiedz: „Hej, mammo, nie martw się, wszystko będzie dobrze!” - Znów zwraca się do mamy: - Choroba dziecka to wielkie cierpienie dla rodziców. Zrobię, co będę mogła, żeby dotrzeć do najlepszego specjalisty, który stwierdzi, co dolega Julie.

Mama, która dotąd ukrywała twarz w dłoniach, teraz ociera łzy.

- Dziękuję, doktor Kate. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, że coś robię źle, że powinnam się bardziej postarać, ale po prostu nie mogę już być lepsza. Daję z siebie wszystko, ale jest mi tak ciężko! Nikt mnie nie słucha. Nikt nie chce pomóc.

- Sandy, jest pani wspaniałą matką i doskonale opiekuje się córką. Teraz może pani liczyć na mnie. Przrzekam, że pomogę wykryć przyczynę choroby Julie.

Zawsze chciałam być czystą, ładną dziewczyną, w wyprasowanym ubraniu bez plam z dżemu, z długimi, opiłowanymi paznokciami, pod którymi nie zbiera się brud od przerzucania węgla lub noszenia drewna na opał.

Niestety, byłam wysoka i tyczkowata, miałam tłuste, potargane włosy, chodziłam w brudnym ubraniu, zawsze zmęczona. Zgłosiłam się do zespołu cheerleaderek, ale nie potrafiłam nawet zrobić mostka. Kiedy dotknęłam dłońmi ziemi, już nie mogłam się podnieść.

W siódmej klasie jako sport wybrałam sobie kolarstwo, ale większość zajęć spędziłam na ławce, zgłodniała i zbolała; moje patykowate nogi wystawały z czerwonych, poliestrowych spodenek gimnastycznych w najmniejszym rozmiarze, jaki można było dostać w szkole McDowella.

Chociaż bardzo się starałam nie zbłąźnić, zawsze znajdowałam się w sytuacjach, które dodatkowo podkreślały moją niezdarność. Pewnego dnia, klęcząc, kolorowałam flamastrem rysunek na plakacie, rozłożonym na podłodze w stołówce. Pracowałam przygarbiona, z otwartymi ustami i wyciągniętym językiem. Oczy mi błyszczały, sapałam z wysiłku, jakbym robiła coś strasznie trudnego i ważnego.

Gdy przesunęłam dłonią po papierze, kolor się rozmasał.

Nie miałam pojęcia, skąd wzięła się tam woda. Nagle zauważyłam kałużę na papierze i wędkarską żyłkę prowadzącą w górę. Powiodłam po żyłce

wzrokiem - aż do mojej dolnej wargi. Nie zauważyłam, że cieknie mi ślina.

Z upływem lat było coraz gorzej. Wśród moich potencjalnych chorób znalazły się wady genetyczne i zaburzenia funkcjonowania zastawki serca. Lekarstwa na moje liczne przypadłości piętrzyły się w kuchennych szafkach. Mama wsuwała mi pigułkę pod język lub kładła ją na dłoń, mówiąc, że czas wziąć leki.

- Dałam ci rano lek nasercowy beta-bloker, Sis?

Nie pamiętam.

- Jeśli nie, to weź teraz.

To tylko mała pigułka. Czasami nie biorę nic, czasami podwójną dawkę. Nie umiem stwierdzić, czy to pomaga. Zawsze źle się czuję. Bolał mnie kości twarzy, opadają mi powieki. Bez przerwy mam mdłości, nigdy nie jest naprawdę dobrze. Dolegliwości po prostu są mniej lub bardziej nasilone. Jestem oszołomiona, niezdarna, głupia.

Gdy byłam w szkole średniej, mama wróciła do sugestii mojego dawnego lekarza, że mam alergię pokarmową. Oświadczyła, że uczula mnie bardzo wiele produktów. Kiedyś co rano smażyła mi na maśle chrupkie tosty w jajku. Zjadałam je do ostatniego okruszka. Teraz już nie robi mi śniadań. Grzebię w lodówce i wydaję pojemnik z jajkami.

- Julie, co ty wyprawiasz? Wiesz, że jesteś uczulona!

Odkładałam jajka do lodówki i sięgam po boczek.

- O nie, przecież właśnie powiedziałyśmy doktor Kate, że od mięsa masz torsje. Zjedz lepiej miseczkę słodkich płatków śniadaniowych. Weź trochę mleka w proszku i rozpuść je w wodzie, tylko nie za dużo, bo możesz być uczulona na laktozę.

Mama zamawiała z magazynów dla kobiet mnóstwo owiniętych w sreberko kalorycznych batoników, przeznaczonych dla osób, które chcą przytyć. Zamierzała mnie trochę podtuczyć. Jadłam ich sporo w ciągu dnia, ale niewiele pomagały, zresztą szybko rosłam i nadal byłam tyczkowata.

Czasami, gdy wróciłam ze szkoły, mama rozrabiała w misce ciasto do upieczenia lub na naleśniki.

- Chodź, Sis, skosztuj. Dobre, prawda? Weź miszkę do pokoju i pooglądaj telewizję z Dannym. Ogrzejcie się trochę w domu, dość biegania po dworze.

Pakowałam sobie do ust czubate łyżki surowego ciasta; robiłam się coraz bardziej senna. Zlizywałam masę z palców i zdrapywałam ostatnie, żółtawe pasma z boków miski. Najadałam się tym do syta.

Czułam się jednak gorzej niż zwykle.

Było mi trudno oddychać przez nos, więc zawsze miałam otwarte usta i wyglądałam na bardzo rozleniwioną. Zimą nie miałam siły wywlec się na dwór i pracować.

Mama myślała nawet, że biorę narkotyki. Musiałam przysiąc na Biblię, że nie palę marihuany i że moje wariackie zachowanie jest wyłącznie wynikiem choroby.

Nie mogłam się skupić na tym, co mówiła. Kazała mi powtarzać to, co powiedziała, ale ja już nic nie pamiętałam.

Przed każdą klasówką, której się nie spodziewałam, bo gdy nauczycielka ją zapowiadała, ja akurat byłam u lekarza, nagle robiło mi się słabo i zaczynała mnie boleć głowa. Nauczycielka chodziła między rzędami, rozdając arkusze testu, a ja wstawałam i szłam do gabinetu pielęgniarki. Tam kuliłam się na kozetce pod szkolnym kocem; chciałam tylko spać w cieple.

Mama od lat farbowała mi włosy na blond, bo wiedziała, co myślą ludzie: brunetki to puszczalskie, które tylko czekają na okazję, żeby zająć w ciążę. Jasny blond oznaczał niewinność i cnotę. Zwykle prowadziła mnie do zakładu Hair Happening, gdzie 80-letnie fryzjerki farbowały mi włosy. Z odrostami mama radziła sobie sama, w domu. Wkładała białe plastikowe rękawiczki i wylewała perhydrol na odrosty, wcierając go końcami palców, żeby pozbyć się każdego pasemka brązu.

- Chryste Panie, Sandy, odczep się wreszcie od włosów tej dziewczyny! Robisz z niej dziwoląga.

- Z tymi ciemnymi odrostami wygląda jak dziwka, a ty nie wzywaj imienia Pana nadaremno. Ona musi być blondynką!

- Teraz nie jest! Ma zielone włosy!

Awanturowali się o moje włosy, które źle się ufarbowały.

- Jasne! Tak jakby te głupie dzieciaki ze szkoły mogły zauważyć ciemnozielony odcień. Odpieprz się ode mnie! To tylko smarkacze. Odbiło ci, Dan, kompletnie ci odbiło!

Tym razem w zakładzie Hair Happening miałam szczęście trafić do jednego fryzjera geja w Lancaster. Wziął palcami spalone końce moich włosów i oznajmił:

- O nie!

Z powodu podwójnej dawki chloru w basenie, twardej wody ze studni na farmie i ciągłego odbarwiania moje włosy wyglądały jak miotła. Ale to

mama płaciła - więc i wymagała. Gdy obrócił mnie na fotelu do lustra, zobaczyłam, że mam na głowie obrzydliwy kolor przypalonej pomarańczy. Fryzjer błagał matkę:

- Na miłość boską, proszę zostawić jej włosy w spokoju na pół roku. Bo wszystkie wypadną.

Moja głowa dosłownie świeciła jak żarówka. Mama pojechała prosto do sklepu i przeszła ze mną długą alejką półek z farbami do włosów, zastanawiając się, jak sprawić, żebym znów stała się blondynką.

Wybrała odcień kasztanowy. Doszła do wniosku, że jeśli nałoży brąz na rudy, to uzyska żółć. Jednak moje włosy przybrały kolor głębokiej, ciemnej zieleni z miedzianym połyskiem. Gdybym poszła wykapać się w morzu, na pewno podpływałyby do nich wszystkie możliwe żyjątka, myśląc, że to wodorosty. Po tym fatalnym wydarzeniu, które przekreśliło wszelkie szanse na to, że ktoś z rówieśników jeszcze mnie polubi, dała mi wybór. Mogłam iść do szkoły z zielonymi włosami lub w jej blond peruce. Upierała się, że siódmo- i ósmoklasiści po prostu nie znają się na niczym, więc nie zwrócą uwagi na nienaturalny kolor ani na sztuczne włosy peruk, trwale ułożone we fryzury o nazwach Barb lub Platinum.

Gdy wsiadam do szkolnego autobusu, jest jeszcze ciemno. Ale w bladym świetle świtu wszyscy zaczynają krzyczeć:

- Hej, masz zielone włosy?

- O nie!

Nie mam gdzie się/ukryć. Każda wsiadająca osoba gapi się na kolor, dotąd niespotykany w szkole średniej McDowella. Wyskakuję z autobusu i biegnę do budynku, jakbym tym sposobem mogła się stać niewidzialna; w rzeczywistości wyglądam raczej jak smuga zgniłej zieleni, pędząca przez korytarze. Dzieciaki śmieją się i wytykają mnie palcami. Zaraz mnie wykipią, ośmieszają, zjedzą żywcem. Jak mam to przetrwać?

W świetlicy Missy Morrison, jedyne ogniwo łączące mnie z lubianymi uczniami, wybucha histerycznym śmiechem i informuje wszystkich, że jestem „totalnie odjechana” jak piosenkarki na tych świetnych teledyskach, które widziała w MTV. Jako jedna z niewielu w szkole odbiera kablówkę - niektórzy uczniowie nie mają nawet telewizora - więc jej zdanie wpływa na wszystkich.

Staram się uciszyć to całe zamieszanie. Missy mówi, że to super: nie chwale się i jestem skromna, a tak zachowuje się tylko fajna, zielonowłosa, prawdziwa artystka z wizją.

Przed końcem zajęć jestem już bohaterką; niosę uczniom przesłanie o wolności osobistej pomimo narzucanych zasad, o prawie do wyrażania swojego zdania oraz o panowaniu nad własnym wyglądem. Za nic się nie przyznam, że to mama mnie ufarbowała, zresztą przecież by nie uwierzyli. Pierwszy raz od czwartej klasy mam kolegów. Cieszę się tą nowo zdobytą popularnością, piszę do Missy liściki dużymi, pochyłymi literami. Nasze charaktery pisma bardzo się upodabniają. Przybieram nową tożsamość, gdy tylko wysiądę ze szkolnego autobusu. Sześciostronicowe listy do Missy Morrison podpisuję słowami: *Twoja przyjaciółka na zawsze*.

Przygarnięte dzieci były dla nas stałym źródłem zakłopotania, promieniowała z nich niepewność, co często wykorzystywaliśmy z Dannym. Na zdjęciach widać je stojące ze złączonymi stopami, proste jak drut, z ramionami splecionymi z przodu, jakby idealna postawa mogła im zapewnić akceptację rodziny. Ich uśmiechy są nienaganne i nienaturalne; dzieci szczerzą się do obiektywu, odsłaniając równiutkie zęby. Desperacko pragnęły się do nas dopasować, ale nigdy im się to nie udało. Nieważne, jak były małe i jak długo z nami mieszkały; żadne z nich nigdy nie weszło do naszego kręgu spokrewnionych. Rodzice nawet nie zwracali się do nich po imieniu, chyba że chcieli je za coś skarcić. Nazywali je po prostu „przygarniętymi dziećmi”. „Idziemy z przygarniętymi dziećmi” albo: „Muszę dziś zabrać ze sobą przygarnięte dzieci”. Danny i ja od początku czuliśmy różnicę między „nami” a „nimi”, ale przynajmniej staraliśmy się używać ich imion.

Przez następne sześć lat w domu zebrała się spora grupka: Timmy, Penny, Bradley, Rudy, Janey, Martin, Ricky, Lloyd, a później Maria. Lloyd się jąkał, niektóre z dzieci miały kłopoty w szkole, wszystkie zabrano z domów, bo rodzice je maltretowali lub zaniedbywali. Dzieci przychodziły do nas i odchodziły. Niektóre zostawały na kilka lat, inne odchodziły od razu, bo były „nieposłuszne”. Mama przyjmowała każde dziecko, o którym telefonicznie poinformowała ją opiekunka społeczna. Dzieci trafiały do naszego domu tego samego dnia, czasami już po upływie godziny, ale mama szybko odsyłała starsze. Decydującym czynnikiem był młody wiek i potulne usposobienie.

Najbardziej lubiłam Marię, która przyszła do nas jako ostatnia. Miała delikatne rysy i cienki głosik; zawsze starała się pomóc, robiła wszystko, żeby inni byli zadowoleni, nawet jeśli oznaczało to rozbicie własnej psychiki i przybieranie różnych ról w zależności od tego, z kim rozmawiała, jakie ten ktoś miał układy z mamą i jak mama na to wszystko reagowała.

Jej rysunki zawsze były najwesejsze. Za wszystko, co spotkało ją pod naszym dachem, odpłacała uśmiechem, dobrocią i wiernością szczeniaka. Jakby postanowiła nigdy nie tracić nadziei.

Prędzej czy później każde z przygarniętych dzieci zapadało na jakąś tajemniczą chorobę. Niektóre trafiały do moich dawnych lekarzy, z tymi samymi objawami co ja, i przechodziły te same badania. Nasz dom zmienił się w szpital, tak że nawet mama z trudem to znosiła. Na szczęście opieka społeczna pokrywała koszty leczenia.

Pewnego dnia mama zwolniła mnie ze szkoły i zabrała z Lloydem do przychodni. Siedząc w poczekalni, słyszałam jego płacz i krzyki dobiegające z gabinetu na końcu korytarza. Wiedziałam, co się dzieje. Wbijali mu rurkę w cewkę moczową i robili zastrzyk z jodyny; przypomniałam sobie kolor i wrażenie pożaru w całym ciele, smak, który czuję we krwi, a nie na języku. Lloyd miał 9 lat. Słyszając jego krzyki, nagle poczułam przeszywający ból w brzuchu jak elektryczny impuls. Drgnęłam i zeszywniałam na krześle, ściskając kolana.

Lloyd wyszedł dziwnym krokiem, powłócząc nogami i kulejąc. Wbił wzrok w dywan. Spojrzałam w stronę rejestracji, gdzie czekała na niego mama. Położyła mu rękę na ramieniu i zapytała, czy wszystko w porządku.

W samochodzie nikt się nie odzywał. Na początku mama opowiedziała kilka dowcipów, ale ja i Lloyd czuliśmy się tak fatalnie, że nawet nie próbowaliśmy tego ukrywać. On się wstydził, że pielęgniarka włożyła mu rurkę w członek, ja - że spotkało go to samo, co mnie kiedyś. Oboje byliśmy zakłopotani, ale każde z nas tkwiło w oddzielnej, własnej bańce.

- Do cholery! Po co się w ogóle dla was wysilam, niewdzięcznicy? Chciałam was zabrać do restauracji Długiego Johna, ale do diabła z tym! Robię, co mogę, żebyście byli zdrowi, a wy jak mnie traktujecie? Jak jakieś gówno!

- Nie, mamó - przerywam jej. - Po prostu trochę mi niedobrze. Chcielibyśmy jechać do restauracji.

- No, Lloyd, może byś się odezwał? - Zerka groźnie przez ramię na małego, skulonego Lloyda.

- T-tak, ch-chętnie coś z-zjem.

- Na pewno, ty głupi jąkało.

Jak długo można głodować bez skutków ubocznych? Jeśli wszyscy wołało mówią ci, że cierpisz na tajemniczą chorobę, i robią kolejne badania,

żeby odkryć przyczynę, to czy w wieku 13 lat możesz im nie uwierzyć? Przecież źle się czujesz, tak? Mama mówi prawdę. Nie masz siły. Szybko się męczysz. Chyba coś jest nie tak, skoro stale chorujesz? Opuszczasz lekcje, chodząc do lekarzy albo leżąc pół dnia w gabinecie pielęgniarki. Może przepisali ci złe lekarstwo i dlatego tak się czujesz? A może nie wolno brać tylu różnych leków jednocześnie?

Spełniło się moje marzenie z dzieciństwa: stałam się bardzo chuda i przez zroczyta, miałam wrażenie, że silniejszy poryw wiatru może mnie unieść wysoko do nieba jak suchy liść klonu z widocznymi żyłkami.

Mama chodzi na wywiadówki i rozmawia z każdym nauczycielem, żeby opowiedzieć o mojej chorobie serca. Raz po raz słyszę to samo. Kłucie w klatce piersiowej, chrapliwy oddech; słaby dopływ tlenu do mózgu wyjaśnia, dlaczego tak źle się uczę. Siedzę na krześle obok niej, wciągając powietrze przez półotwarte usta z opadającą dolną wargą. Chcę się położyć i dryfować w powietrzu. Nauczyciele mają mnie obserwować i odsyłać do domu, gdybym wyglądała na szczególnie słabą. Zerkają więc na mnie, gdy idę korytarzem; widzą zapadniętą klatkę piersiową i wystające kości.

Trzeba uważać, myślą sobie. Lada moment może umrzeć.

Czy w tym świecie pobierania krwi, wciskanych rurek i żył dziurawionych igłami, lekarstw, bólów głowy i opuszczania lekcji, kłopotów w nauce i uciekania do pielęgniarki przed klasówkami, nie zaczniesz wreszcie pomagać dorosłym w szukaniu przyczyny choroby? Nie sięgniesz po pisma medyczne, jak mama, i nie będziesz czytać o objawach, żeby powiedzieć lekarzowi, czego ma szukać? Nie zaczniesz wreszcie współpracować z ludźmi, którzy próbują ci pomoc?

Jedziemy do nowego kardiologa. Mama zaciska dłoń na kierownicy tak mocno, że bieleją jej kłykcie. To trzeci i ostatni lekarz, do którego wysłała nas doktor Kate. Na wizytę czekałyśmy kilka miesięcy. Jeśli on nic nie znajdzie, mówi doktor Kate, to znaczy, że serce mam jednak w porządku.

- Już ja pokażę tym cholernym sukinsynom w szpitalu, że wcale mi nie odbiło. Jesteś chora, do diabła, masz wadę serca, wiedziałam to od początku, tylko ci kretyni z małomiasteczkowego szpitala nie mają zielonego pojęcia o leczeniu!

- Wiem, mam, wiem. Nie martw się, wreszcie znajdziemy przyczynę mojej choroby.

- Ten facet musi nam pomóc, na miłość boską. - Parkuje, wysiada z samochodu i wachluje się bluzką; wygląda białe spodnie. - No, wejdźmy tam, i to już, do cholery jasnej. - Patrzy na mnie tak groźnie, że czuję się

wciśnięta w bagażnik. - Powiesz mu, co ci dolega, co jest z twoim sercem. Rozumiesz? Ostry ból w klatce. Krótki oddech. Jasne?

- Tak, mam. Powiem mu.

Siedzimy w gabinecie, czekając na lekarza. Wpada do nas na pięć minut i znów wychodzi. Jest młody. Przystojny. Poświęca nam niewiele czasu, ale zwraca uwagę na to, co mówi mama, i robi zatroskaną, zdziwioną minę. Matka odpowiada mu taką samą zatroskaną, zdziwioną miną. Ich zatroskane, zdziwione miny odbijają się od siebie jakby rykoszetem. Matka natychmiast się uspokaja. Lekarz idzie zlecić następne badanie mojego serca. Będę nosić elektrody dwa razy dłużej niż zwykle, tak jak zasugerowała mama. Lekarz coś podpisuje i wsuwa kartę w plastikową ramkę na drzwiach. Matka wzdycha; wreszcie do czegoś dojdziemy. Ja też się cieszę. Siedząc na stole i czekając na przyjście lekarza, zaczynałam już myśleć, że może to jednak nie serce. Może raczej wyrostek. Koleżance ze szkoły wycieli wyrostek i potem czuła się dobrze. Właśnie miałam głośno zapisać o bólu, gdy wrócił doktor.

Chce przeprowadzić następne badania, wiem, że jest na dobrej drodze. Promieniuje z niego pewność siebie. On wszystkim się zajmie. Nie do wiary, że wątpiałam w naszą diagnozę. Nie chcę już innych lekarzy. Co z tego, że będę nosić aparat Holtera przez dwa dni, a nie jeden? Przynajmniej on wreszcie ustali, co ze mną jest nie tak, prawdziwy lekarz, nie ta banda idiotów, którzy na niczym się nie znają.

Namydlają mnie. Mama wychodzi. Jednorazówka przesuwana się po mojej piersi. Unoszę się nad stołem, myślę o tacie i jego pędzlu do golenia, o wykrztuszaniu Agent Orange i patrzę na dziewczynę, której gołą klatkę piersiową. Ona mnie nie widzi, bo obserwuję ją od drzwi gabinetu, zaglądam z korytarza. Wyciskają żel, przyklejają okrągłe białe elektrody, podłączają je. Kable wystają z mojego rozporoka. Cieszę się, że nie muszę iść do szkoły z tym całym sprzętem.

Gdy wychodzimy, matka jest pełna pokory i wdzięczności. Jakby emitowała radioaktywne pole radości z tego, że wreszcie robimy postępy. Postanowiła jednak wysłać mnie do szkoły. Niech nauczyciele zobaczą, jak ciężko jestem chora.

W samochodzie milczymy. Połykam powietrze i bekam. Matka wyciąga rękę i delikatnie odgarnia mi pasmo włosów za ucho. Widząc jej łagodne spojrzenie, dostaję gęsiej skórki. Poznamy przyczynę. Muszę im wszystkim pokazać, co ze mną jest nie tak.

Znów połykam powietrze. Wstrzymuję oddech. Tym razem zaczekam, aż poczuję migotanie w sercu.

- To mi wygląda na napadowy częstoskurcz.

Siedzę ubrana na stole w gabinecie, a oni przyglądają się wynikom moich badań, rozłożonych na blacie.

- Czy to znaczy, że trzeba operować? Mówię poważnie, Michael, nie będę się sprzeciwiać, jeśli to ma nas przybliżyć do rozwiązania problemu. Czytałam o nowo wykrytej chorobie zastawek u dzieci. Może są jakieś badania, które pozwoliłyby ją wykluczyć?

Matka zwraca się do kardiologa po imieniu. Stoją blisko siebie, rozmawiają. Ponieważ wyniki mojego ostatniego badania holterowskiego są mylące, lekarz osobiście objaśnia jej, skąd się mogły wziąć dziwne krzywe na zapisie EKG.

- Och nie, to nie będzie konieczne, Sandy. Powinniśmy jednak przeprowadzić pewne badania pod nadzorem personelu szpitalnego. Czy mogę wziąć Julie na tydzień do kliniki, żeby dokładnie ją przebadać i postawić diagnozę?

- Nie sądzę, żeby był jakiś problem. Cieszę się, że wreszcie znalazłam kogoś kompetentnego, kto rozumie, że mała jest chora. Najwyższy czas, żebyśmy przestali kręcić się w kółko i poznali przyczynę jej dolegliwości, zgodzisz się ze mną?

- Jak najbardziej.

Nie ma chyba bardziej charakterystycznego zapachu niż zapach szpitala. Gdy tylko rozsuną się automatyczne drzwi i wejdiesz na korytarz o lśniacej, wywoskowanej podłodze, uderza cię dziwna woń, jakby z puszeki, wydobywająca się z rurek ułatwiających oddychanie. Powietrze jest chłodne, z dużą zawartością tlenu, i szczypie w nos, gdy za szybko weźmiesz wdech; miesza się z czystym zapachem bandaży i jałowej gazy.

W rejestracji zakładają mi na nadgarstek małą plastikową opaskę z nazwiskiem napisanym niebieskimi, trochę zamazanymi literami. Wygląda to jak stempel na mięsie.

Matka mnie spakowała. Czuję się jak na wakacjach, przed wyjazdem na obóz, o którym zawsze marzyłam. Biorę porządną, niebieską walizkę i ulubione książki Paula Zindela. Kręcę sobie włosy lokówką. Ładnie wyglądam. Odliczam dziewięć kompletów bielizny. O dwa więcej niż trzeba, na wypadek, gdybym miała zostać w szpitalu dłużej.

W pokoju czeka kosz przygotowany specjalnie dla mnie. Są w nim chusteczki higieniczne, niebieska plastikowa butelka z nadrukowanym napisem KERI LOTION oraz mały beżowy basen na wypadek, gdybym wymiotowała. Łóżko, przy którym stoi nocna szafka, można zasłonić ciężką kotarą, kiedy lekarze będą mi robić coś, czego nie powinni widzieć inni pacjenci. Od razu po wyjściu mamy odsuwam zasłonę w róg łóżka, skręcam ją tak, że wygląda jak postronek, i wciskam koniec pod materac.

W szpitalu jest świetnie. Łóżko podnosi się i opuszcza za naciśnięciem jednego guzika na pilocie. Dostaję tyle galaretki, ile zechcę. Pielęgniarki odwiedzają mnie kilka razy dziennie, podają lekarstwa, mierzą temperaturę, pytają o „ruchy jelit”. Ponieważ nie mam pojęcia, o co chodzi, a głupio mi pytać, zgaduję właściwą liczbę, obserwując ich miny.

Rozwożają jedzenie na wózku. Przynoszą mi tacę i zabierają, kiedy skończę. Zdejmują folię spożywcza, uwalniając zapach ciepłego puree - pysznego i parującego. Żartują, że dobrze mi na szpitalnym wikcie, bo pochłaniam wszystko, co jest na talerzu: fasolkę z puszki, gulasz, co tylko przyniosą.

Przed południem przychodzą po mnie, sadzają na wózku inwalidzkim i wiozą na automatyczną bieżnię, gdzie badają mi puls. Nie mam pojęcia, dlaczego się tak upierają, żebym jechała tam na wózku. Salowy podnosi mnie z czystej białej pościeli i wsuwa moje stopy w kaptcie. Po co mam jechać, jeśli mogę iść? Troszczą się o mnie tak bardzo i są tacy mili, że chce mi się płakać. Zostałabym tu jak najdłużej. Za kilka dni będę wciskać guzik dzwonka, jak tata przyciski na pilocie, i wściekać się: „Gdzie druga porcja sałatki owocowej?”

Wiozą mnie na salę i zatrzymują wózek przy stanowisku pielęgniarki, z igłami i gazikami. Sala jest duża, z automatyczną bieżnią, aparatami do mierzenia ciśnienia, sprzętem EKG, przewodami i innymi urządzeniami, służącymi do słuchania serca.

Pielęgniarka przykleja mi do klatki piersiowej znajome elektrody; przewody podłącza do maszyny. Dwie osoby podtrzymują mnie za nadgarstki i łokcie, pomagając wstać z wózka i wejść na ruchomą bieżnię. Przepasują mnie w talii specjalnym paskiem przyczepionym do poręczy, zabezpieczającym przed upadkiem. Po minucie tracę siły. Jednak z każdym dniem staję się mocniejsza: chodzę szybciej i dłużej. Pielęgniarki patrzą na mnie z podziwem i mówią, że, może zostanie wypisana do domu wcześniej, niż planowano. Byłoby miło, prawda?

Zaczynam więc chwiać się na nogach i przerywam, udając wyczerpanie. Dzięki temu zostanę tu dłużej, z dodatkami posiłków i moimi ulubionymi książkami, za to bez matki, której obraz powoli zaciera mi się w pamięci.

Mama oczywiście przychodzi do szpitala codziennie, i to na długo: spędza tu cały czas przeznaczony na odwiedziny. Nie siedzi jednak przy mnie. Odwiedza innych pacjentów, rozmawia z personelem w pokoju pielęgniarek. Wieczorem wpada tylko po swoją torebkę i daje mi kartkę z numerami pokoiów dzieci, które odwiedziła: chorych na raka oraz tych przywiezionych na badania lub operację.

- Sis, wpadnij na chirurgię, do pokoju 612. Leży tam przemiła dziewczynka, mniej więcej w twoim wieku. W piątek wytną jej guz mózgu. Nie wiadomo, czy przeżyje. Byłoby dobrze, gdybyś ją trochę rozweseliła, kotku.

Pójdę wszędzie, dokąd każe mi mama, byle nie do domu. Członkowie mojej rodziny są daleko, jak białe, kłębiaste chmury, które uleciały z mojego nieba. Ja jestem jak wielki bóg Odyn z książek Douglasa Adama, które właśnie czytam. Wiodę luksusowe życie w wykrochmalonej, białej pościeli, w otoczeniu ludzi, którzy dwoją się i troją, żeby niczego mi nie brakowało. Cudowny powrót do dzieciństwa. Książki, pościel i talerze z jedzeniem to wszystko, czego mi trzeba.

Mama czyta moją kartę na drzwiach i nerwowo przechadza się po pokoju, mając nadzieję, że zajrzy tu lekarz.

Wsadzam nos w książkę, marząc, żeby matka wyszła.

- Jesteś tu grzeczna, Sis?

- Aha.

- Mamy szczęście, że tu jesteśmy i że naszym lekarzem jest Michael. To naprawdę wspaniale, że zrobią wszystkie badania. Wszyscy wychodzimy z siebie, żeby zapewnić ci jak najlepszą opiekę, wiesz? Więc, na miłość boską, Julie, nie spieprz tego. Niech zrobią, co trzeba, i ustalmy wreszcie, na co jesteś chora.

Boję się tylko wtedy, kiedy do mojego pokoju bez zapowiedzi wchodzi kilku młodych mężczyzn w białych fartuchach i ze stetoskopami. Prowadzi ich lekarz. To studenci medycyny. Lekarz mówi o palpatacjach, wypadaniu zastawki i szmerach, a oni otaczają łóżko i gapią się na 13-letnią pacjentkę, rzadkość na oddziale kardiologicznym zdominowanym przez staruszków.

Lekarz wkłada mi rękę pod kark i lekkim ruchem rozwiązuje troczki koszuli. Cienka bawełna powoli odsłania moją klatkę piersiową, tworząc fałdy wokół talii. Lekarz dotyka mnie końcami palców, nie przerywając wykładu sprawdza, czy moje serce się zatrzymuje, czy bije nierówno. W moich oczach zbierają się łzy i po kolei wypływają spod powiek ciężkimi kroplami, które kapią mi na obojczyki. Nie spieprz tego, Julie, niech zrobią, co trzeba. Lekarz każe studentom mnie zbadać. Zimne, obce palce przyciskają mnie, przytrzymują i, delikatnie jak duchy, muskają miejsca na mojej klatce piersiowej, gdzie można wyczuć serce.

W tym celu palce muszą trochę poszukać. Wędrują wokół niewielkiej wypukłości mojej piersi, która ze wszystkich sił stara się wykiełkować na słabowitym ciele, jak delikatny kwiat na kamienistej ziemi. Natrafiają na żebro, wdrapują się na sutek i - płynie coraz więcej łez - uciskają miejsce, którego nikt dotąd nie dotykał, starając się wyczuć słabe bicie mojego serca.

Badają mnie, jednocześnie rozmawiając. Jestem tylko dziewczynką, której mężczyźni dotykają bez pytania, którą rozbierają, nie zwracając uwagi na jej łzy. Wychodzą tak nagle, jak przyszli; jednocześnie robią w tył zwrot, jak ławica ryb lub wyszkolony oddział białych fartuchów. Zostaję sama, muszę się ubrać i zetrzeć ze skóry ślady obcych palców.

Mój pobyt w szpitalu dobiega końca. Niedługo wypiszą mnie do domu. Zrobili wszystkie badania: Holtera, kilka razy EKG, w tym wysiłkowe na automatycznej bieżni. Odwiedziłam dziewczynkę z pokoju numer 612.

Pielęgniarka wchodzi do mojego pokoju na rutynową, wieczorną kontrolę. Podnosi ze stolika nieużywany basen.

- Jak się masz, kotku? - Idzie w stronę umywalki.
- Dobrze.
- Jedzenie ci smakuje? - Odkręca kurek i leje wodę do basenu.
- Tak, jest dobre.
- Gotowa do powrotu do domu?
- Chyba tak.
- Oj, na pewno tęsknisz za rodziną, prawda? - Przysiada na krawędzi łóżka i z kieszeni białego fartucha wyciąga jednorazową maszynkę do golenia.

Siadam, wytrzeszczam oczy.

- Muszę cię teraz ogolić, kochanie.

- Ogolić? - Nie mam już ani jednego włosa na klatce piersiowej.
- Tutaj. - Klepie mnie po miednicy przez cienki, szpitalny koc.
- Co? Przecież to już koniec, wracam do domu! Tam nic nie ma! - Uginam kolana. - Przyszłam do szpitala, bo mam chore serce!
- Cóż, kotku, muszę cię ogolić, bo włosy przeszkadzałyby lekarzowi. Tam robi nacięcie skalpelem.

- Jakim skalpelem?
- Nożem, którego użyje podczas badania.

Wytrzeszczam oczy jeszcze bardziej.

- Będziesz miała cewnikowanie serca.

Czekam cierpliwie. Po co mam jej utrudniać pracę? Wiedziałybym o zabiegu, przecież mama odwiedza mnie codziennie.

- Jesteś w szpitalu, bo lekarze muszą stwierdzić, co się dzieje z zastawkami w twoim sercu. Jutro zrobią ci małe nacięcie w żyłę w ręce oraz w tętnicy udowej i doprowadzą do zastawek elektryczne przewody, żeby wszystko zobaczyć na monitorze. Świetna sprawa, oglądać własne serce w telewizji.

To musi być pomyłka. Może pielęgniarka Wzięta skierowanie innej osoby. To na pewno jakieś nieporozumienie. Wodzę oczami po pościeli, w głowie kłębią mi się myśli. Jak to się stało? Chcą mnie pociąć. Oddycham coraz szybciej, patrzę z przerażeniem.

- Nie możecie mi tego zrobić. - Słowa wydobywają się same z mojego gardła. - Nie możecie. - Stają się coraz głośniejsze. - Mama wszystko zmyśliła!

Nie do wiary, że to powiedziałam. Niemożliwe! Przeskakuję w róg łóżka, jedną ręką podciągam sobie koc do szyi, drugą sięgam w tył, żeby wcisnąć zasłonę pod materac.

Pielęgniarka patrzy na mnie surowo. Widzę po jej minie, że mi nie wierzy. Ja też nie do końca wierzę we własne słowa. Jeszcze do mnie nie dotarło, że je wypowiedziałam. Przecież to śmieszne. Matka mnie kocha. To ze mną jest coś nie tak. Czuję się źle. Zawsze zmęczona. Jestem chora, bo inaczej by mnie tu nie przywieźli. Przecież gdybym nie była chora, lekarze nie próbowaliby mnie wyleczyć!

Siedzimy nieruchomo, pielęgniarka i ja, wpatrując się w siebie. Przygląda mi się jak zwierzątku w klatce, starając się dociec, co kombinuję. Ja też na nią patrzę, boję się odwrócić wzrok. Szuka czegoś w mojej zapłakanej twarzy, błysku w oku, który powiedziałaby: „Ha, ha, żartowałam!”, cienia uśmiechu, żebyśmy obie mogły roześmiać się z ulgą i rozładować napięcie.

Nie znajduje nic takiego.

- Zaraz wrócę. - Bezszelestnie stawia basen z wodą. - Sprawdzę to. - Wychodzi.

Jestem ocalona. Wszyscy się dowiedzą. Będę mogła tu zostać. Mama się wścieknie. Nieważne. Najwyżej ucieknę. Znajdę pracę. Nową rodzinę. Mogę nawet zamieszkać u swojego kardiologa.

Myślę o ostatnich wizytach z mamą u lekarza; była wściekła, kiedy doktor nie mógł niczego wykryć, i zachwycona, gdy powiedział, że przyjmie mnie do szpitala. Ta myśl kołatała mi się w głowie, chociaż powiedziałam jej wtedy:

- Widzisz, od początku wiedzieliśmy, że coś ze mną jest nie tak.

Bardzo mnie ucieszyło, że po długotrwałych poszukiwaniach wreszcie znaleźli przyczynę mojej choroby; czułam ulgę, że lekarze wreszcie uwierzyli matce. Ale czy nie przeszło mi przez myśl, że zgadzam się z nią, bo boję się zaprzeczyć? Bo jestem głupia, źle się uczę, ślinię się? Czy naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że symuluję, bo w drodze powrotnej do domu uderzała moją głową w okno samochodu, jeśli nie pokazałam lekarzom, jak ciężko jestem chora? Próbuję myśleć rozsądnie. To nie ma sensu. To szaleństwo! Mama wie, co robi. Ona przecież widzi moje objawy.

W ciszy na korytarzu rozlega się skrzypienie butów pielęgniarki, która podchodzi szybkim krokiem.

Podaje mi papierowy kubeczek.

- Wypij to. Zaczekamy kilka minut.

Wyszarpuje zasłonę spod materaca i jednym, płynnym ruchem otacza nią łóżko. Ukrywam twarz w dłoniach i krzyczę. Pierś mi faluje, po policzkach płyną łzy. Ona jednak mnie ogoli. Zaczyna działać lekarstwo. Opadam na łóżko, wbija mi się w plecy róg książki *Jesteś tam, Boże? To ja, Margaret*. Podnoszę rękę do twarzy, gryzę wewnątrz dłoni i łkam, gdy pielęgniarka podnosi moją koszulę. Chłodne powietrze smaga nagą skórę, do tej pory ciepłą i osłoniętą. Pielęgniarka zaczyna mnie mydlić. W miejscu, którego nikomu nie wolno dotykać. Przecież tak sobie przyrzekłam. Rozsuwa mi kolana i zaczyna mnie golić. Wyję. Gryzę swoją rękę ze śladami od kroplówek i siniakami na żyłach, czarnymi kreskami, pozostałymi po plastrze i przyklejonym waciku z kroplą krwi. Nie mogę znieść dotyku tej kobiety. Nie cierpię mieć mokrej skóry, zapach kremu do golenia, którego używa mój ojciec, przyprawia mnie o mdłości. To nic, że dzieli nas warstwa kremu, że pielęgniarka nie dotyka mojej skóry. To za mało.

- Widzisz? Nie było tak źle, prawda?

Następnego ranka wyrwiają mnie ze snu. Czuję, że szczyrzy ogon Śmierdziela uderza mnie w rękę. Powoli odwracam głowę, żeby spojrzeć na psa, ale zaraz, zaraz, to są czyjeś palce, klepiące żyłę. To kroplówka, płyn rozlewa się ciepłą falą w mojej krwi. Jeszcze raz odwracam głowę, lekarstwo dociera do najmniejszych naczyń krwionośnych w mojej szyi, rozlewając się niezliczonymi strumyczkami po organizmie.

Dwaj mężczyźni podnoszą mnie na prześcieradło i kładą na wózku. Coś mnie kłuje, czuję to jak przez mgłę, jakby z oddali. Nadepnęłam na osę? Wysłałam mokra z basenu i, biegnąc po trawie, skaleczyłam się drutem elektrycznego pastucha rozciągniętym na podwórku? Moja stopa przykleiła się do trawy pod prądem? Nie, to tylko duży palec u nogi wysunął się spod koca i dotyka zimnej metalowej ramy wózka. Teraz mogę spokojnie zasnąć, mówią, w szpitalu jestem bezpieczna. Z traskiem podnoszą boki wózka. Nie ma grawitacji, unoszę się w próżni. Mieszkam na białym suficie, jak zawsze chciałam.

Jedziemy korytarzem. Wiozą mnie przez pustkę, jest mi ciepło, bo otulili mnie kocem i wsunęli końce pod materac, jak wtedy, gdy nocowałam u babci. Żeby się uwolnić, trzeba wierzgać nogami, ale komu by się chciało wysilać? \Drobinki kurzu unoszą się w promieniach słońca, w powietrzu słychać miłe syczenie bąbelków w puszcze coli, siedzę przy oknie w ostatniej ławce na lekcji geografii, słyszę głos grożący, że w piątek będzie klasówka, powoli zasypiam. Oddałabym wszystkie pieniądze, wszystkie ukradzione pieniądze na lunch, żeby tylko móc zasnąć w słońcu. Oprzeć głowę o ogrzaną szybę samochodu i poczuć oddech anioła na twarzy. Skręcamy, kółka wózka ślizgają się na wypolerowanej podłodze z białych płytek. Zabierzcie mnie stąd, ułóżcie mnie do snu, mam takie ciężkie powieki.

- Julie, Julie, kochanie! - Mama pochyla się nade mną, patrząc wesoło w moje półprzytomne oczy. Jest dobrej myśli. Wie, że opiekują się mną najlepsi lekarze. Macha do mnie, jakby życzyła mi przyjemnej podróży.

Ojciec stoi sztywno, wypina pierś, wyprostował ręce przy bokach. Wygląda jak ludzik z piernika. Uśmiecha się szeroko.

- Powodzenia, Sissy. Kochamy cię.

Wydaje mi się, że dolna powieka drży mu od zbierających się łez. Jego czoło przecinają głębokie, pionowe zmarszczki. Podnoszę rękę ciężką jak z ołowiu, żeby ścisnąć palcami jedną z nich. Zmarszczki wyglądają jak wypukłe pasma górskie na moim globusie z czwartej klasy - tym, którego

tak chętnie dotykałam palcami i w ten sposób poznawałam świat. Bardzo chcę dotknąć gór na czole taty. Wyciągam rękę, ale już wiozą mnie dalej.

Zatrzymujemy się w sali operacyjnej. Wszyscy zaczynają się krzątać. Gdzieś nad sobą słyszę głos:

- Odetchnij głęboko. - Nos i usta zakrywa mi maska.

Oddycham, jak każą, i wydaje mi się, że jadę windą w dół. Nastrozony ogon Czarnej uderza z głuchym stukotem w deski ganku. Śmierdziel uśmiecha się drwiąco, unosząc górną wargę, w której tkwi wędkarski haczyk. Czarna wsuwa mi nos pod dłoń i szturcha. Dobrze, pogłaszczę cię po głowie. Czuję język Czarnej, liże grzbiet mojej dłoni. Och, pieseczku, ja też cię kocham. A może to było ukłucie i kolejna kroplówka? A może nos Czarnej pod moją dłońią to w rzeczywistości ręka obcego człowieka, który chce mnie uspokoić?

Przyciskam podbródek do klatki piersiowej, żeby popatrzeć. Podnoszą moją prawą rękę i odwracają ją. Nacinają mi przedramię skalpelem, otwierają czyściutko, jakby wycinali filet z kurczaka. Nie ma krwi. Do mojej żyły trafia przewód elektryczny. Wpychają go głęboko, przez bark aż do serca. Czuję tylko leciutkie łaskotanie. Mamy kontakt. Lekarze wskazują monitor - żebym mogła obejrzeć swoje serce w telewizji. „Nie zapomnij im powiedzieć, że kiedy oddychasz, czujesz ostre bóle w klatce piersiowej”.

Mrugam. Na ekranie widać zarys serca, bijącego na dwa. Bum-bum, bum-bum. To na pewno nie ja. Nie mój organizm.

- Jak opera mydlana - bełkoczę.

Wszyscy się śmieją, jesteśmy razem, cieszę się, że udało mi się rozśmieszyć dorosłych.

Lekarz staje przy końcu stołu, na którym leżę; moje kości biodrowe dobrze widać przez cienkie, białe prześcieradło. Mężczyzna patrzy na tackę z kilkoma skalpelami.

Co powiedziałam wczoraj? Lekarz wybiera nóż. No, Julie, bądź dobrą pacjentką, nie spieprz tego. Doktor wyciąga moją bezwładną prawą nogę spod prześcieradła, podnosi i wykręca mi udo, jakby zaraz miał wyłamać odnóże wielkiego kraba.

Patrzę.

Przesuwa ostrzem po napiętym mięśniu, jakby ciągnął smyczkiem po strunach skrzypiec. Proszę, nie rób mi tego. Przełamał pieczęć mojego ciała. Z nacięcia płynie krew, plami chłodne białe prześcieradło. Matka wszystko

zmyśliła. Kręcę głową, dyszę. Proszę, nie róbcie mi tego. Patrzę w dół krew chlusta ze mnie, tworzy czerwoną strugę na białej tkaninie. Czy to ja? Moja noga? Moja krew? Lekarz wsuwa przewód w nacięcie na moim udzie. Matka to zmyśliła. Nogi same mi się ruszają, chcą się skulić. Nie dotykaj mnie, zabieraj ten drut, wyjmij go natychmiast! Co ci się stało? Byłaś taką grzeczną pacjentką. Z trudem unoszę tułów, opieram się na łokciach. Uginają się pode mną jak tanie karty do gry. Przewód, wetknięty w moje ramię, podskakuje. Muszę zobaczyć nacięcie na udzie, muszę patrzeć, jak wsuwają tam drut, żeby mieć pewność, że to dzieje się naprawdę. Dyszę jak kobieta w czasie porodu. Gdzie ja jestem? Powoli obracam głowę, patrząc na zdziwione twarze osób, które nie mogą mnie utrzymać; przecież byłam taką słodką, uległą, dobrą pacjentką.

Lekarz przerywa, jego oczy nad maską spokojnie wpatrują się we mnie. Szybko, dajcie jej coś na uspokojenie, bo zepsuje całe badanie. Nie widzę ruchu jego warg, ale słyszę słowa. Pielęgniarki podbiegają z rurką, wciskają mi ją przez nos aż do gardła, przywiązują drugą rękę do stołu, energicznie uderzają wewnętrzną stronę łokcia, szukając żyły, która jeszcze się nie zapadła.

Uklucie. Zastryk. Uspokojenie. Wystarczy na następne 12 lat.

Mój pierwszy dzień po powrocie do szkoły to prawdziwe szaleństwo. Nowi koledzy bardzo się cieszą, że wyszłam ze szpitala. Ja z tego powodu jestem przygnębiona. W porze lunchu wchodzę z Missy do stołówki i... Niespodzianka! Przyjęcie powitalne z kiełbaskami i pizzą. Uśmiecham się, ale w głębi duszy cierpię, tak bardzo chcę im powiedzieć. Nie mogę już powstrzymać łez. Koleżanki po kolei wychodzą, urażone, że płaczę na przyjęciu, które dla mnie zorganizowały.

Została tylko Missy, obejmuje mnie ramieniem, pyta, dlaczego płaczę. Co się stało? Tak ciężko chorujesz? Niedługo umrzesz? Znikamy w mor/u pomarańczowych i żółtych szafek w szatni; łkając i pociągając nosem, zwieram się jej z niektórych problemów. Missy nie może wydobyć słowa. Dzwoni dzwonek. Missy obiecuje, że później do mnie napisze, i znika wśród szafek.

Wykaz czynności przedoperacyjnych s. 109 - tłumaczenie

Uniwersytet Stanu Ohio

Klinika

Wykaz czynności przedoperacyjnych

Data: 3. 12. 1982

Zabieg: cewnikowanie serca

Wieczór przed zabiegiem:

- zebranie całej dokumentacji medycznej pacjentki - tak
- ogólne badanie krwi,
- oznaczenie grupy (próba krzyżowa krwi) - tak
- Rtg klatki piersiowej - tak
- EKG - tak
- podpisanie przez pacjenta zgody na zabieg,
- w obecności świadka - tak

Podpis pielęgniarki, data 2. 12. 1982

Rano przed zabiegiem

- uzupełnienie karty pacjentki - tak
- badanie moczu i krwi - tak
- badanie rentgenowskie - tak
- EKG - tak

Podpis pielęgniarki, data

Uwagi

Podpis pielęgniarki, data

- podanie leków przed zabiegiem
- Data godzina

Podpis, data

Rano przed zabiegiem:

- temperatura 36, 6°, puls 70
- oddechy 55
- ciśnienie krwi 128/70
- waga: 40 kg
- alergie tak () nie ()
- jeśli tak, to na co: jodyna
- założenie opaski identyfikacyjnej tak () nie ()
- zgoda podpisana przez pacjenta przy świadku tak () nie ()
- środki ostrożności, izolacja tak () nie ()
- pacjent na liście *&sbbs* niebezpiecznych tak () nie ()
- lewatywa tak () nie ()

- koszula szpitalna tak () nie ()

Usunąć:

- pończochy elastyczne tak () nie ()

- peruka tak () nie ()

- okulary tak () nie ()

- soczewki kontaktowe tak () nie ()

- aparat słuchowy tak () nie ()

- protezy zewnętrzne tak () nie ()

- protezy zębowe tak () nie ()

- kosmetyki tak () nie ()

- biżuteria tak () nie ()

- ozdoby włosów tak () nie ()

- lakier do paznokci tak () nie ()

Uwagi:.....

Uwagi nt stanu pacjenta: Pacjentka bardzo emocjonalna, boi się badania.

Wykonanie powyższych czynności jest warunkiem przewiezienia pacjenta na blok operacyjny.

Podpis, data

Przez resztę dnia pozostali znajomi odnoszą się do mnie bardzo dobrze. Na piątej lekcji, historii, ktoś podaje mi liścik. Duże litery Missy układają się w słowa: *Wiemy, że wszystko zmyśliłaś, żebyśmy cię żalowali. Nic z tego. Żadna mama nie zrobiłaby czegoś takiego. Nienawidzimy cię, bo kłamiesz. Jesteś śmieciem. Już nigdy nie chcemy mieć z tobą do czynienia.* Pod spodem są podpisy wszystkich moich 10 koleżanek.

Operacja serca, zastrzyki z jodiny, rurki, nacięcia, pobieranie krwi. To wszystko bardzo zmienia dziecko. Na poziomie komórkowym. Zapominasz, jak było, zanim cię pocięli i ogolili. Przeszłość odpływa, nie masz już do niej dostępu. Patrzysz tylko w przyszłość, masz nadzieję, że wreszcie wykryją, co ci dolega, i skończą się badania, próby, połykanie lekarstw nie wiadomo po co.

W domu moje lekarstwa zajmują całą kuchenną szafkę. Tam, gdzie kiedyś było jedzenie, teraz jest „pokarm Julie”: lekarstwa, tuczące wafelki i sześciopaki czekoladowego Ensure Plus, witaminizowanego napoju w puszkach, który podawano mi w szpitalu do posiłków.

Mama mówi, że mam alergię na zwykłe jedzenie, ale pozwala mi pić tyle Ensure Plus, ile tylko zechcę. Jedna puszka zastępuje cały obiad z trzech dań. Nie ma różnicy, powtarza mama, naprawdę żadnej różnicy.

List s. 113-114 - tłumaczenie

Uniwersytet Stanu Ohio
Klinika
Oddział kardiologii

15. 12. 1982

Dr.

Pacjentka: Julie Gregory

Szanowna Pani Doktor

Jak już wspomniałem w rozmowie telefonicznej, Julie Gregory przebywała na oddziale kardiologii od 1 do 6 grudnia 1982 roku. Zainteresowała nas jej historia choroby - okresowe przyśpieszenie czynności serca - i starannie przeanalizowaliśmy zapis EKG z aparatu Holtera, wykazujący liczne epizody tachykardii nadkomorowej, z okresami przyśpieszania i zwalniania, oraz zmiany fali T.

Podczas badania naszą uwagę zwróciła asteniczna budowa pacjentki, wiotkość stawów, ogólny fenotyp marfanoidalny. Zainteresowała nas tachykardia, puls, zwykle powyżej 70, rośnie nawet do 140, gdy pacjentka wstaje. Wykryliśmy lekki klik śródskurczowy, ale nie wystąpiły szmery ani cechy wypadania płątka zastawki mitralnej. Potwierdza to wynik wcześniejszego echa serca.

Elektrokardiogram wykazał skrócenie PR; prawdopodobnie wystąpiły fale delta.

Wykonaliśmy kompletne badania elektrofizjologiczne, których wyniki są w normie; brak cech zespołu Wolffa-Parkinsona-White'a i innych form preexcytacji. Nie stwierdziliśmy dysrytmii nadkomorowej ani leńkomorowej.

Przeprowadzona angiografia nie wykazała żadnej dysrytmii; serce funkcjonuje prawidłowo, skurcze komorowe w normie. Badania potwierdziły prawidłową funkcję tarczycy, normalną zawartość kwasu wanilino-migdałowego w moczu, normalną zawartość kwasu 5-hydroksyindolooctowego; reakcja na adrenokortykotropinę w normie. Zmierzyliśmy także ilość osocza ($41\text{cm}^3/\text{kg}$ masy ciała), wyklucziliśmy niedobór osocza jako przyczynę tachykardii.

Jak wspomniałem przez telefon, uznaliśmy, że tachykardia jest wynikiem dysautonomii, jaką zwykle obserwuje się u pacjentów z wypadaniem płątka zastawki mitralnej. Jestem zdania, że pacjentka jest w początkowej fazie tej choroby, która za kilka lat będzie wykrywalna w badaniu osłuchowym.

Na razie nie jest potrzebna żadna profilaktyka choroby mitralnej. Proponuję leczenie:

1. Żadnych ograniczeń w życiu codziennym.
2. Żadnych ograniczeń w spożywaniu soli.
3. Okresowo - atenolol w niskich dawkach (od 25 do 50 mg dziennie), żeby stłumić nadczynność receptorów beta (podejrzewaną; diagnoza wydaje się trafna).

Pacjentka przyjdzie do Pani na zdjęcie szwów; zalecam badania kontrolne w styczniu 1983 roku. Chętnie zajmę się pacjentką, o czym rozmawiałem z nią i rodzicami.

Bardzo dziękuję za możliwość zbadania tak fascynującego przypadku. Wyślemy Pani kopie wyników badań oraz wypis ze szpitala.

Proszę o kontakt w razie zmiany stanu zdrowia pacjentki.

Z poważaniem

Dr

Oddział kardiologii

Stoimy na korytarzu kliniki przy Uniwersytecie Stanu Ohio: ja, mama i kardiolog. Nastolatki bywają przemęczone, mówi lekarz. Nie ma szmerów w sercu. Nic więcej nie może dla mnie zrobić.

Mama zwraca się do niego porozumiewawczym tonem, jak do kolegi po lachu. Pochyla się ku niemu jak kiedyś. Zastanawia się nad badaniami, które razem dla mnie wybrali, i mówi o rozczarującym wyniku tego ostatniego.

- Hm... Cóż, Michael. Opracujmy razem plan ataku. Ponieważ wyniki ostatniego badania nie rozwiały naszych wątpliwości, uważam, że już czas przeprowadzić operację na otwartym sercu i wreszcie raz na zawsze ustalić, co temu dzieciakowi jest.

Gapi się na nią, osłupiały.

- Pani Gregory, Julie nie potrzebuje operacji serca. Na pewno to panią cieszy. - Odchrząkuje z zakłopotania. - Dotychczasowe badania nie wykazały żadnych zmian, które uzasadniałyby zastosowanie tak inwazyjnego środka. Jestem przekonany, że z czasem objawy staną się wyraźniejsze i będziemy mogli postawić precyzyjną diagnozę albo Julie po prostu wyrośnie z choroby. Nic jej nie grozi, może poza wystąpieniem zespołu wypadania płatków zastawki mitralnej, ale prawdopodobieństwo jest znikome.

- To żart?

- Skądże. Stan zdrowia Julie jest w normie.

- Nie do wiary! Nie mieści mi się to w głowie! Nie chcesz doprowadzić sprawy do końca i zoperować jej serca? Myślałam, że razem doprowadzimy sprawę do końca, Michael! Mówiłeś, że ci zależy!

- Zależy mi na wykryciu przyczyn złego samopoczucia Julie, pani Gregory, ale operacja serca jest niewskazana. Zwykle rodzice bardzo się cieszą...

- Och, i już? Tak mnie potraktujesz? Po prostu wyrzucisz za drzwi? Na miłość boską, dlaczego nie mogę mieć normalnego dzieciaka jak inne kobiety? Jestem dobrą matką, 4-H, konie, basen, biwaki. Wypruwam sobie żyły, żeby było jej dobrze. A ty dajesz mi do zrozumienia, że robię coś nie tak? Czym sobie na to zasłużyłam? - Energicznie macha ręką.

Stoję za lewą nogą matki, wbijam wzrok w lekarza, nadaję mu sygnał SOS: Nie każ mi stąd wychodzić, nie pozwól, żeby mnie zabrała.

- Pani Gregory, nie powiedziałem, że nie jest pani dobrą matką. Ale ja ze swojej strony zrobiłem już wszystko. Proszę skończyć z badaniami serca. To tyle. - Odwraca się na pięcie.

- Będziesz żałował tych słów - wrzeszczy mama - kiedy dzieciak umrze pod twoją opieką! Tak! Wytoczę ci proces, niedouczony kretynie! Nie

umiesz nawet wykryć, co jest nie tak z 13-latką! Wariat! To dziecko jest chore, słyszysz, co mówię? Chore!

- Dzień dobry, gabinet doktora Stronga.
- Halo, jestem nową pacjentką, szukam kardiologa. W zasadzie chodzi o moją nastoletnią córkę. Widzi pani, cierpi na zespół wypadania płatki zastawki mitralnej i bardzo się boję, że jej stan się pogorszył.



Lato na wsi w Ohio to chyba najprzyjemniejszy i najseksowniejszy okres, jaki można sobie wyobrazić. Każda dziewczyna ma ochotę chodzić po okolicy) w króciutkich szortach firmy Daisy Duke i w staniku od bikini. Wszędzie pełno bujnej zieleni, rośliny oplatają wszystko, kiełkują z każdej szpary w ziemi; na dnie basenu siedzą żaby ryczące i nocami głośno wyrażają swoją seksualną frustrację, aż powietrze drży od modulowanych dźwięków, które nasilają się w ekstazie, a potem cichną, tak że nie słychać już nic. Jest wspaniale.

Siedzę na tylnym ganku, rozpalona i spragniona działaniami. Działanie ma polegać na tym, że popatrzę na mnie jakiś chłopak, więc zakręci się mi w głowie z radości, że mu się spodobałam, ale zrobię wszystko, by nie spojrzeć w jego stronę. Siedzę na tylnym ganku, spragniona i znudzona, przeczesuję palcami sierść Śmierdziela i Czarnej. Nie zabijam pcheł. Te większe kładę na papierowym talerzu razem z włoskami, które niechcący wrywam, gdy pies z irytacją, ostrzegawczo cofnie głowę. Kiedy uzbiera się ich z pięć, i leżą, wymachując nóżkami w powietrzu, idę po miękkiej trawie na pastwisko i rzucam je w zarośla pod lasem. Miałabym je deptać, żeby wybuchły krwią, lub podpalać zapałką? Nie wiem, dlaczego są na świecie, ale to nie oznacza, że nie powinny tu być. Małe pchły od razu rzucam na trawę. Rozłażą się w różnych kierunkach, czasami co sił w nogach wracają na ganek, do psów. Nie przejmuję się tym. Będę miała zajęcie na następny wieczór.

Pchły. Tym właśnie zajmuję się wieczorami, choć jestem rozpaloną nastolatką. Gdy moi rówieśnicy przesiadują w samochodach, godzinami

udając, że rozmawiają, by pocałować się kilka minut przed powrotem do domu, gdy dziewczyny wybierają się do kina ze swoim najlepszym przyjacielem i jego starszym bratem, a potem siadają na przednim siedzeniu jego camaro i piszcza na zakrętach, ja tkwię w ślepym zaułku przy zwirowej drodze, wybierając pchły z potarganej sierści dwóch psów.

Teraz, gdy zdałam do dziewiątej klasy, a doktor Strong przepisał mi lekarstwa na zespół wypadania płata zastawki mitralnej, mama postanawia zrobić coś z moimi wiecznie otwartymi ustami i zwisającą dolną wargą.

- Wyglądasz jak czarnuch, Julie. Na miłość boską, zamknij usta i oddychaj normalnie!

Zimą jedziemy do specjalisty od uszu, nosa i gardła w Columbus. Gdy byłam na cewnikowaniu serca, mama codziennie przyjeżdżała sama do kliniki uniwersyteckiej, więc poczuła się pewniej za kierownicą i postanowiła prowadzić medyczne poszukiwania bliżej centrum miasta. Problem kardiologiczny został już prawie rozwiązany, a teraz pojawia się szansa, żeby naprawić resztę.

Mama rozmawia z lekarzem o przewodach nosowych i o tym, że utrudniony przepływ powietrza może być przyczyną wielu zaburzeń, od arytmii serca po niedotlenienie mózgu.

Siedzę na stole, a lekarz przysuwa do mnie twarz. Czuję jego ciepły oddech na swojej dolnej wardze. Szz... Szz... Unosi mój podbródek i palcem maca nos, świecąc sobie śpiczastą latarką.

- Aha... - mówi. - Już wiem.

Zapisują mnie na Zabieg ambulatoryjny polegający na tym, że lekarz usunie nadmiar chrząstki z przewodów nosowych, dzięki czemu będę mogła normalnie oddychać z zamkniętymi ustami. Mówi, że mam skrzywioną przegrodę nosową.

W gabinecie, gdzie doktor objaśnia mi szczegóły zabiegu, stoją głębokie, wygodne fotele z eleganckimi obiciami z szenili. Całą ścianę za biurkiem pokrywają oprawione w ramki profile osób przed i po chirurgicznej korekcie przegrody nosowej. Gdy mama rozmawia z lekarzem, ja przyglądam się uważnie fotografiom, zastanawiając się, czy ktoś w ogóle zauważył, że nosy zoperowane przez doktora wyglądają potem inaczej. Chcę go zapytać, ale patrzą sobie z mamą w oczy. Lekarz pochyła się ku niej nad mahoniowym biurkiem, ona - ku niemu, ze swojego szenilowego fotela; rozdziela ich zdjęcie rentgenowskie mojego nosa, pełnego chrząstki. Mama wymachuje palcem jak czarodziejską różdżką.

- Mógłbyś jej zlikwidować ten garbek i poprawić kształt nosa, żeby był bardziej łukowaty?

Lekarz z uśmiechem odchyła się na krzesło.

- Zrobimy, co tylko zechcesz, Sandy.

Mama informuje mnie, że mam traktować ten zabieg jako prezent gwiazdkowy, bo ubezpieczalnia nie pokrywa wszystkich kosztów. Ale warto, mówi. Dzięki lekarzowi nie tylko będę mogła normalnie oddychać, ale i stanę się ładniejsza.

Nos nie jest częścią ciała, na której powinno się nosić gips. Oni jednak całkowicie mi go oblepili, a raczej to, co zostało, i przykleili do policzków wąskimi białymi paskami plastra. Ból jest nie do zniesienia. Wycięli mi nadmiar chrząstki i poprawili kształt końca nosa. Przez pierwsze dni mam wielkie sińce pod opuchniętymi oczami. Nie wolno mi ruszać głową. Przy każdym wydechu z moich nozdrzy wypływa krew i śluz, tworząc bąbelki. Dostałam dwa tygodnie zwolnienia ze szkoły, więc mam czas przetaczać wielkie beły siana do stajni, nosić do domu wiadra węgla i rąbać drewno na opał. Robię to wszystko bardzo powoli, bo czuję się tak, jakby ktoś młotkiem zmiażdżył mi zatoki. Ucisk nigdy nie ustępuje; bez przerwy mam wrażenie, że tkwią we mnie kawałki potłuczonej porcelany lub odpryski kości ze złamanego skrzydła ptaka.

Mówią mi, że przez półtora miesiąca nie mogę nosić okularów przeciwsłonecznych: nos jest teraz tak delikatny, że nawet najmniejsze obciążenie grozi deformacją. Wciąż boli mnie twarz. Już nie pamiętam, jak było bez bólu, nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedyś ustąpi. Widzę przed sobą morze cierpienia, po którym dryfuję, kurczowo trzymając się jakiejś kłody, i staram się nie utonąć. Teraz mogą ze mną zrobić, co chcą. Wiem, że już nigdy nie będzie mi lepiej.

- Czy on cię dotknął, no wiesz, w intymnym miejscu?

Mama przysiadła na moim łóżku, żeby pogadać.

- Nie.

To była prawda. Kochałam tatę; nigdy mnie nie skrzywdził. Nie lubiłam chodzić przy nim w kostiumie kąpielowym, ale nigdy nie zrobił nic, co mogłabym uznać za złe.

- Cóż. Penny powiedziała komuś, że Dan, no, wiesz, i ten ktoś w to uwierzył. Pieprzony sukinsyn. Wiem, że to robił, więc jak Boga kocham, chciałabym, żeby ktoś przyłożył mu strzelbę do głowy i nacisnął spust.

Przyjedzie opiekunka społeczna, pewnie zabierze Penny i zada wam kilka pytań, więc po prostu odpowiadaj: nie. Okej?

- Okej.

- Powiedz jej, że twój tatuś nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Następnego dnia, kiedy wróciłam z dworu, zobaczyłam w pokoju dziennym mamę i Penny, która trafiła do nas jako jedno z pierwszych przybranych dzieci. Piękne, jasne włosy Penny były owinięte wokół dłoni mamy.

- Ty mała dziwko! Jak śmiesz wymyślać takie bzdury, kiedy jestem twoją matką i jest ci dobrze, jak nigdy przedtem? Dałam ci konia, zapisałam cię do 4-H, kupowałam ci ubrania, woziłam na jarmark...

Wymknęłam się do swojego pokoju, ale i tak słyszałam przez ścianę, jak Penny, szlochając, próbowała wytłumaczyć, że niczego nie zmyśliła. Tata naprawdę wyjął pornograficzne pisma w garażu. Bardzo przepraszała, że się wygadała. Przerywała co chwila, jakby mama uderzała jej głową o kanapę, o ścianę, o kredens.

Słuchałam z uchem przy dziurce od klucza, z bijącym sercem.

- Ty dziwko, rzygać mi się chce na twój widok. Mam nadzieję, że cię zgwałcą w nowej rodzinie, wtedy się dowiesz, jak to naprawdę jest!

Następnego dnia Penny już nie było.

Gdy przyjeżdżały kolejne przygarnięte dzieci, na początku musiałam je bić. Czułam się jak żołnierz z elitarnej jednostki. One były nikim. Ja - kimś. Uważałam je za pseudodzieci, duchy, które przyjmowaliśmy dla pieniędzy, żeby móc dalej rozbudowywać dom.

Automatycznie mieliśmy się stawać rodzeństwem. Większość nowych dzieci kopała i płakała, krzyczała, że prawdziwe mamy je znajdują i stąd zaborą.

To byli dla nas obcy ludzie, jeszcze bardziej niż weterani, którzy przynajmniej mieszkali w oddzielnej, zamykanej dobudówce. Mama trzymała ich pod kluczem, bo przepisy zabraniały przyjmowania do rodziny dzieci i weteranów wojennych jednocześnie. Kiedy więc opiekunka społeczna przyjeżdżała na kontrolę, tata pakował starszków do samochodu i wywoził ich na jakiś czas. Gdy odwiedzała nas opiekunka z działu weteranów, zabierał na przejażdżkę przygarnięte dzieci.

Prawie nie pamiętaliśmy, że pod naszym dachem mieszkają starszki; nie mieliśmy z nimi kontaktu. Ale z dziećmi musieliśmy się dzielić pokojami, szafami, zabawkami, ubraniami, łóżkami - i rodzicami.

Mama wciskała mi w dłoń paczkę na muchy i pokazywała, jak to się robi. Trzeba chwycić za nadgarstek i z całej siły walić plastikową paczką w różowe

dłonie. Stała w drzwiach pokoju, dopóki nie zaczęłam bić tak mocno, że krzyczały. Niektóre z tych dzieci były tylko o rok młodsze ode mnie.

Ja i mama byłyśmy wtedy przyjaciółkami od serca. Po wizycie u lekarza, gdy szłyśmy coś kupić, przygarnięte dzieci zostawały w samochodzie. Uwielbiałam ją; śmiałam się głośno, kiedy drwiła z głupoty Lloyda, z jego jąkania i nóg, pałakowatych po przebytej w dzieciństwie krzywicy, kiedy wytykała palcem grubą Penny i mówiła Ricky'emu, że ma za długi tułów. Ja powtarzałam to po niej i chichotałyśmy jak dziewczynki w szkole.

Mama odnosiła się tak tylko do mnie; nasze prywatne żarty wywoływały we mnie uczucie zakazanej przyjemności, jak siusianie do basenu, kiedy nikt nie patrzy. Biłam przygarnięte dzieci, bo byłam pomocnicą mamy. Niech mnie Bóg ma w swojej opiece.

Pewnego ranka Lloyd miał dostać lanie, bo za wolno sprzątał w swoim pokoju. Mama wparowała z packą na muchy i wcisnęła mi ją w rękę.

- Załatw to, Sis. Gdyby był jakiś kłopot, zawołaj mnie.

Stanęłam w drzwiach jak żołnierz, surowo patrząc na chłopca. Chwiał się na swoich krzywych nogach przy wielkim kulistym pudle, mającym wyglądać jak niebieska Ziemia. Próbował chować do niego zabawki. Miałam go ukarać. Podbiegłam, chwyciłam go za rączkę, wykręciłam ją i zaczęłam bić. Przez chwilę nie reagował. Nagle powietrze przeszył wrzask. Był rozdzierający, jakby sama skrzywdzona dusza Lloyda krzyczała, żeby się bronić. Zrobiło mi się niedobrze. To był krzyk torturowanego. Ja byłam katem.

Puściłam Lloyda i cofnęłam się o kilka kroków. Poruszał dolną wargą, z trudem łapiąc powietrze. Na dłoni miał czerwone, pulsujące pręgi. Nie mógł oderwać ode mnie wzroku. A ja - od niego. Staliśmy tak, w odległości metra, patrząc na siebie i dysząc. Nagle mama krzyknęła w kuchni. Podskoczyliśmy jak oparzeni. Wciąż patrzyliśmy sobie w oczy. Zaczęłam uderzać packą własną dłoń, a Lloyd płakał. Zrobiliśmy to dla mamy i dla siebie.

Od tej pory, bez żadnych ustaleń, przygarnięte dzieci zaczęły się ze mną porozumiewać w złożonym systemie niewerbalnych sygnałów. Potrafiliśmy wyrazić całe zdanie lub ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, rzucając ukradkowe spojrzenie, nieznacznie akcentując jakieś słowo w rozmowie, przesuwając palcem po blacie kuchennym.

Przekazywaliśmy sobie niezbędne wiadomości o tym, gdzie jest mama i jak się czuje. Jakbyśmy porozumiewali się przez telepatyczne CB radio.

Byliśmy jeńcami wojennymi, uwięzionymi w przyczepie, więc zaczęliśmy dbać o siebie nawzajem. Krzyki, które słyszeliśmy, z początku nas paraliżowały, ale później zaczęły w nas budzić heroiczną potrzebę wtrącenia się, choćby pod groźbą kary. To już nie „obce” dzieci dostawały lanie, ale nasze rodzeństwo. Zaangażowaliśmy się z własnego wyboru, bo pod pewnym względem tak było łatwiej, niż stać z boku.

Byłam najstarsza i najlepiej ze wszystkich potrafiłam ją ugłaskać, czego nauczyłam się w czasach, gdy nie udawało mi się pokazać lekarzowi, jak ciężko jestem chora. Byłam doskonale wyszkolona. Tylko ja mogłam uratować pozostałe dzieci przed czymś, co by je zabiło, przynajmniej duchowo.

Nauczyłam się wyczuwać najdrobniejsze sygnały wskazujące, że mama wychodzi z siebie; rozpoznawałam jej nastroje i załamania. Byłam wyczułona na zewnętrzne bodźce, które mogły ją zdenerwować. Wyobrażałam sobie, że jestem jak radiowy korektor: przechwytywałam zakłócenia, neutralizowałam złe fale i eliminowałam szумы.

Słyszając krzyk Lloyda roznoszący się po całej przyczepie, wpadałam do pokoju dziennego i mówiłam:

- Mamo, to moja wina. Skłamałam. -Powiedziałam Lloydowi, że sama posprzątam w pokoju, i pozwoliłam mu oglądać telewizję. Zapomniałam. To moja wina. Przepraszam. - Bezpośredni, pełny przekaz, krotki i łatwy do zrozumienia. /

Czasami wyładowywała swoją złość na mnie; wtedy chudy jąkała Lloyd, z brązowymi włosami i krzywymi nogami, przesuwiał się dyskretnie za kanapę, a potem biegł do jakiejś kryjówki.

Wkrótce zaprzyjaźniłam się z Marią. Żartowałyśmy sobie z mamy spojrzemieniami, na przykład wtedy, gdy zaczęła spinką do włosów o gałąź podczas wycieczki konnej z klubem 4-H.

Kilka miesięcy później, kiedy mama katowała Marię w pokoju dziennym, wbiegłam tam i sama nadstawiłam głowę, żeby zabiła mnie pięścią; dostałam jeszcze mocniej za to, że mam twardą czaszkę i przez to rozbolała ją ręka. Po wszystkich powłokłam się do pokoiku z tyłu domu, małej dobudówki, gdzie zbierałyśmy wszystkie rzeczy kupione przez mamę, ale nieużywane.

Maria przeszła na palcach przez małą pralnię, skąd było wejście do pokoju, i zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie śledzi jej mama. Szła w samych skarpetkach, z trudem znajdując drogę wśród rupieci. Zobaczyła mnie, skuloną w rogu. Przykucnęła obok, objęła mnie ramionami i mocno ucisnęła. Nie pozwoliłaby mi umrzeć.

- Kocham cię, mamusiu - powiedziała.
- Ja też cię kocham, Mario.

W 10 klasie pierwszy raz usłyszałam termin „niezależny nieletni”. Nastolatki mieszkają same, zarabiają na utrzymanie, uwalniają się od rodziców! Wystarczyło tylko porozmawiać ze szkolnym pedagogiem i podpisać jakieś dokumenty, a szkoła pomagała wszystko zorganizować. Chciałam się wyrwać z domu. Zabrać ze sobą Marię.

Umówiłam się na spotkanie z panem Marksem, który pracował w naszej szkole na pół etatu jako pedagog. Spokojnie i racjonalnie wyjaśniłam, czego mi trzeba, po czym wyjęłam długopis, chcąc podpisać papiery.

- Ale dlaczego chcesz odejść z domu?

Na to nie byłam przygotowana. Nie sądziłam, że będę musiała podać powód. Zmyśliłam coś, a on uniósł brwi.

Powiedział, że to przemyśli i wezwie mnie do siebie, gdy podejmie decyzję. Zamiast tego wezwał moich rodziców.

Wieczorem w kuchni mama złapała mnie za włosy i rzuciła na podłogę. Tata oparł się o blat stołu, dla równowagi, i biorąc zamach nogą, kopnął mnie podkutymi butami w brzuch.

Przez resztę roku pan Marks zwalniał mnie co tydzień z plastyki, żeby leczyć moją wybujałą wyobraźnię.

Mama i ja siedzimy na oddziale gastrologicznym w nowym centrum medycznym. Dwie pielęgniarki przygotowują dla mnie oddzielną kabinę, żebym mogła spokojnie wypić napój z kontrastem - barem. Trzecia pielęgniarka stoi przy umywalce i przygotowuje miksturę, która uwidoczni moje jelita na zdjęciu.

- Skąd jesteście? Mieszkacie tu, w Lancaster?

- Między Fairfield a Hocking, 40 minut drogi stąd, na południowym zachodzie Lancaster.

- Julie, jaki wolisz smak, kotku? Tak, masz wybór. Pomarańczowy, czekoladowy lub truskawkowy. - Pielęgniarka zwraca się do mamy. — Ja jestem z Murray, mieszkam niedaleko Pataskali, więc całkiem niedaleko was. Gracie w brydża?

- Och, zawsze chętnie. Julie, wybierz smak.

- Który jest najlepszy?

- Ja bym wzięła pomarańczowy. Trochę przypomina sok ze świeżych owoców.

Zgadzam się na to.

Dolewa aromatu do butelki.

- Co tydzień spotykamy się w niewielkim gronie, żeby zagrać - odwraca się od umywalki i puszcza oczko do mamy. - Bez chłopaków. Między nami dziewczynami.

- Koniecznie musisz przyjechać do nas na brydża. Zbierzemy czwórkę pielęgniarek, a jeśli nie, to przynajmniej odpoczniemy jeden wieczór od mężczyzn. - Mama zaczyna się wiercić. - Z przyjemnością zapraszam na naszą farmę. Mamy kilka hektarów pięknego lasu, otaczają nas pastwiska. Jest przepięknie.

- Ach, nie wątpię. Na pewno uda się zorganizować spotkanie. Teraz posiedź z Julie i dopilnuj, żeby to wszystko wypięła. Zaraz zrobimy prześwietlenie.

Pielęgniarka uśmiecha się do nas, podaje mi napój i wychodzi.

Mama woła za nią:

- Dziękuję bardzo. Koniecznie zapisz mi swój numer telefonu, zanim wyjdziemy. - Zwraca się do mnie. - No dobrze, Sis. Miejmy to już za sobą.

Dotykam ustami brzegu metalowego naczynia z gęstym napojem zawierającym bar. Wygląda jak pomarańczowa kreda wymieszana z olejem i z magnetycznym pyłem. Naturalna reakcja po przełknięciu choćby łyeczka baru to wymioty. Bardzo gwałtowne.

Przypominam sobie metaliczny smak. Ale jaki? Czerwień z łebków zapalek, wnikająca w mój język? Dlaczego jeszcze jestem w szpitalu? Czego szukają? Coś jest nie w porządku z moim brzuchem? Patrzę na mamę. Pomóż mi, błagam, pomóż. Po twarzy płyną mi łzy. Krztuszę się barem, zwracam; kwaśne, gęste bańki. Miejmy to już za sobą, Sis. Moje gardło samo otwiera się i zaciska. Proszę, pomóż mi, mamó, nie każ mi tego pić.

Mama ma zamglony wzrok. Jakby mnie nie widziała, porusza ustami, wyobrażając sobie jakąś rozmowę. Mięsień w jej szczęce drży z emocji, przed jej oczami rozgrywa się jakaś scena. Nie widzi mnie, zapłakanej, próbującej przełknąć obrzydliwy napój. Nie widzi gabinetu w centrum medycznym. Uśmiecha się do kręgu pielęgniarek, usadzonych wokół dużego stołu w naszej dobudówce z wielkimi oknami, pogryzających chipsy z dużego pudełka; grają w brydża i śmieją się z mężów do późnej nocy, między nami dziewczynami.

Wynik badania rentgenowskiego - tłumaczenie

Radiologia

Wynik badania rentgenowskiego

Badanie górnego odcinka układu pokarmowego z jelimem cieniym. Podany kontrast (bar) bez przeszkód wpływa przełykiem do żołądka. Nie ma przepukliny rozworu przełykowego. Błona śluzowa żołądka w normie. Dwunastnica w normie.

Po podaniu drugiej szklanki kontrastu z barem wykonano serię zdjęć jelita cienkiego. Nie wykazały żadnych zmian błony śluzowej; jelito kręte w normie. Nie stwierdzono żadnych uszkodzeń jelit.

Wnioski:

1. Górny odcinek przewodu pokarmowego - w normie
2. Jelito cienkie - w normie

Podpisy konsultantów

Columbus, Ohio

W klubie 4-H miałam konia rasy quarter horse, który wabił się Skipster's Barr. Miał półtora metra w kłębie - byłam przy nim malutka - i wyglądała wspaniale z jedwabistą, brązową sierścią, napiętymi mięśniami i czterema białymi skarpetkami.

Mama chciała, żebym startowała w wyścigach wokół beczek. Stwierdziła jednak, że mój koń jest takim samym leniem jak ja.

Czułam ulgę, że Barr nie wykazywał chęci współpracy. Mdliło mnie na samą myśl o prowadzeniu napompowanego adrenaliną zwierzęcia slalomem pomiędzy ciasno ustawionymi beczkami. Teraz przynajmniej miałam wymówkę. Mimo to zawiozłyśmy na łąkę cementowe bloki, ustawiliśmy z nich słupki i zrobiliśmy miejsce do treningów. Mama wyprowadzała Barra, żeby mi pokazać, jak to się robiło w czasach, gdy pracowała w cyrku. Wskakiwała na siodło z okrzykiem: „Iiiiiii-ha!”, trzaskała batem nad pięknym zadem mojego konia i wbijała mu ostrogi w boki, aż puszczał się takim pędem, że omal nie zrzucił jej na zakręcie.

Gdy gwałtownie zatrzymali tuż przed mną, Barrowi ciekło z nosa, a jego łagodne oczy patrzyły z prawdziwym przerażeniem.

W letnie dni, kiedy mama była zajęta przeglądaniem swoich ubrań albo miała dobry nastrój, mówiłam jej, że chciałabym zabrać Barra na położone wyżej pola i poćwiczyć galop. Musiałam mocno kopać piętami, żeby jak najszybciej wyniósł mnie z farmy, na wypadek, gdyby mama zmieniła zdanie. Kiedy tylko zniknęliśmy jej z oczu, pozwalałam mu zatrzymać się w lesie. Zdejmowałam z niego siodło i uprząż, zsuwałam kowbojki i wchodziłam na jego grzbiet, przytrzymując się drzewa.

Lekko przyciskałam jego boki gołymi piętami, więc Barr znów ruszał. Szedł powoli, leniwie, z opuszczoną głową, ciesząc się słońcem, a ja zdejmowałam szorty i bluzkę.

Barr niósł mnie powoli; przewieszałam mu swoje ubranie przez kark, za lejce służyło mi pasmo włosów z jego grzywy, luźno owinięte wokół palca wskazującego. Barr szedł, dokąd chciał, przez lasy i pastwiska, gdzie nie było żywej duszy. Ufałam mu. Jechałam w samej bieliźnie; moje kościste nogi kołysały się przy jego umięśnionych bokach, stopy opadały swobodnie, jakbym była baleriną tańczącą na puentach. Za każdym razem, gdy wyrzucał w przód swoje mocne uda, przesuwałam się lekko w tył lub w przód, a na wewnętrznej stronie nóg powstawały smugi olejku do pielęgnacji sierści. Przy każdym kroku Barra mój tułów rozluźniał się trochę bardziej, aż osiągałam cudowny stan całkowitego odprężenia. Usta same mi się rozchyłały. Nie musiałam nic mówić. Ani nawet myśleć.

Czasami Barr zatrzymywał się na pustym polu. Cofał nieco tylną nogę i stawał swobodnie. Opadałam na jego kark, nogi układałam na zadzie. Leżałam rozciągnięta na ciepłym jak rozgrzany piasek grzbiecie konia, oplatając jego szyję ramionami i opierając głowę na wzniesieniu kłębu. Pozostawaliśmy tak bardzo długo, przysypiając na słońcu. A kiedy Barr był gotów do drogi, podciągał nogę, unosząc mnie trochę, i robił kilka kroków, żebym się obudziła.

Siadałam, zwieszałam nogi przy jego bokach i klepałam go po szyi. Barr ruszał znowu, powoli i spokojnie niosąc mnie daleko, daleko od Farmy Kryjówki.

Tego lata, gdy już doszłam do siebie po operacji nosa, mama ustawiała mnie na zwirowym podjeździe i robiła mi zdjęcia polaroidem, na tle naszej przyczepy o ścianach wykładanych listewkami. Włosy zgarniałam do góry i kokieteryjnie przytrzymywałam je ręką. Ubierała mnie w stanik, powiększający biust, obcisłe dżinsy, różową, rozpinaną koszulę z postawionym kołnierzykiem. Czasami dorzucała kowbojski kapelusz. Zdjęcia wysyłała do agencji modelek Forda w Nowym Jorku, mając nadzieję, że ktoś mnie odkryje. Niektóre zostawiała sobie i nosiła w portfelu. Przecież zawsze mogła się natknąć na miłego, starszego mężczyznę, który miałby ochotę na mnie spojrzeć.

Mam sporo tych zdjęć; są jak ostatnie okno, przez które można zajrzeć w czasy mojej wczesnej młodości. Na fotografiach moje bladoszare oczy opowiadają życiu, na które miałam tak niewielki wpływ. Reszta twarzy wyraża coś innego. Wyglądam, jakbym jadła mężczyzn na śniadanie; zmiażdżonych i rozsmarowanych na grzance.

Kończę 16 lat. Mama zaczyna mi podawać pigułki antykoncepcyjne, żebym nie zaszła w ciążę. Jestem już w odpowiednim wieku, by umawiać się z facetami, a ona wybrała już kilku kandydatów. Pierwszy to syn Debbie Miller. Widział mnie jadącą na koniu; nasze matki aranżują spotkanie. Ma na imię Don. Gdy go poznaję, śmierdzi wodą kolońską Polo i nosi czarne krzaczaste wąsy. Skończył 31 lat.

Pierwsza randka odbywa się na motorówce, z Debbie w roli przywoitki. Debbie zapala papierosa, rozdwojone końce platynowych włosów, zniszczonych trwałą, opadają na jej opalone ramiona, kołyszac się wraz z łodzią. Don płynie na środek jeziora i wyłącza silnik. Dryfujemy w gorących promieniach słońca. Debbie wzięła kanapki z różową szynką i sałatą.

Podając jedną synowi, puszcza do niego oczko. Myślę, że próbuje mu coś przekazać, ale nie wiem na pewno. Siedzę między matką a synem. Chciałbym być głodny jak wilk, tylko skubię szynkę wystającą z bułki.

Debbie przeciąga się teatralnie i idzie na wyścielaną ławeczkę na rufie, żeby się zdrzemnąć; zostawia mnie i Dona na małym, trójkątnym pokładzie przy dziobie. Don wyciąga rękę i muska końcami palców troczki mojego opalacza. Chce, żebym odwiedziła go w mieszkaniu, sama. Ma tam coś, co chętnie mi pokaże. Próbuje mnie pocałować, drapiąc swoją szorstką skórą mój policzek, miękki jak podbrzusze żrebaka. Odsuwam się o kilka centymetrów i zaczynam trajkotać o starych samochodach taty. Chcę, żeby Debbie obudziła się i krzyknęła: „Don, na miłość boską, co ty wyprawiasz? Przestań natychmiast!” Powinna go surowo skarcić, niech się zawstydzi i ma poczucie winy. Ale ona nie przeszkadza synowi, a ja nie ruszam się z miejsca. Przecież to miło z ich strony, że poczęstowali mnie lunchem i zabrali na całodzienną wycieczkę. Nie chcę nikogo rozczarować. Gdy Debbie wreszcie się budzi, padam jej w ramiona z entuzjazmem, który zadziwia nas obie.

Don włącza silnik i motorówka mknie po wodzie, tnąc fale z białymi obwódkami piany, w stylu *Policjantów z Miami*. W gasnącym świetle słońca widzę, że zaciska szczęki. Jest zły, że tak niespodziewanie schroniłam się pod skrzydła jego matki. Wreszcie przybijamy do brzegu. Tak się cieszę na widok Sandy czekającej na parkingu, że zeskakuję na pomost i biegnę do niej. Wychyla się z okna samochodu, energicznie machając do Debbie i Dona.

To już koniec. Lekarze nie mogą się doszukać u mnie żadnej innej choroby. Przepisują mi środki nasercowe, czasami zmieniając dawkowanie. Ale straciłyśmy szansę znalezienia prawdziwej przyczyny moich dolegliwości.

Trzeba było zrobić operację serca, wtedy uzyskałybyśmy definitywną odpowiedź; jednak młody, niedoświadczony kardiolog nie poradził sobie z moim skomplikowanym przypadkiem. Mama poświęciła pół życia na szukanie kompetentnego lekarza dla chorej córki. Na darmo. Wciąż jestem chora. W zeszłym roku, w dniu moich urodzin, tata stracił pracę, więc nie mamy już nawet dobrego ubezpieczenia zdrowotnego.

Od czasu do czasu chodzimy do kościoła. Mama opowiada wszystkim, że już nigdy nie wyzdrowieję, i prosi o modlitwę w mojej intencji. Zdziwiłaby się bardzo, gdybym dożyła dwudziestki. Można tylko stabilizować

mój stan lekarstwami. Wciąż kołacze mi serce, chrapliwie oddycham i chodzę z otwartymi ustami. Nadal wypijam całe puszkę czekoladowego Ensure Plus i zjadam tuczące wafle, ale teraz już wiem, że i tak mi nie pomogą.

Tata chce ze mną szczerze porozmawiać. Wprowadza mnie do pustego pokoju. Podchodzi do łóżka, a ja za nim, zalekniona. Przysiada na krawędzi i klepie się ręką w udo, żebym wskoczyła mu na kolana, jak kiedyś, gdy byłam małym dzieckiem. Te czasy minęły. Skończyłam 16 lat. Wcale nie chcę siadać ojcu na kolanach. Robię to jednak: opieram jeden pośladek na jego udzie i przenoszę ciężar ciała na drugą nogę, odsuniętą jak najdalej.

Tata obejmuje mnie ręką.

- Nie pozwolę, żebyś latem pracowała jako ratownik na basenie.
- Ale tato! Marzę o tym. Umieję pływać i...
- Pamiętasz, jak byłeś mała i ludzie śmiali się z ciebie w miejscach publicznych?

Kiwam głową, próbując powstrzymać łzy.

- Cóż, kotku. Po prostu nie mogę się zgodzić, żeby moja córeczka wyszła na basen w kostiumie kąpielowym i znów była wyśmiewana. Nie masz piersi, bioder ani tyłka, Sissy. W opalaczu wyglądasz okropnie. Dzieciaki są okrutne, nabijałyby się z ciebie. Ale nie martw się, że nie znajdziesz pracy. Mama obiecała, że na lato załatwi ci coś w szpitalu.

Nie chodzę już do lekarza, więc latem mam dużo czasu, a godziny ciągną się w nieskończoność. Na wsi brak rozrywek, nie można się tu oderwać od codziennych zajęć; nie ma centrów handlowych, restauracji, wypożyczalni kaset wideo. Czas płynie bardzo wolno, tak że jeden dzień wydaje się trwać tyle co czterdzieści.

Tata spędza większość wieczorów w warsztacie. Gdy jest z mamą, tylko na siebie krzyczą. Kłócą się, bo tata nie pracuje. Bo stracił pieniądze. Bo nie stać ich na rozwód.

Tkwimy na farmie, znudzeni, zaniepokojeni, zestresowani. Buty mamy czekają w szafie jak tykająca bomba zegarowa. Ja, Danny i przygarnięte dzieci przyklejamy się do skajowych siedzeń w samochodzie, spoceni od upału, a ona podjeżdża pod kolejne sklepy, żeby kupować ubrania, buty i betonowe figurki zwierząt, które staną w przedpokoju.

Dobudowaliśmy do przyczepy tyle nowych pomieszczeń, że już więcej by się nie dało. Mamy teraz sześć sypialni, trzy łazienki, dwa pokoje dzienne,

spiżarnię z chłodziarką, pralnię, jadalnię, trzy tarasy i graciarnię z tyłu. To kryjówka dla dzieci i pajaków.

Zbudowaliśmy garaż przy ścianie chatki z bali, stodołę na siano, szopę na części samochodowe taty, i jeszcze jedną, na kupioną z ogłoszenia motorówkę, którą nigdy nie pływamy. Zasadziliśmy wolno rosnące wierzby i drzewka owocowe; tyle razy odświeżaliśmy podjazd, że mam odciski na dłoniach od przesypywania łopatą żwiru z wielkiego stosu, który kupujemy co roku.

Jest basen i ogrodzenie z drutu kolczastego. Mamy 10 koni. W siodłami piętrzą się niewyobrażalne ilości wybijanych srebrnymi ćwiekami siodeł, uzd, pledów, lejc i uprzęży. Na półkach leżą żółte, różowe i fioletowe szarfy, które zdobyliśmy z Dannym na zawodach jeździeckich; jest też moja nagroda za II miejsce w konkursie na Królową Koni Jarmarku Hrabstwa Pickaway.

Matka stoi sztywno przy piecu, ciasno splótła ramiona i ciężar ciała przenosi na jedną nogę.

- Co miałeś zamiar z tym zrobić? - pyta. - Ty leniwy pedale, cholerny nierobie!

Z każdym słowem, które cedzi, ojciec staje się czerwieny, bardziej wściekły. Buzuje w nim gniew, ale wrodzone tchórzostwo każe mu wyładować się na mnie. Chwyta mnie za włosy.

- *Zaraz* zobaczysz, co zrobię. Nie pozwolę, żeby jakaś pieprzona dziwka kazała mi zbierać z podłogi zasmarkane chusteczki. - Dzieli nas tylko stolik. Ojciec ściska zużyta chusteczkę, jego zaprawiony adrenaliną pot miesza się z mikrobami.

Mama powiedziała mi, że rozrzucam chusteczki, więc on ma je pozbiierać; znów z premedytacją stara się wyprowadzić ojca z równowagi.

Tata bierze chusteczkę i mówi coraz głośniejszym głosem, a mama cichnie. Jak w sztafecie: skończyła pierwszą zmianę, teraz jego kolej. Wytrzeszczam oczy z przerażenia, nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Tłumaczę mu, że to chusteczka pana Becka, że jednorazówki wypadają mu z kieszeni, kiedy idzie do łazienki, ale nie można go za to winić, bo jest wiecznie otępiały od leków.

Matka wznosi oczy do nieba: nigdy nie słyszała bardziej kretyńskiej wymówki. Ojciec widzi po jej minie, że kłamię, i chce mnie szybko ukarać, by uzyskać nagrodę: święty spokój. Niech ona się odczepi, niech się wreszcie odczepi i pozwoli mu z powrotem zamknąć się w swojej skorupie.

A teraz ja zarzuciłam mu kłamstwo, mówiąc, że było inaczej. Żadna mała gówniara nie będzie nazywać go kłamcą!

Przyciska moją głowę do stołu, mocno uderza nią o róg. Ból rozchodzi się promieniście po całej mojej głowie, po nowym nosie, dociera do wszystkich punktów skóry jak błyskawica, przesywająca niebo; mam wrażenie, że moja twarz pękła, nie mogę pojąć tego szaleństwa.

Nie płaczę. Zaraz umrę. Po co krzyczeć, jeśli nie ma już nadziei na przetrwanie? Czuję się tak, jakbym była z drewna, niczym Kawliga w starej piosence, którą śpiewałyśmy z mamą w samochodzie; jestem sztywna jak matka stojąca w rogu pomieszczenia ze splecionymi ramionami. Ojciec ciągnie mnie za włosy; szarpie energicznie. Wyobrażam sobie, że tonę w metalowej wannie z zimną wodą, a on, chcąc mnie ratować, z wielką siłą i determinacją wyciąga moją głowę z wody.

Pokazuje mi chusteczkę, a ja zaczynam krzyczeć, nie, nie, nie, zaraz dostanę nauczkę, którą zapamiętam do końca życia. Nigdy więcej nie rzucaj zużytych chusteczek na podłogę. Wciska mi jednorazówkę w rękę, bo chce to zobaczyć: mam wziąć ją do ust i żuć. W ułamku sekundy orientuje się, że tego nie zrobię i że rzucam mu wyzwanie. Na pewno chcę sprawdzić, czy będzie umiał mnie do tego zmusić, czy jest prawdziwym mężczyzną, który nie pozwoli, by własna córka robiła z niego idiotę. Widzę to w jego oczach, słyszę w jego głosie; ojciec sam się nakręca, jeszcze raz pcha mnie w dół - wcale nie jest łatwo, bo mam już 172 centymetry wzrostu - i uderza moją głową o róg stolika. Błagalnie patrzę na matkę.

- Proszę! - krzyczę. - Mamo, pomóż, on mnie zabije!

Matka stoi w tej samej pozycji, co przed trzema minutami. Trzy minuty temu moje życie było całkiem inne. Trzy minuty temu była jeszcze szansa, że wyjdę z tej sytuacji bez szwanku, ale teraz...

Mama, nadal ze splecionymi ramionami, ale odprężona i swobodna, uśmiecha się jak kot z *Alicji w krainie czarów*, patrząc mi w oczy, gdy moja głowa uderza o kant stolika. Ojciec warczy, że zaraz zatłucze mnie pięścią lub udusi gołymi rękami. Przypomina mi ogromnego, 100-kilowego, wściekłego byka. Nie mam żadnych wątpliwości, że dotrzyma słowa, więc biorę chusteczkę do ust, powoli i delikatnie, jakby była biskopikiem z katalogu Swiss Colony. Papier nasiąka moją śliną; wyobrażam sobie, że zaschły glut to stara cukrowa wata lub miętowy, silnie pachnący cukierek z torebki babci Madge. Chusteczka przykleja mi się do języka i powoli się rozpuszcza; trawienie zaczyna się już w ustach. Ojciec wrzeszczy, strzela oczami jak szaleniec, czoło przecinają mu dwie głębokie, ukośne bruzdy, zbiegając

się nad nosem w kształt litery V. Wciąż trzyma mnie za włosy, z tyłu, tak żebym nie mogła się wyrwać. Zaczynam powoli żuć, czuję, jak chusteczka dotyka moich plomb, miażdżę ją zębami trzonowymi. Papier staje się coraz bardziej mokry, rozpada się na małe, białe kawałki, które przyklejają mi się do dziąseł i wewnętrznej strony policzków. Ojciec mówi, żebym się pośpieszyła i wreszcie połknęła, bo jak nie, to zaraz mnie zabije i...

- Na miłość boską, Dan, chyba nie każesz jej tego połknąć? Jakim trzeba być pieprzonym sukinsynem, żeby zrobić coś takiego własnemu dziecku?

Ojciec natychmiast przerywa, bo mu pozwoliła. Woli być nazywany pieprzonym sukinsynem niż pedałem, jest mężczyzną i umie sobie zapewnić posłuch dzieciaków. Mają być grzeczne, do cholery, bo je pozabija.

Opiekunka społeczna, którą w myślach nazwałam Holly Hobbie, uratowała mnie - nas wszystkich - w czasie wakacji, gdy miałam 16 lat. To stało się przez przypadek.

Nie zostałam ratownikiem, więc mama załatwiła mi pracę salowej w Szpitalu Hrabstwa Fairfield w Lancaster. Brałam pensję za chodzenie po tych samych korytarzach, w których kiedyś godzinami czekałam na wizytę u doktora.

Dostałam pracę w ramach programu pomocy nastolatkom ze szkoły średniej, prowadzonego przez lokalne władze. Musieliśmy co tydzień spotykać się z opiekunem, który czuwał nad tym, żeby stresy pracy z pacjentami nie zaburzyły naszej nastoletniej beztroski.

Mama nadal woziła przygarnięte dzieci do miasta na wizyty u lekarzy, za które płaciło państwo. Wymyśliła to sobie tak, że każde z nich miało innego psychologa, z którym najpierw spotykała się sama. Mówiła terapeutom, że dziecko ciągle kłamie lub ma skłonność do przemocy; w drodze uprzedzała dzieci, że i tak nikt im nie uwierzy, jeśli będą udawać, żeby wyrwać się z domu.

Pewnego dnia, w drodze do psychologa, Maria wyjmując z kieszeni kartkę papieru i śpiewa piosenkę o tym, że bardzo kocha mamusię, ale może powinna odejść, bo ją denerwuje. Mimo to zawsze będzie ją kochać. Matka parkuje na zwirowym poboczu. Wychyla się ze swojego siedzenia i wymachuje pięściami, a Maria próbuje się osłonić.

- Słuchaj no, mała dziwko, nigdzie nie pójdziesz! Jak masz dość mego domu, zawiozę cię do twojego ojca kaleki i jego kumpli od wódy, żeby znowu ściągnęli ci majtki! Chciałabyś, co?

Załamalam się, kiedy opiekunka zapytała, jak się czuję. W pracy - wspa-
niale, w domu - jak w piekle. Błagałam ją, żeby nikomu nie mówiła. Po-
wiedziała, że zgodnie z prawem za zatajenie takich faktów grozi jej wię-
zienie. Zawiadomiła Holly Hobbie i wtedy się zaczęło.

Holly Hobbie, która naprawdę miała na imię Melissa, podjechała do na-
szego domu przez ciemny tunel drzew, oddzielający nas od świata, i zapar-
kowała na pustym podjeździe. Mama stała przy oknie z pistoletem w kie-
szeni. Opiekunka zawsze uprzedzała telefonicznie o wizytach.

Melissa wyjaśniła, że przyjechała bez zapowiedzi, bo chciałyby poroz-
mawiać z dziećmi o adopcji. Na osobności. Pierwszy raz w życiu ktoś miał
z nami rozmawiać bez rodziców. To było dziwne. Przestraszyliśmy się tro-
chę. Ktoś będzie miał kłopoty: my albo oni. Tak czy inaczej, sprawa była
poważna.

Melissa zabrała dzieci na spacer i powiedziała im, że wszystko jej wy-
znałam. Uzyskała dość informacji od Marii, Lloyda i Ricky'ego. Wróciła
z nimi pod dom i kazała wsiąść do samochodu, a sama poszła do przycze-
py po ich ubrania. Tego dnia moi rodzice stracili pozwolenie na przyjmowa-
nie do domu dzieci. Tego dnia opiekunka społeczna pierwszy raz we-
szła do pomieszczenia, gdzie trzymaliśmy Becka. Jego też straciliśmy.

Od razu po powrocie do Lancaster Melissa odszukała mnie w szpitalu
i powiedziała, że za nic w świecie nie mogę się przyznać rodzicom do tego,
co zrobiłam, niezależnie od tego, jak przekonująca i wyrozumiała będzie
się wydawać mama. Podała mi numer telefonu opieki społecznej i kazała
zadzwoić, jeśli tylko rodzice się dowiedzą. Melissa bała się o moje życie.

Resztę dnia spędziłam w szpitalu, jak gdyby nigdy nic. Ale w myślach
promieniałam. Miałam tajemnicę. Sama uratowałam Marię, czego pragne-
łam od dawna, a przy okazji pozostałe przygarnięte. Nie wiedziałam, jak
dalej potoczy się ich los - w morzu innych dzieci objętych opieką społecz-
ną, które trafiają losowo do rodzin zastępczych - ale najważniejsze było
to, że wyrwały się z naszego domu.

Wjeżdżając w naszą drogę, powtarzałam sobie w myślach: Muszę być
spokojna, uważać, żeby nic nie wyczytali z mojej miny, zachowywać się

normalnie, udawać zdenerwowanie i zaskoczenie. Mama czekała na podjeździe.

- Ty to zrobiłaś? Możesz się przyznać, nie będziemy źli. Ty nam to zrobiłaś... - mówi coraz głośniej - ty parszywa, głupia, pieprzona...

Jestem dobrą aktorką. Udamę szok, bezgraniczne zdumienie. Płaczę z mamą przy kuchennym stole. Myśli głośno:

- Może to Annabelle, bo rozkrwawiłam nos Penny po próbnym przejeździe? A może Jim na mnie doniósł, bo kopnęłam Lloyda w brzuch, na wystawie koni...

Robi mi się niedobrze. Zachowuję jednak kamienną twarz.

Zaledwie po czterech dniach mama powitała mnie z uśmiechem, gdy wróciłam do domu.

Siedziała na oparciu kanapy i machała skrawkiem papieru.

- Już wiem, kto to zrobił. Popatrz.

To był kawałeczek papieru z zapisanym mikroskopijnymi literami numerem, ten, który schowałam w skarpetkach w głębi szuflady z bielizną. Mama wykręciła numer i spokojnie odłożyła słuchawkę, gdy zgłosiła się pracownica pogotowia opiekuńczego.

- Dan jedź do domu. Już nie żyjesz. On cię zabije. Słyszysz? Jesteś martwa; tym razem nie ujdzie ci na sucho. Niech mnie zamkną, trudno, ale zapłacisz za to, co nam zrobiłaś. Zaczekaj tylko! - Drży z podniecenia. - A teraz jazda na podwórko. Zrób coś, zanim twój ojciec wróci do domu.

Zaczęłam wynosić papierowe torby ze śmieciami. Mijałam samochód stojący na podjeździe i szłam do sterty popiołu przy drodze, w miejsce, gdzie zwykle paliłam odpadki. Wracając do domu po następną partię, przekładałam śmieci do swojej szafy, pakowałam do worka ubrania i przykrywałam je kilkoma kawałkami papieru. Potem, idąc po podjeździe, szybkim ruchem wrzucałam torby na tył naszego kombi. Gdy przeniosłam już dość ubrań, wzięłam moją małą P. J., posadziłam na przednim siedzeniu i ruszyłam z piskiem opon, modląc się, żeby po drodze nie spotkać taty. Straciłam numer do pogotowia opiekuńczego. Nie mam dokąd iść, chyba że do syna Debbie Miller. Mama kazała mi nauczyć się na pamięć jego numeru telefonu. Don czeka na mnie w swoim mieszkaniu, gdzie unosi się zapach wody kolońskiej Polo. Cieszy się, że przyjeżdżam sama. Bardzo chce mi coś pokazać. Wiem, że muszę się na to zgodzić. Matka dobrze mnie wyszkoliła.

Następnego dnia, gdy jestem w pracy, tata zabiera samochód z parkingu. W aucie są wszystkie moje ubrania i mała P. J. Został mi tylko szpitalny fartuch, który mam na sobie. Muszę zadzwonić do Melissy.

Melissa wiezie mnie do zakładu dla nastolatków, którzy uciekli z domu lub weszli w konflikt z prawem. Stałam się dzieckiem szukającym rodziny zastępczej. Melissa obiecała, że umieści mnie u sympatycznej rodziny, ale nie zdołała jeszcze znaleźć odpowiednich ludzi.

Moi rówieśnicy z rodzin zastępczych na ogół są twardzi i źli. Dziewczyny zachodzą w ciążę. Wszyscy kradną. Nie wierzą w „mamę i tatę”, tak jak przestali wierzyć w dobre wróżki i Świętego Mikołaja. O takich nastolatków nikt nie dba. Cierpią na oczach wszystkich i choćby próbowali sobie wmówić, że są chcianymi dziećmi, to dobrze wiedzą, że to nieprawda, bo przecież nie trafiliby do rodzin zastępczych. Proste i logiczne.

Nawet jeśli mają nadzieję na lepsze życie w następnym domu, to w okresie próbnym nowa rodzina narzuca im tyle zasad i taki system kar, że już nie mają wątpliwości: są dwa różne prawa, jedno dla biologicznych dzieci, drugie dla nich. Rodzice zastępczy niechętnie przyjmują nastolatki, wiedząc, że przepracowani, źle opłacani funkcjonariusze socjalni posuną się do każdego kłamstwa, byleby tylko pozbyć się choć jednego podopiecznego. Kiedy już weźmie się nastolatka pod swój dach, trudno namówić pracownika opieki społecznej, żeby w razie czego zabrał go z powrotem. Takie dzieci są jak wybrakowany towar bez gwarancji. Funkcjonariusze służb społecznych zachowują się jak handlowcy sprzedający zapadające się domy nad jeziorem lub świeżo pomalowane, spleśniałe cytryny. Taka jest Ameryka.

Ja nie byłam zepsutą, zgorzkniałą dziewczyną; po prostu groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Melissa próbowała przekonać nowych rodziców, że jestem inna i nie będę sprawiać kłopotu tylko że kobieta, prowadząca dom dla trudnej młodzieży, słyszała już to wszystko wiele razy. Zapowiedziała, że mam wracać na czas i że będę rewidowana jak pozostali młodociani. Tak nas nazywano. Mieszkałam z młodocianymi. Zgłoś władzom, że rodzice cię maltretują, to trafisz do grupy nieletnich wyrzutków społecznych.

Do końca tamtego lata pracowałam w szpitalu. Melissa co rano jechała z Lancaster do domu w Logan i zawoziła mnie do pracy, a wieczorem odwoziła z powrotem. Upierała się, że choć tyle dla mnie zrobi. Czasami, w samochodzie, widziałam, jak bezgłośnie płacze; promienie słońca odbijały się

od łez na jej twarzy. Być może wiązało się to z tym, że kiedyś nie uwierzyła Penny.

- Sis, proszę, wróć do domu. Powiedz im, że to wszystko zmyśliłaś, wycofaj skargę. Proszę, tęsknię za tobą, Siiiiisssyyyy!

Rodzice czekają w samochodzie na parkingu, nie wyłączyli silnika. Mniej więcej raz w tygodniu wysyłają Danny'ego do szpitala, żeby znalazł mnie gdzieś na korytarzu i ubłagał, bym wróciła do domu. Danny ma tylko 10 lat.

- Ja też za tobą tęsknię, Danny, ale nie mogę. Melissa liczy na moje zeznania przeciwko rodzicom. Nie mogę jej zawieść, zresztą gdybym teraz wróciła, zabiliby mnie.

- Mama powiedziała, że wszystko ci wybacza. Już się na ciebie nie gniewa, Sis. Wróć do domu i zapomnij o tej sprawie. Będzie dobrze.

- Danny, bardzo bym chciała z tobą być, ale naprawdę nie mogę. Muszę tu pracować, mieszkam w Logan. Jeśli odejdę, Melissa bardzo się rozgniewa. Wkrótce się zobaczymy. Przrzekam.

Mój brat wychodzi ze szpitalnego bufetu. Zatrzymuje się przy drzwiach i odwraca do mnie, błagalnie składa ręce, prosząc, żebym zmieniła zdanie. Ocieram łzy i kładę głowę na stole. Bardzo mi przykro na to patrzeć.

Danny co tydzień błądził po całym szpitalu, szukając mnie, ale nie mogłam o tym nikomu powiedzieć. Za nic w świecie nie dopuściłabym, żeby mojego braciszka oddano do rodziny zastępczej.

Upłynęło trochę czasu, zanim sprawa trafiła do sądu, a ja nie byłam już niczego pewna. Widziałam, że Melissę bardzo męczy wożenie mnie do szpitala. Z Lancaster do Logan jechało się 40 minut, a ona przecież jeszcze pracowała. A dodatkowo odbyła się sesja z psychologiem i rodzicami, jedyna, na jaką Melissa wyraziła zgodę. Mama zadzwoniła do niej i spytała, czy zgodziłabym się na spotkanie pojednawcze, podczas którego spróbowałibyśmy rozwiązać nasze problemy. Wyobraziłam sobie, że rodzice będą mnie prosić o powrót do domu, żeby zrobić wrażenie na terapeutach. Postanowiłam zachować powagę i spokój, gdy ze spuszczonymi głowami będą błagać o przebaczenie.

Tymczasem rodzice wybrali psychologa niezwiązanego z pogotowiem opiekuńczym, który nie wiedział, dlaczego trafiłam do rodziny zastępczej.

Siedziałam w gabinecie, uwięziona między nimi. Tata opowiadał, jak ukradłam samochód i uciekłam, a oni zamartwiali się o mnie. Mama wtrąciła.

że niejednokrotnie widziała, jak wymykałam się przez okno i chodziłam do chłopaków czekających przy drodze.

Psycholog był potężnie zbudowanym, czarnym mężczyzną, podobnym do tego, który niecały rok wcześniej miał nieszczęście podejść za blisko naszego samochodu w McDonalddie DriveThru, więc tata wycelował w niego broń. Czarnemu psychologowi tata odpowiadał: „Tak, proszę pana” i „Nie, proszę pana”; mówił, że przebywam w domu dla młodocianych przestępców, czekając na proces o zniesławienie, który on sam wytoczył mi z matką. Zanim pozwolono mi się wreszcie odezwać, wiele razy próbowałam protestować: „Ale...”, „Zaraz, zaraz...”

Psycholog zwrócił się do mnie.

- Julie, czy zabrałaś samochód i uciekałaś? Odpowiedz krótko, tak czy nie?

- Tak, ale...

- Czy chociaż raz przyszło ci do głowy, jak będą się martwić rodzice? Ukradłaś samochód, nawet o nich nie myśląc! Do kogo uciekałaś? Do starszego mężczyzny? Żeby spędzić z nim noc, Julie?

Dalej było coraz gorzej.

Tata triumfalnie zaniósł protokół z tej sesji do sądu, jak kartę atutową. Mama przyciskała do piersi teczkę z wielkim napisem: Dowody na to, że Julie Gregory dopuściła się zniesławienia. Żeby wszyscy widzieli.

Wyglądało to na tyle oficjalnie, że bardzo się zdenerwowałam.

Moje przesłuchanie miało się odbyć o ósmej rano w centrum Logan. Melissa jeszcze nie przyjechała. Przeszłam kilka przecznicy dzielących mój dom od budynku sądu. W środku zobaczyłam tatę. Czekał na mnie, siedząc na szerokich, kręconych schodach.

- Sissy, wyjdiesz ze mną na chwilę? Koniecznie muszę z tobą porozmawiać.

Usiedliśmy na schodach przed sądem, w promieniach porannego słońca. Tata wziął moją rękę i położył ją sobie na kolanie. Do oczu napłynęły mu łzy. Płakał nade mną, bo wiedział, jak będę cierpieć w poprawczaku, dokąd na pewno trafię, jak będę tam bita gumowym wężem, żeby nie zostały ślady.

Czyżbym nie wiedziała, dlaczego przyszłam do sądu? Zgłupiałam czy co? Przecież to nie miał być proces przeciwko nim, tylko przeciwko mnie, o zniesławienie.

- Kochanie, oni cię oszukują, żebyś weszła na salę. Wtedy będziemy mogli wykazać, że jesteś niepoczytalna. Mama i ja mamy dowody... Pomyśl tylko, Sis. Dlaczego umieściła cię w domu dla młodocianych?

Gdybyś była dobrym dzieciakiem, posłałaby cię do normalnej rodziny. Myślisz, że jest po twojej stronie? To dlaczego nie przysłała?

Rozejrzałam się. Melissy nie było, a zbliżała się godzina rozpoczęcia przesłuchania. Ja przecież trafię do normalnej rodziny, tylko Melissa powiedziała, że to musi potrwać. Nie mam kłopotów, prawda? To opieka społeczna wytacza moim rodzicom proces o maltretowanie dzieci; nie oni - mnie. Dlaczego nie ma Melissy? Może to rzeczywiście podstęp?

- Mówię ci, Julie, już złożyliśmy skargę w sądzie. Gdyby to był proces przeciwko nam, to przecież zeznawałyby też inne dzieci. Boję się o ciebie, kochanie. Jeśli zaczniesz oczerniać nas w sądzie, od razu cię przejrzą. A kiedy pójdziesz do więzienia, nie dam rady cię wyciągnąć. Będziesz siedzieć do 21. roku życia. Nie chcę, żeby cię to spotkało, Julie.

Mój tata może mnie bić skórzanym pasem i pięściami. Może kopać podkutymi butami w brzuch, tak mocno, że omal mnie nie zabije. Jemu wolno bić mnie po twarzy, uderzać moją głową o kant stolika, ciągnąć mnie za włosy, rzucić na deskę rozdzielczą w samochodzie. Ale nie pozwoli, żeby jakiś obcy człowiek bił mnie gumowym wężem.

Gdy zdyszana Melissa wpadła do sądu, tata zastąpił jej drogę w drzwiach sali, w której miała odbyć się rozprawa. Szepnął jej coś do ucha, a ona zaczerwieniła się jak burak. Widziałam ją z sali, gdzie czekałam z bijącym sercem. Dostrzegła mnie i ominęła tatę.

- Julie, Dan właśnie mi powiedział, że nie będziesz zeznawać, że nic nie powiesz sądowi. Kochanie, potrzebujemy cię, ja cię potrzebuję. Musisz opowiedzieć, co się stało. Musisz zrobić to, co należy!

Opadam na twardą ławkę. Czy nie zrobiłam już tego, co należało? Uratowałam przybrane dzieci. Jak mogę stanąć przed tyłoma obcymi osobami i mówić, co robili moi rodzice? W dodatku w obecności mamy, taty i Dan ny'ego? Skąd mam wiedzieć, czy sędzia mi uwierzy, zwłaszcza po wizycie u czarnego psychologa? Melissa nie znalazła mi domu. Nie będzie nagrody za słuszne postępowanie: żadna rodzina na mnie nie czeka. Tylko moja własna

Melissa wpatrywała się we mnie, czekając na odpowiedź. Do oczu na płynęły mi łzy; bardzo chciałam, żeby mnie przytuliła i pozwoliła się wyplakać. Jeśli mnie przytulisz, Melisso, jeśli obejmiesz mnie ramionami, zrobię dla ciebie wszystko.

Nie przytuliła. A ja nie chciałam wracać na prycze w złym domu, z głupimi, starymi opiekunami, którym zależało tylko na pieniądzach. Wołałam być z Dannym.

Ponieważ Melissa nie mogła szukać mi rodziny zastępczej bez poparcia sądu, a sąd nie mógł jej poprzeć bez moich zeznań, sędzia nie miał wyboru: odesłał mnie do rodziców.

Poczułam wielką ulgę. To moja wina, powiedziałam sobie, przeżywam teraz trudny okres. Albo, jak ustalił szkolny pedagog, kiedy byłam w 10 klasie, po prostu mam zbyt bujną wyobraźnię.

Wróciłam do zupełnie innej rodziny. Mama i tata już się nie kłócili. Broń nie leżała na wierzchu. W nocy nie skrzypiały drzwi żadnego pokoju. Gdy tata wzdychał głęboko, co zawsze poprzedzało wybuch, mama mówiła: „O nie”, i wsuwała palce w jego dłoń.

Jedliśmy pieczeń na kolację, rodzice całowali nas na dobranoc. Oglądaliśmy razem telewizję. Danny pomagał w pracach domowych, tata nosił ciężkie rzeczy. Nigdy przedtem nie czułam się tak cudownie. Nie rozmawialiśmy o moich okropnych postępkach: o tym, że doniosłam na rodziców i zmusiłam ich do ogłoszenia bankructwa, odbierając im jedyny dochód.

Zachowywaliśmy się jak normalna rodzina. Nie byłam już chora. Przez cały czas, który spędziłam w opiece społecznej, nie brałam żadnych leków na serce, bo zostały w domu, gdy uciekałam. Zamiast chodzić do lekarzy, w wolnym czasie skakałam z trampoliny na publicznym basenie i kupowałam sobie ubrania za pieniądze zarobione w szpitalu. Pół roku nie widziałam kardiologa, a mama przestała mi kupować napój Ensure Plus.

Jesienią zaczęłam ostatni rok nauki w szkole średniej. To było zaledwie parę tygodni po moim powrocie do domu. Cieszyłam się nowym życiem. Załatwiłam sobie pracę po godzinach w barze Rax Roast Beef, więc zarabiałam na lunch w szkole; w barze przysługiwała mi tańsza kolacja. Co więcej, ponieważ rodzice pozwolili mi jeździć do szkoły samochodem, mogłam zatrzymywać się po drodze na śniadanie. Postanowiłam, że w tym roku szkolnym będę miała dobre stopnie, zaprzyjaźnię się z kilkoma osobami, będę lubiana, może nawet zapiszę się na lekkoatletykę lub tenisa.

Idę korytarzem w nowym ubraniu, z podniesioną głową, przyciskając do piersi nowiutkie zeszyty. Uczniowie, których mijam, zaczynają coś szeptać. Jestem przekonana, że to szeptki podziwu. Ale mijają kolejne godziny, a do mnie nikt się nie odzywa poza Carmen, jedyną dziewczyną, która nie zerwała ze mną kontaktów. Ludzie, którym mówię „cześć”, uśmiechają się

dziwnie i szybko odchodzą. Gdy stoję przy swojej szafce, szykując się do wyjścia, podchodzi do mnie Missy Morrison i pyta wprost:

- W lecie byłaś w domu dla trudnej młodzieży?

Czerwienię się jak burak i zaglądam do szafki, żeby ukryć łzy.

- Nie - odpowiadam spokojnym tonem. - Fuj! Gdzie to słyszałaś?

- Wszyscy wiedzą.

Tak było. Wszyscy wiedzieli, że byłam w zakładzie dla złych dzieci. Że w siódmej klasie miałam zielone włosy. Że w ósmej oczerniałam własną matkę i dlatego odwrócili się ode mnie znajomi. Wiedzieli też, że byłam głupia, bo nie radziłam sobie z algebrą, francuskim, a nawet z najłatwiejszym przedmiotem: zdrowiem i higieną.

Pewnego dnia pod koniec września mama zapytała, czy mogłabym przemocować u koleżanki. Wybierała się na całonocną wycieczkę konną z Danym, do Obozu Koniarzy, a tata jak na złość miał jakąś fuchę w mieście. Nie chcieli mnie zostawiać w domu samej, dlatego wpadła na pomysł, że bym poszła do Carmen.

- Bardzo dojrzałaś, Sis, chyba możemy ci ufać.

W tę cudowną noc wolności położyliśmy się z Carmen dopiero po północy. Podskakiwałyśmy na jej łóżku, wśród stosu ciuchów, które przymierzaliśmy godzinami. Biegaliśmy boso po rozgrzanym chodniku, gdy zbierało się na burzę, a wilgotne powietrze wydawało się ciepłym oddechem. Kupiliśmy mrożoną pizzę, odgrzałyśmy ją i karmiłyśmy się nawzajem przed snem, chichocząc i szepcząc: „Podoba ci się Martin Roberts z klasy handlowej? Jak myślisz, czy Bruce Delorne mnie lubi? Czy pan Summers jest gejem?”

Przez 17 lat byłam jak przyrośnięta do mamy. Jakbyśmy wspólnie oddychały. Kiedy oddalałam się choć trochę, tata ściagał mnie z powrotem jak psa na smyczy. Wyskakiwał z warsztatu za każdym razem, gdy jakiś kolega ze szkoły, przejeżdżający naszą drogą, zatrzymywał się, żeby powiedzieć mi „cześć”. Przez te wszystkie lata wystaw koni i wycieczek, pływania w basenie, wieczorów na ganku ze Śmierdzielem i Czarną, a nawet pieszczot z moją kochaną P. J., nie bawiłam się tak dobrze, jak tej jednej nocy u Carmen. Nie chodziło tylko o to, że byłam poza domem. Cieszyło mnie, że rodzice mi zaufali. W głębi duszy czułam, że rozumieją, dlaczego na nich doniosłam. Wiedzieli, że w oczach Boga postąpiłam słusznie. Wreszcie zasłużyłam na ich szacunek. Byłam tym zachwycona.

Następnego ranka, gdy wyjechałam z tunelu drzew, którym biegła nasza droga, zobaczyłam przed sobą dymiące boisko do futbolu, pokryte grubą warstwą sadzy. Tak wyglądało miejsce, gdzie jeszcze wczoraj stała nasza przyczepa podwójnej szerokości, z sześcioma sypialniami.

Zdjęłam nogę z gazu, samochód toczył się sam. Zakręciło mi się w głowie.

- O mój Boże! Zostawiłam włączoną lokówkę i spaliłam dom!

Ależ będą kłopoty. Boże przenajświętszy! A jeśli wszyscy byli w środku? Spalili się. Przerazona, wcisnęłam gaz i przejechałam 100 metrów, które dzieliły mnie od domu. Gdy hamowałam na podjeździe, mama wystawiła głowę z okna chatki z bali.

- Och, mamo, bardzo przepraszam. - Wybiegłam z samochodu. - Zostawiłam włączoną? Tak?

- O co pytasz, Julie?

- O lokówkę. Czy zostawiłam włączoną lokówkę i spaliłam dom?

- Jezu, to był piorun. Twój ojciec wrócił do domu o świcie, ale było już po wszystkim. Nikt nie mógł temu zapobiec.

Mama powiedziała, że strażacy przyjechali tu jeszcze przed ojcem. Sąsiedzi zawiadomili szeryfa, gdy zobaczyli gęsty dym nad drzewami. Rzecznik stwierdził, że pożar wybuchł z powodu anteny telewizyjnej. Gdy uderzył w nią piorun, prąd popłynął wszystkimi przewodami, a ponieważ mieliśmy telewizor w każdym pokoju, natychmiast zapaliły się ściany i doszło do wybuchu, który zniszczył cały dom.

Gdybyśmy byli wtedy w domu, żadne z nas by nie przeżyło.

- Już byłoby po nas - powiedziała mama. - Dziękuję Bogu, że żyjemy.

Spojrzałam na dymiące, poczerniałe, pogiete blachy. Poczułam przypływ adrenaliny, tak jak po ćwiczeniach przeciwpożarowych w szkole. Niebezpieczeństwo minęło, nikomu nic się nie stało, i chociaż straciliśmy dom, wszystko jakoś się ułoży. W dodatku to nie była moja wina.

Ruszyłam wzdłuż poczerniałej, betonowej ściany fundamentu. Przed oczami po kolei stawały mi rzeczy, których już nigdy nie zobaczę. Moje śliczne, jasnoniebieskie buty, które tak lubiłam, różowy, kaszmirowy płaszcz i... O mój Boże, gdzie jest P. J. ? Gdzie P. J. ? Z przerażenia ścisnęło mnie w żołądku.

Pobiegłam z powrotem, wołając:

- Mammo! Gdzie jest P. J. ? Gdzie moja P. J. ? Nie mogę jej znaleźć!

- Julie... - Mama urwała. - Posłuchaj... Była w domu, kiedy wybuchł pożar. Nie myśl o tym. Wczoraj w nocy Dan próbował ją wyciągnąć, ale wiesz, że w czasie burzy zawsze chowała się pod łóżkiem.

- Tata próbował ją wyciągnąć? Myślałam, że był w pracy.
- Jezu, przed wyjściem z domu! Chciał ją wsadzić do kojca. Przystań mi wycierć dziurę w brzuchu!

Nie, nie mogę się pogodzić ze stratą P. J. Boże, możesz wziąć mój płaszcz i buty, wieżę stereo na pilota, z odłączanymi głośnikami, kolekcję porcelanowych lalek i wszystkie książki, a nawet zdjęcia z dzieciństwa, ale... Och. P. J., byłaś taka przerażona i samotna. Boże, nie możesz mi odebrać P. J. ! Boże, dlaczego? Dlaczego?

Modłę się, żeby Bóg pomógł mi zrozumieć. To wydaje mi się także niesprawiedliwe, dlaczego moja P. J. musiała spłonąć? Bóg na pewno miał jakiś plan, którego ja, maluczki człowiek, po prostu nie potrafię pojąć. Modłę się o utraconego pieska, o mamę oraz tatę, i dodaję: „Błagam, Boże, pozwól mi zrozumieć wydarzenia, które z Twojej woli dzieją się w moim życiu. Boże, proszę, pokaż mi światło”.

Tata jest w pożyczonej przyczepie kempingowej, siedzi na łóżku w swoich dżinsach z przyciętymi nogawkami. Zwiesił głowę, z oczu płyną mu łzy, pozostawiając jasne smugi na jego brudnej twarzy. Wchodzę do środka i w milczeniu siadam przy jego nogach.

Unosi głowę, a ja wstaję, żeby go przytulić. Tata mnie potrzebuje. Jestem silna, pomogę rodzinie przejść przez to wszystko. Tata zaczyna łkać, więc traktuję to jako pozwolenie, żebym płakała wraz z nim. Szepcze do siebie:

- Dlaczego to musiało się stać, jak do tego doszło?

Kiedy tata jest malutki, ja staję się duża i wszystko wiem.

- Bóg wymyślił dla nas coś innego, tato. Teraz możecie zrobić to, czego zawsze pragnęliście. Będzie was stać na rozwód.

Wierzyłam we własne słowa. Ten pożar spotkał nas z łaski Boga. P. J. musiała zginąć, żeby rodzice zyskali pieniądze na rozwód i uwolnili się od siebie nawzajem, od przeszłości, od krzywd, które sobie wyrządzili. Skoro straciliśmy wszystkie ubrania, zdjęcia, zabawki z dzieciństwa, to widocznie tak\musiało być, tak chciał Bóg. Byłam z siebie dumna, że potrafiłam tak szlachetnie zinterpretować tę tragedię. Kurczowo uczepiłam się tej myśli; stała się dla mnie ważniejsza niż biała Biblia o złoconych brzegach, którą dostałam w szkółce niedzielnej.

Sto dolarów. Te pieniądze bardzo przydałyby się mojej rodzinie. Byłabym bohaterką. Uchroniłabym nas przed głodem do czasu wypłaty pieniędzy z ubezpieczenia.

W pierwszych dniach po pożarze domu mama i Danny mieszkali u znajomego z konnych wycieczek, tata zatrzymał się u swoich kumpli w Columbus, a ja miałam sama zadbać o siebie. Najłatwiej było się rozdzielić. Następnego dnia spotkałam kilku nastolatków z Lancaster, których poznałam, gdy pracowałam w barze. Wszyscy w okolicy wiedzieli już, że mój dom się spalił, ale wolałam jechać do Lancaster, bo tam nikt nie wiedział, że byłam w domu dla trudnej młodzieży. Chłopcy wybierali się na wyścigi samochodowe do Columbus, ja nie pracowałam, więc uznałam, że wycieczka z nimi to dobry sposób na spędzenie dnia. Wsiadłam do ich podraśowanego firebirda i ruszyliśmy autostradą.

Podjechaliśmy pod tor samochodowy w Columbus i znaleźliśmy ostatni trawnik, gdzie jeszcze można było zaparkować: wąski pas zieleni przy prowizorycznej estradzie, na której ustawiały się dziewczyny. Dziwne, tyle dziewczyn na torze wyścigowym? Wygramoliłam się z tylnego siedzenia auta i, gdy się wyprostowałam, zobaczyłam morze facetów przed estradą. A oni zobaczyli mnie.

- Hej, panienko, chcemy na ciebie popaaaaatrzyć!

Zaczynał się konkurs mokrego podkoszulka. Prowadzący stał na estradzie i pluł w trzeszczący mikrofon. Jedna z sześciu uczestniczek, wybrana przez publiczność, miała dostać 100 dolarów.

- W samą porę dowieźli ją pod scenę. Panowie, brawa dla siódmej ślicznej dziewczyny!

Śliczna dziewczyna. Nikt dotąd tak o mnie nie powiedział. Mężczyźni zaczęli krzyżeć i gwizdać. Nigdy nie słyszałam czegoś takiego. Tylu facetów na mój widok wydzierało się z zachwyty.

Wodziłam wzrokiem po oceanie twarzy. Niektórzy z mężczyzn byli w dresach, inni w zwykłych ubraniach, spod czapek bejsbolowych wystawały im tłuste włosy. Jeszcze inni zdjęli czapki i wymachiwali nimi w powietrzu. Chcieli mnie zobaczyć, pochylali się błagalnie w moją stronę, jakby mówili: „Prosimy, stań tam z dziewczynami, uciesz nas, staruszków, dobra?”

Mojej rodzinie naprawdę przydałyby się pieniądze. Nikt nie wiedział, że tu przyjechałam. Faceci chcieli, żebym wygrała. Może miałam szansę. Czemu nie stanąć do konkursu i nie oddać nagrody tacie? Wyobraziłam sobie, jak wręczam rodzicom nowiutki banknot 100-dolarowy, a rozpromieniony ojciec ociera łzę wzruszenia. Wystarczy tylko, że pozwolę się oblać wodą.

Zrobiłam kilka kroków w stronę estrady. Mężczyźni ryknęli. Miałam na sobie ubranie z poprzedniego dnia. Stałam na końcu, starając się nie

zwracać uwagi na zewnętrzny świat, tak samo jak przez te wszystkie lata w gabinetach lekarskich. W głowie kołatała mi uporczywa myśl: zdobęde te 100 dolarów dla taty. Przytknęli mi do piersi dzióbek dzbanka. Te 100 dolarów sprawi, że znów będziemy sobie bliscy. Leją wodę. Dziewczyna obok mnie zdejmuje podkoszulek, tłum mężczyzn szaleje. Będziemy rodziną. Robię to samo. Za te pieniądze kupimy Danny'emu porządne ubranie do szkoły, żeby dzieciaki przestały się z niego naśmiewać. Dziewczyna zdejmuje szorty. Mogę uratować rodzinę. Nie będę samolubna. Rozpinam dżinsy, opadają mi do kostek. Zdejmuję je. Mężczyźni podchodzą pod samą estradę, wymachując wytatuowanymi ramionami. Biorę łyk powietrza. Do tej pory wstrzymywałam oddech.

Na podstawie okrzyków mężczyzn wyeliminowano kolejne kandydatki, aż zostałyśmy we dwie: długowłosa, wyfiokowana blondyna i ja, niewinna dziewczyna ze wsi. Bez makijażu, z długimi, smukłymi nogami, w koronkowych, fioletowych majtkach z Value City... Tę sylwetkę zawdzięczam puszkom napoju z witaminami oraz wrodzonej niemożności przytycia.

Blondyna, która na pewno już startowała w takich konkursach, odwraca się z uśmiechem, pokazując tyłek tłumowi facetów. Kręci nim, żeby krzyczeli, pochyla się i powolutku zdejmuje majtki. Zjeżdżają w dół jak winda, mijają kolana i łydki, wreszcie zatrzymują się przy jej kostkach. Owijają je jak jedwabny sznur.

Ryk facetów się nasila, wydzierają się jak opętani, a ona, wciąż wypięta, unosi głowę i posyła mi uśmiech, który mówi: „Przegrałaś”.

Mężczyźni podrzucają czapki, poklepują się po plecach, ocierają łyzy. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Skończyłam. Bardzo, bardzo pragnęłam tych pieniędzy ale nie zrobiłabym tego, co ona. Schyliłam się i wzięłam swoje ciuchy, przerzuciłam je sobie przez ramię i ostrożnie zeszedłam po chwiejnych schodkach estrady.

Później tego dnia spotkałam kumpla mojego ojca, Dużego Eddiego. Rozpromienił się na mój widok.

- Fioletowe majtki, fioletowe majtki! - Chyba spojrzałam na niego /. prze rażeniem, bo zmrużył oczy i wycedził wrednym tonem: - Nie wierzysz? Poszukaj swojego starego. Robił zdjęcia.

Danny i ja chodziliśmy z zielonawym nalotem na niemytych zębach i sikaliśmy na podwórko. Przed snem objadaliśmy się słodyczami z paczki, którą dostaliśmy na Halloween, a rano napychaliśmy nimi kieszenie, żeby

nie jeść lunchu w szkolnej stołówce. Maślane herbatniki na śniadanie, snickersy w południe, smarties na przekąskę i wielkie miski płatków lucky charms, wymieszanych z mlekiem, na kolację. Nie używaliśmy już nawet cukierniczki. Po prostu sypaliśmy na płatki kilkucentymetrową warstwę cukru z 2-kilogramowej torby.

Przed wyjazdem rodziców mieszkaliśmy we czwórkę w małej przyczepie kempingowej pożyczonej od sąsiada. Stała na bloczkach cementu, na trawie przy zwęglonych szczątkach dawnego domu. Komplet jadalny, na którym siadaliśmy do kolacji, zmieniał się w łóżko dla mnie i Danny'ego: wystarczyło ułożyć poplamione, tapicerskie poduszki na stoliku i ławkach z listewek. Rodzice spali na piankowym materacu, oddzieleni od nas tylko umywalką i 60-centymetrowym blatem. Dwudziestolitrowe wiadro na robaki teraz służyło nam jako ubikacja, bo w przyczepie nie było przenośnej toalety. Trzymaliśmy wiadro na dworze.

W takich warunkach czekaliśmy na pieniądze z ubezpieczenia. Najpierw trzeba było poinformować agenta o wszystkim, co znajdowało się w naszej rozbudowanej przyczepie. Przypominaliśmy sobie: setki butów mamy, nieużywane graty, które zapełniały cały pokój z tyłu, szafy pękające od ubrań, niezliczone zabawki i meble, kolekcja matchboksów i lalek z porcelany.

Lista spalonych przedmiotów zajmowała już kilka gęsto zapisanych stron; czasami w szkole lub w mieście przypominaliśmy sobie jeszcze o czymś, co mieliśmy. Wspomnienia utraconych rzeczy nawiedzały mnie przez wiele lat; wystarczyło, żebym zobaczyła dziewczynę w bluzce w grochy, a przypominałam sobie, że miałam taką samą przed pożarem. Do każdej pozycji na liście dopisywaliśmy cenę i szacowaną wartość przedmiotu; robiliśmy to najskrupulatniej, jak potrafiliśmy. Z radością myśleliśmy o nowych zakupach.

Mama sporządzała niekończące się wykazy rzeczy, które trzeba było kupić. Łączyła i porządkowała kolejne listy, żeby się nie pogubić. Wciąż pytaliśmy:

- Kiedy przyślą czek? Kiedy przyślą czek?

Robiło się coraz zimniej, zbliżał się listopad, niebo pociemniało, z drzew spadały czerwone liście, słońce zachodziło o piątej po południu. Nie mieliśmy pieniędzy na nic. Danny i ja nosiliśmy te same ubrania, co w dniu pożaru. Na szczęście dla Danny'ego mama spakowała mu trochę rzeczy na tamtą całonocną wycieczkę. Ja miałam tylko ciuchy z dnia pożaru i poli-estrowy kombinezon, który dostałam od znajomych z baru Rax Roast Beef. gdzie nadal pracowałam po szkole.

Zorientowaliśmy się, że wreszcie przysłali czek, gdy tylko wysiedliśmy ze szkolnego autobusu: przy studni stały kartonowe pudła z pralką i suszarką, których nie było gdzie podłączyć. Po drugiej stronie drogi dwa żrebaki jadły obrok z wiader; do trucka z kołem zapasowym z tyłu była przytwierdzona nowa, duża przyczepa do przewozu czterech koni. Następnego dnia na dachu naszej małej przyczepy kempingowej znalazł się błyszczący, biały talerz anteny satelitarnej. Mama wyjęła z portmonetki dwa banknoty 100-dolarowe i dała je mnie i Danny'emu, żebyśmy sobie coś kupili w Value City. Poczuliśmy się bogaci.

Już jej nie było.

Wyjechała do Meksyku z mężczyzną, który pożyczył nam przyczepę. Kolczasty Bob, jak go przezywano, mieszkał niedaleko naszej działki, wyglądał jak kowboj, a kiedyś występował na pokazach koni. Tata został z nami jakiś czas, ale już w listopadzie przeprowadził się do warsztatu w Stoustville, w którego jedynym oknie wywiesił wielką, czarną flagę z napisem: POZABIAĆ WSZYSTKICH, NIECH BÓG POSORTUJE.

Nie mogliśmy jechać z tatą, bo ktoś musiał się zająć końmi, zwłaszcza nowymi żrebackami mamy, które stały bezradnie na małym padoku po drugiej stronie drogi.

Tata wyjechał własnym truckiem, zabierając pralkę i suszarkę. Danny'emu i mnie zostało tylko 20-litrowe wiadro, miski na płatki śniadaniowe i wielka antena satelitarna. Szkoda, że nie mieliśmy telewizora.

Przetrwaliśmy te dni i noce z wdziękiem dwójki „dzieci z kluczem na szyi”, bardzo dbających o wizerunek - a przynajmniej ukrywających swoją sytuację przed kolegami ze szkoły. Zostaliśmy sami. Opiekowałam się Danny'm jak prawdziwa matka. Mieszkaliśmy daleko od szkoły, więc do autobusu wsiadaliśmy pierwsi, o szóstej rano, i wysiadaliśmy ostatni, późnym popołudniem. Mieliśmy nadzieję, że kierowca nigdy nie zmieni trasy i żaden pasażer autobusu nie zobaczy, w jakich warunkach mieszkamy. Udawaliśmy parę nadętych snobów. Modliliśmy się, żeby nikt nie zadzwonił do opieki społecznej.

Mama i Kolczasty Bob wrócili przed świętami Bożego Narodzenia i zamieszkali w pojedynczej, używanej przyczepie, którą ustawili na spalonej ziemi, tam, gdzie kiedyś był nasz dom. Pracowałam w dwóch miejscach, chodziłam do szkoły i starałam się jak najrzadziej ich widywać. Nikt nie przyszedł na uroczystość zakończenia szkoły: ani mama, ani tata, ani Danny. Dwa miesiące później mama zawiozła mnie swoim kombi na parking pod sklepem Kroger.

Przez całe lato kontaktowała się telefonicznie ze starszym mężczyzną, który chciał mnie poślubić. Służył w wojsku, miał zajęczą wargę i jeździł białym firebirdem z wielkim ptakiem o rozpostartych skrzydłach, namalowanym na masce. Dzwonił co tydzień i przekonywał mamę, że będzie ze mną, dopóki nas śmierć nie rozłączy.

- Julie, posłuchaj mnie. Myślisz, że jakiś inny facet będzie chciał poślubić taką chorowitą dziewczynę jak ty? On służy w wojsku, ma dobrą pracę, niech się tobą zajmie!

Mama wymyśliła sobie, że jeśli zostawi mnie na parkingu tylko z papierową torbą z ubraniami, to bardzo się przestraszę, zadzwonię do niego i poproszę, żeby po mnie przyjechał.

Kiedy tylko znikła mi z oczu, uciekałam. Autostopem dotarłam do Columbus i podjęłam pracę na czarno. Związałam się z grupą agitujących ekologów. Kupiłam stary kabriolet i tylko tyle rzeczy, żeby cały mój dobytek zmieścił się w samochodzie. Wystarczyło postawić dach i uciekać.

Uciekałam tak trzy lata: mieszkałam w 10 miejscach w trzech różnych stacjach, nigdy nie podając nikomu nowego adresu ani nie przedstawiając się nazwiskiem. Tylko raz popełniłam błąd i podałam matce adres: dostałam pocztą mnóstwo tanich maskotek i pozłacanych bransoletek od faceta, który wciąż do niej dzwonił, bo chciał mnie poślubić.

W letnie weekendy, kiedy tęskniłam za bratem i czułam się samotna, przyjeżdżałam do sklepu Value City w Lancaster; odwiedzałam też inne znajome miejsca. Czasami jechałam na wieś, przez tunel drzew, zatrzymywałam się na podjeździe, wysiadałam z samochodu i słuchałam koncertu ptaków, ważek i szarańczy. Danny wybiegał mi na powitanie i obejmował mnie ramionami, tak jak ja kiedyś tatę.

Mam zdjęcie Danny'ego w wieku 12 lat, gdy mieszkał z mamą. Siedzi za kierownicą mojego starego buicka z opuszczonym dachem, jedzie naszą żwirową drogą wśród bujnej zieleni. Żeby zrobić tę fotografię, rozciągnęłam się na masce samochodu, jedną ręką trzymając się anteny, stopą zahaczając o znaczek z przodu. Danny wystawia twarz do słońca, pędzi drogą, ciesząc się z tej krótkiej chwili radości, wesołej kropelki w morzu cierpienia.

Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam, widziałam, że Kolczasty Bob dobudował nowy taras lub pomieszczenie o ścianach z falistej blachy. Mama znów zaczęła zbierać betonowe zwierzęta, ubrania i buty.

Czasami, kiedy Danny był jeszcze w szkole, spędzałam popołudnie z mamą: razem jeździliśmy konno, pływałyśmy, gładziłyśmy zielone rzekotki, które nadal włożyły pod niebieską plastikową wkładkę w basenie. Nigdy nie mówiłyśmy o przeszłości ani o moim stanie zdrowia. Po takim dniu siadałyśmy przy kuchennym stole, a ona opowiadała mi, jakim to podłym sukinysem był mój ojciec. Ja tylko kiwałam głową, tak, mamó, tak.

Siedzimy z mamą w trucku przed sklepem z używanymi rzeczami w Lancaster, deszcz bębni o szyby, a mama, wiedząc, że nie ruszę się z samochodu, wciąż gada o tacie. Umiem się zachować.

- Aha - przytakuję. - Wiem.

Dziś dużo mówi o tym, jakim jest podłym łajdakiem i kretysem, po/y czył od niej trochę pieniędzy z ubezpieczenia i miał zwrócić dług z odsetkami, ale mu się odwidziało i twierdzi, że są kwita.

Wykorzystuję tę okazję, żeby jeszcze raz jej przypomnieć, jak dobry jest dla nas Bóg. Zesłał cudowną błyskawicę, która uderzyła w dom tej jednej

nocy. gdy nas w nim nie było, dzięki czemu rodziców wreszcie było stać na rozwód.

- Zrobił to w odpowiednim momencie. - Wyciągam ręce do nieba. - Naprawdę.

Matka patrzy na mnie jak na idiotkę. Szczęka jej opada.

- No nieeee, zgłupiałaś czy co? Myślisz, że to Bóg spalił nasz dom? Zrobił to twój ojciec. Przecież jest elektrykiem, Julie. - Klepie się w kolano. - Wielkie nieba! - Wygląda przez okno samochodu, fuka. - Ale z ciebie kretynka. Myślisz, że tamtej nocy wyszliśmy przypadkiem? Skąd więc miałam zdjęcia? Same powędrowały do drewnianego domku? Co? - Syczy, biała kulka śliny drży pośrodku jej dolnej wargi.

Patrzę prosto przed siebie, w strugi deszczu, płynące po szybie. Kręci mi się w głowie. Dlatego tamtego dnia była w chatce z bali; przeglądała rzeczy, które ojciec tam przeniósł. Dlatego nie spłonęły nasze metryki urodzenia. Dlatego rodzice mieli trochę ubrań. Powoli wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować, jakbym zdjęła jakąś zasłonę, o której istnieniu dotąd nie wiedziałam.

- Ale... - Boli mnie głowa. - Ale dlaczego P. J. ?

- Och, ten kretyn, twój ojciec, po prostu ją zostawił.

Nie mogę tego zrozumieć. Jak można zamknąć malutkiego, puszystego shih tzu w domu, pod który podkłada się ogień? Jak można hodować suczkę, latami sprzedawać jej szcenięta, a potem spalić ją żywcem? Łzy płyną mi po twarzy jak deszcz po przedniej szybie samochodu.

- Jezu, ta suka brudziła mi w domu. Nie cierpiałam jej. Ojciec ją zostawił. Podła z niego świnia, co?

Patrzę na nią i widzę białą kropelkę śliny, podskakującą na wardze, kropelkę, którą tyle lat obserwowałam w milczeniu. Narasta we mnie wściekłość. Chciałabym wyciągnąć rękę i rozmazać po niej tę ślinę, wbić jej paznokcie w policzki, szarpać do krwi.

Siedzę nieruchomo. Cały ten czas myślałam, że Bóg wybawi! nas od piekielnego życia, a to mój cholerny ojciec spał dom na krótko i spalił go jak grzanekę. Wykombinował to wspólnie z matką, dlatego postarali się, żeby nikogo nie było w przyczepie. Zrobili to po moim powrocie z domu dziecka, gdy ogłosili bankructwo. Dlatego byli dla mnie tacy mili przez te trzy tygodnie. Mieli już plan. Potem podzielili się pieniędzmi z ubezpieczenia. Dzieciom dała po 100 pieprzonych dolarów, jakby to mogło zrekomensować nam wszystkie straty. A my, naiwniacy, czuliśmy się upoko-

rzeni jej hojnością. Ja i Danny sikaliśmy do wiadra, kiedy ona podróżowała po Meksyku z Kolczastym Bobem. Tata kupił sobie antenę satelitarną, pralkę i suszarkę; kazał je przywieźć pod drzwiczki starej przyczepy kempingowej, kiedy jego własne dzieci nie miały nawet nocnika.

W tej jednej chwili zwątpiłam w Boga. Wiara w jego wolę, która podtrzymywała mnie przy życiu i pozwalała znaleźć sens w tym całym bezsensie, teraz została wyszarpana, wymazana z mojego serca, i to w okrutny sposób. Byłam idiotką, że w ogóle wierzyłam w Jego istnienie.

Jestem zmęczona. Opadają mi powieki. Chciałabym się oprzeć o okno i zasnąć.

Rozlega się mój głos, cichutki, prawie niesłyszalny.

- Wejdźmy, zanim zamkną sklep.

Mama mówi:

- Jezus, Julie, myślałam, że wiedziałaś. To było takie oczywiste.

- Nie, nie wiedziałam.

Wciąż płaczę. Płaczę nad P. J., nad wszystkim, co schrzanił w tym podłym świecie i czego nikt nie może już naprawić.

Gdy skończyłam 21 lat, wróciłam do Ohio. Nie planowałam tego; po prostu odechciało mi się jeździć z miasta do miasta. W pewien weekend wybrałam się na wieś. Mama dała mi klucz do nowej przyczepy, więc mogłam przyjeżdżać niezależnie od tego, czy była w domu. Tego popołudnia, gdy nikogo nie było, zajrzałam do jej komody, szukając szortów. W dolnej szufladzie, pod stosem pastelowych spodenek, leżała gruba teczka z napisem: Dowody na to, że Julie Gregory dopuściła się zniesławienia.

Przysiadłam na brzegu wodnego łóżka i otworzyłam teczkę. Wyspał się stos złożonych liścików, napisanych odręcznie na liniowanych kartkach, wyrwanych z zeszytu. Takie listy pisałam do moich koleżanek w czasie lekcji.

Było tam kilka autentycznych listów, od Missy i Carmen, ale pozostałe ani trochę nie przypominały naszych dziewczęcych notatek z siódmej klasy. Przebiegając wzrokiem kolejne linijki, czytałam o planach ucieczki ze starszymi mężczyznami, którzy mieli na mnie czekać przy drodze. Natrafiłam na zdania: *Pieprzyć moją matkę, tę cholerną dziwkę...* i *Zrobię to za 50 dolców*. Dalej były rzeczy tak okropne, że zaczerwieniłam się, czytając. Duże litery z pętelkami imitowały mój charakter pisma, pod każdym

z listów widniało moje imię. Znalazłam nawet odpowiedzi od moich koleżanek. Patrzyłam na litery, wiedząc, że ja ich nie napisałam. Zauważyłam nieznaczne, ale niezaprzeczone podobieństwo do pochyłego pisma mamy.

Po tym zdarzeniu nie chciało mi się już jeździć dalej niż do Columbus. Otworzyłam niedzielną gazetę i wynajęłam tanie mieszkanie z pierwszego ogłoszenia, na które padł mój wzrok. Nie miałam już serca uciekać. Zresztą, moje serce znów było chore, choć nie wiedziałam dlaczego. Objawy z dzieciństwa powróciły, bałam się, że nie dożyję 25. urodzin.

Po tych wszystkich latach wciąż całymimi dniami chodzę z pustym żołądkiem, a nocą padam na łóżko, wygłodniała. Chuda 13-latką ze szpitala, dziewczynka, której matka nie dawała jeść, stała się chudą 23-latką, która nie umie się sama wyżywić. Teraz ta kobieta zaczyna rozwiewać złudzenia, którymi żyła dziewczynka.

Budzę się rano i mieszam w misce czekoladowe ciasto w proszku. Zjadam wszystko łyżeczką i przez resztę dnia śpię albo po prostu leżę, moje mięśnie są zwiotczałe, mam wrażenie, że oddzielają się od kości.

Głowę przeszywa mi ból. Po obu stronach, nad uszami, mam małe wgłębienia, pozostałość po przykrym zdarzeniu. Wyobrażam sobie, że tamtędy wchodzi ból. Czaszka powoli wypełnia się ołowiem. Uciskam te miejsca, żeby zmniejszyć napięcie, ale ogarniają mnie mdłości. Czuję się tak, jakby wciąż tkwił tam róg stolika. Oddycham płytko, serce wali mi jak młotem, mdleję w łazience. Budzę się na podłodze, przy wannie, w pozycji, w jakiej leżą ciała na miejscu zbrodni obrysowane kredą. Jest ze mną bardzo źle.

Wracam do starego doktora Stronga w Lancaster, tego, który zajął się mną po cewnikowaniu serca. Osłuchuje mnie bez przekonania i rzuca kilka słów na temat mojego stanu.

Nie pyta, czy prawidłowo się odżywiam. Zresztą sama tego nie wiem. Dbam o siebie tak, jak nauczyła mnie mama, na podstawie porad lekarzy.

Doktor Strong stracił zainteresowanie poszukiwaniem mojej wady serca, a matka przekazała mi pałeczkę. Zostałam sama.

Wciąż kontaktuję się z matką telefonicznie.

Chodzimy razem po zakupy. Biegnie między regałami w moją stronę, ściskając w dłoni pluszową maskotkę. Podśpiewuje:

- Kupisz mi ja, Sissy, ? No? Proszę! - Stoi przy kasie, z palcami oplecionymi wokół prętów koszyka, kładzie na taśmie słodycze z półki, a ja

wyjmuje wszystkie towary i reguluje rachunek. Teraz ja jestem jej matką. Ja dojrzevam, ona cofa się w rozwoju.

Mam wrażenie, że raz po raz zmieniam tożsamość, zachowuję się jak terapeutka mamy albo jak głupie dziecko, w zależności od tego, czego ona akurat potrzebuje.

Mniej więcej co drugi miesiąc Danny dzwoni do mnie i prosi, żebym przyjechała, bo mama grozi, że się zastrzeli albo nałyka pigułek nasennych. Rozstała się z Bobem, a kiedy próbowała wrócić do taty, dowiedziała się o jego dziewczynie. Tym razem zamknęła się w samochodzie i robi to naprawdę. Danny nie wie, czy połknęła już jakieś pigułki, a jeśli tak, to ile. Jadę 60 kilometrów do warsztatu ojca. Mój braciszek powiedział jej przez przyciemnioną szybę samochodu, że już jestem w drodze.

Teraz zachowuję się jak terapeutka. Siadam na poplamionym siedzeniu, obejmuję ją i siłą wyciągam fiolkę z jej zaciśniętych palców.

Matka łka.

- Jeśli odtrąca mnie nawet ten podły skurwiol, pedał, sadysta i wariat, to kto mnie zechce? Kto się mną zaopiekuje?

Próbuję wyjaśnić, że skoro tata jest taki okropny i zadaje jej tyle bólu, to nie ma sensu do niego wracać.

- Jeśli go nie zmuszę, żeby mnie pragnął... - jęczy mama - to kto ze mną będzie?

Odbieram jej pigułki, pokazując kolorowy magazyn „Sweetheart”. Czytałam o nim w „People” i zamówiłam egzemplarz, żeby mieć go pod ręką, gdy matka znów będzie chciała popełnić samobójstwo. To magazyn matrymonialny, ogłaszają się w nim samotni ranczerzy i górale, którzy mieszkają teraz na rozległych równinach Montany. Każde z ogłoszeń to półsiro-nicowy opis i duże, kolorowe zdjęcie. Wymachuję piśmieniem przed oczami mamy, przewracam kartki, popiskuję z zachwytu nad samotnymi kowbojami o białych zębach i w dużych kapeluszach, wskazuję zuchwale ogłoszenia z napisem: Poszukiwana żona. Matka łapie przynętę, jest zaciekawiona, a ja delikatnie wyjmuję jej z dłoni buteleczkę z pigułkami, wsuwając w to miejsce magazyn. Zawsze uspokaja ją myśl, że może przyczepić się do następnego mężczyzny. Nadzieja na życie z innym facetem zastępuje pragnienie śmierci.

Czasami staję się dzieckiem. Ja i Danny siedzimy na farmie, a ona znów jest rozszalałą matką, której zawsze się baliśmy. Poniżej nas ostrymi, logicznymi sformułowaniami, których nie potrafimy podważyć: jesteśmy

głupimi dzieciakami, przynosiliśmy złe stopnie, wyglądamy na chorowitych. Uciska palcami nasze siniaki, żeby nas złamać.

Staje przed lustrem i żąda, żebym robiła jej zdjęcia. Każe Danny"emu lekko przechylić lustro, żeby zdjęcie było dokładną repliką jej odbicia. Wysyła te fotografie do mężczyzn z magazynu „Sweethart”. Nadzieja odnowiła w niej poczucie wyższości i władzy.

Czekając, aż Danny ustawi lustro do następnego zdjęcia, pogrążam się w rozmyślaniach. Zastanawiam się, jak mama to robi, że my wszyscy stajemy się jej lustrami, pokazujemy dokładnie to, co chce zobaczyć, pod odpowiednim kątem. Jeśli nam się to nie udaje - tłucze szkło.

W wieku 24 lat postanawiam wrócić do szkoły. Przechadzając się po sklepie z używanymi książkami, zauważyłam encyklopedię dla dzieci. Jaskrawe kolory i prosty tekst tak mnie urzekły, że usiadłam na podłodze i zaczęłam pochłaniać wiedzę z czwartej klasy, której nie zdołałam przyswoić wcześniej. Zapragnęłam nauczyć się wszystkiego, co ominęło mnie z powodu chorób. Nie otrzymałam świadectwa ukończenia szkoły średniej - bo zgubiłam podręcznik do mitologii i nie miałam pieniędzy na jego odkupienie - ale w zgłoszeniu do miejskiego college'u piszę, że je dostarczę. Udaje mi się oszukać władze szkoły, zostają przyjęta.

Jedząc tylko tyle, żeby utrzymać się przy życiu, trzy razy w tygodniu zbieram energię, żeby iść na zajęcia. Chcę się dowiedzieć, czy jestem szalona, jak mówili rodzice, czy głupia, jak stwierdzono w szkole średniej. Muszę wiedzieć, czy naprawdę mam uszkodzony mózg, co zawsze wmaśniała mi mama. Nauka, zwłaszcza w Columbus, to jedyny sposób, żebym przekonała się sama, żebym wreszcie przestała się wstydzić.

Skrupulatnie wszystko notuję, uczę się o Układzie Słonecznym, Koperniku i Tycho Brahem. Czytam *Imię róży* i inne arcydzieła literatury, dowiaduję się, że w *Upaniszadach* są takie same mity o stworzeniu jak w Biblii. Poszerzam horyzonty umysłowe, bez trudu zdobywam piątki i czwórki. Kurczowo uczepiłam się myśli, że może jednak mam trochę inteligencji.

Niestety, powraca choroba. Kilka miesięcy po rozpoczęciu drugiego roku nauki zaczynam się czuć bardzo źle, jak kiedyś na farmie. Gdy wstaję.

serce bije mi szybciej. Drzę, mieszając ciasto w proszku na śniadanie. Uczę się w łóżku, nie oddaję prac, opuszczam zajęcia, bo nie mam siły wyjść z domu. Mówię wykładowcom, że na jakiś czas będę musiała przerwać naukę, bo cierpię na tajemniczą chorobę serca, na którą zapadłam w dzieciństwie. Bo, na miłość boską, co innego może mi dolegać?

Poznaję Raya: jasnoniebieskie oczy, smukła sylwetka, grzywa niesfornych loków. Jest muzykiem, ubiera się jak Frank Sinatra i gra na saksofonie ostre, punkowe kawałki. Staje się dla mnie jak podtrzymująca przy życiu kroplówka. Jesteśmy nierozłączni. Nic już nie robię. Jem surowe ciasto i żyję dla Raya. Oczarowuje mnie jego dotyk i sposób bycia, robię wszystko, czego ode mnie chce. Posiniaczona szyja, ślady zębów, telefony późną nocą, żebym po niego przyjechała, bo po piątej wódce stoi pod ścianą na ulicy i nie może się ruszyć... Godzę się z tym. To najszcześniejszy okres w moim chorym życiu.

Wszystko się wali. Pod koniec miesiąca Ray wyjedzie do San Francisco, a ja wiem, że nie mogę bez niego istnieć. Nawdychał się ketaminy; czołga się pod moje drzwi, pełźnie po podłodze, wdrapuje się na łóżko. Ja nie biorę narkotyków, uspokaja mnie tylko przekłete, surowe ciasto. Następnego ranka Ray nie pamięta niczego z naszej nocnej rozmowy: mówiliśmy o tym, że z nim pojedę, że będziemy razem. Ucieka ode mnie, a ja nie potrafię go zatrzymać. Przystajemy jeść i rozmawiać. Ranimy się wzajemnie ostrymi, dobitnymi słowami, nie umiemy już nawiązać porozumienia. Nie przeszkadza mi, że on ćpa, pije alkohol, chodzi w dwóch różnych skarpetkach. Wiem tylko, że bez niego, jak kiedyś bez matki, po prostu umrę.

Nasz związek się rozpada, dobrze nam już tylko w łóżku. Rysuję gwiazdki w kalendarzu, odnotowuję każdą spędzoną z nim chwilę; to jedyny namacalny dowód na to, że jeszcze mnie pragnie. Wpatruję się w strony z gwiazdkami, przypominając sobie rzeczywistość; niektóre dni są nimi upstrzone, inne - prawie puste. Kilka gwiazdzistych dni z rzędu to wizualny wzór, który można przenieść w przyszłość. W przyszłości wszystko będzie lepiej, inaczej. Całe życie miałam nadzieję, że czeka mnie jeszcze coś dobrego-

Gdy nie ma Raya, biorę kalendarz do łóżka i przytulam mokrą od łez twarz do kwadracików z wieloma gwiazdkami, marząc, że będzie więcej

takich dni. Rano, gdy się budzę, widzę na swoim policzku odciski gwiazdek, wyglądają jak tatuaż. Z zadowoleniem noszę je na twarzy do wieczora i wpadam w rozpacz, gdy, zerkając w lustro, widzę, że zaczynają się ścierać.

W ostatnich dniach naszego związku Ray bierze mnie jak chce i kiedy chce, a ja czuję tylko nieodparte pragnienie spełniania jego pragnień. Zrobię wszystko, byleby być z nim.

Zapisałam się na letni semestr - lżejszy, tylko dwa przedmioty - postanawiając, że jakoś oderwę się od Raya. Pewnego upalnego lipcowego popołudnia przychodzę na zajęcia z psychologii spóźniona pół godziny. Mam przetłuszczone włosy, nieumyte zęby i siniaki na gołych nogach. Siadam w ostatnim rzędzie i przysypiam, słuchając jednym uchem, jak moi głupi koledzy ze wsi opowiadają o kuzynie Erniem, który chyba cierpiał na takie same zaburzenia psychiczne, jakie właśnie omówiliśmy. Nie czytali, że studenci psychologii zawsze na początku stwierdzają omawiane objawy u siebie i swojej rodziny? Nie zdają sobie sprawy, że właśnie to robią? Boże, jak ja nie cierpię studentów. Opieram głowę na ramionach, splecionych na blacie.

Profesor łagodnym głosem omawia specyficzny rodzaj maltretowania dzieci:

Sprawca, zwykle matka, wymyśla chorobę zdrowemu dziecku i wciąż bywa z nim u lekarzy.

Matka... wymyśla... chorobę.

Matki, które to robią, często w dzieciństwie same były maltretowane lub zaniedbywane.

Podnoszę głowę. Strużka śliny płynie mi z ust na ławkę.

Ponieważ osoby te doznały krzywd od swoich opiekunów, w dorosłym wieku zaspokajają potrzebę posiadania rodziców, rozmawiając z lekarzami. Jak wiadomo, lekarz w powszechnym rozumieniu uosabia troskę i aurytet.

Siadam prosto.

Lekarz rzadko stwierdza jakąś chorobę u dziecka, ale wtedy matka idzie do następnego i następnego, domagając się kolejnych badań i zabiegów. Czasami wymyśla objawy, niekiedy sama je wywołuje. Zdarza się, że dziecko jest okaleczane lub podtruwane lekami. Zdarza się też, że umiera.

Tę formę maltretowania dzieci nazywa się zastępczym zespołem Munchausena.

Próbuję się otrząsnąć. W głowie kłębi mi się mgła, ze wszystkich stron nadlatują odłamki szkła. Zderzają się z ogłuszającym hukiem. Potem zapada cisza. Pęknięte lustro, w które patrzę, odbija chorą, zagubioną twarz, z otwartymi ustami, które nie mogą złapać tchu.

Podrywam się z krzesła i wybiegam z sali. Potykam się w korytarzu, padam na ceglane schody.

Kroili, macali, dręczyli moje ciało bez powodu.

Wbijam palce w szpary między cegłami, podciągam się z wysiłkiem. Oparta o ścianę, uderzam w nią głową.

Po prostu robili badania, nigdy nie podważając jej słów.

Teraz znam już całą prawdę.

Ona to robiła, od samego początku.

Elementy układanki wirują wokół mnie, próbując wsunąć się we właściwe miejsca. Nie chcę wiedzieć.

Poświęcałam się, żeby ona mogła żyć.

Nie chcę wiedzieć.

Żeby i ja mogła żyć.

Nie chcę.

Bum!

Wiedzieć.

Gdyby umarła, umarłabym wraz z nią.

Nie chcę.

Trach!

Wiedzieć.

Zapisuję się w pilnym trybie na spotkanie z Mymną w ośrodku rodzinnym. Od dwóch miesięcy chodzę do niej na terapię, starając się wypłatać ze związku z Rayem. Wyciągam z szuflady banknot pięciodolarowy, bo

tylko kosztuje wizyta, wsiałam do samochodu i odrętwiała jadę do przychodni. Siadam w poczekalni, mam pustkę w głowie. Zaraz przestanę istnieć. Ostatkiem sił staram się nie rozpaść.

Siadam na kozetce w gabinecie i opadam na bok, dysząc, w histerii. Uda-je mi się wykrztusić, co się stało w czasie wykładu, co, jak zrozumiałam, spotkało mnie w dzieciństwie. To musi być prawda, bo wszystko się zgadza, dosłownie wszystko: matka, cewnikowanie serca, dobre wyniki badań, wyjazdy do szpitala z babcią Madge, operacja twarzy i nos w gipsie, rurka w cewce moczowej i, mój Boże, o mój Boże, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że powiedziałam to pielęgniarkie w szpitalu, kiedy miałam 13 lat, ale oni nic nie zrobili.

Myrna siedzi spokojnie, starając się ogarnąć wszystkie szczegóły, o których mówię, bo dotąd nasze sesje dotyczyły tylko Raya. Chyba myśli, że zwariowałam. Nie pociesza mnie, może mi zaproponować tylko chłód i rezerwę. Z szelestem rozpakowuje z papierka kolejny cukierek na kaszel i wrzuca go sobie do ust.

Splata palce na kolanie.

- (Cmok) Wiesz, Julie, kiedy moi pacjenci są zdenerwowani (sss...), proponuję im, żeby poszli do domu i wzięli długą gorącą kąpiel dla odprężenia. Próbowełaś już tak leżeć w ciepłej wodzie, a nawet (chrup!) czytać w wannie gazetę?

Można się zmienić w kafkowskiego karalucha; Myrna i tak będzie ssać swoje tabletki na gardło i zaleci gorącą kąpiel.

Przez następne dwa dni nerwowo chodzę po swoim mieszkaniu, wędruję po ulicach w deszczu o czwartej nad ranem, połykam środki uspokajające i próbuję zasnąć, choćby na 20 minut. Idę do sklepu spożywczego, ale myślami wciąż jestem w szpitalu. Ludzie mnie popychają, dotykają, wytykają palcami.

Kulę ramiona i staram się nie zwracać na siebie uwagi. Idę małymi krokami, przyciskając ręce do boków. Nie mogę ryzykować, że ktoś złapie mnie za nadgarstek albo muśnie moją nogę. Ludzie patrzą, jak idę przez dział z mrożonkami, zerkają na mnie zza półek z cebulką w occie i korniszonami. Gapią się w kolejce przy kasie, zastawiają mi drogę koszykami, omiatają mnie wzrokiem od stóp do głów. Słyszę ich myśli. Zastanawiają się, czy, skoro jestem taka chorowita i nie wykazuję zainteresowania sportem, w ogóle warto utrzymywać mnie przy życiu.

Ray wyjechał, a ja nie pamiętam nic z wykładu z psychologii, który odbył się przed tygodniem. Tłumaczę swoje poruszenie faktem, że dostałam z elektrowni list z zapowiedzią wyłączenia prądu. Wspomnienia szpitala zapadają gdzieś w moją podświadomość.

Dwa wieczory później przewracam się na podłogę w moim mieszkanku; ręce same mi się zginają, kurczą. Im szybciej oddycham, tym bardziej chcą się zwinąć. Wreszcie zamierają, koślawe, powyginane, pałaki przed moją twarzą.

Budzę się w schronisku dla maltretowanych i psychicznie chorych kobiet. Kiedy już dochodzę do siebie na tyle, żeby coś powiedzieć, próbuję wyjaśnić opiekunom, co się stało: że wcale nie byłam chora, ona to wszystko zmyśliła. Korpulentna, utuczona kukurydzą pielęgniarka klepie mnie po ramieniu.

- Już dobrze, kochana. Nic nie mów.

Dzwonią do mojego brata Danny'ego. Przysiada na moim łóżku, zaczyna płakać. Próbuję z nim porozmawiać, zyskać świadka, upewnić się, że nie zwariowałam.

- Danny, pamiętasz, jak mama wozila cię do lekarza, bo miałeś astmę?

Przecząco kręci głową.

- Pamiętasz broń? Przyłożyłeś tacie pistolet do głowy, po pożarze domu, kiedy wszyscy tkwiliśmy w tej ciasnej przyczepie kempingowej.

- Nie pamiętam, Sis.

- A pamiętasz, jak zabrali mnie do szpitala na cewnikowanie serca?

Danny ociera łzy z oczu. Na jego czole pojawiają się głębokie bruzdy, tak samo jak u taty w chwilach poruszenia. Zaciska powieki i stara się opanować drżenie wargi.

- Sissy... - Głos mu się załamuje. - Nie pamiętam nic z dzieciństwa. - Zacisnął dłonie, trzymając je na udach. - Nic, do ukończenia 15 lat.

Wtedy właśnie Danny rozstał się z mamą i zamieszkał u taty.

Hinduska psycholog, którą mi przysłano, też uznała mnie za wariatkę.

- Okej. Co to takiego ten sespół minchauzena, o którym mówisz? Nigdy o tym nie słyszałam. - Przygląda mi się podejrzliwie spod krzaczastych brwi, szukając jakichś klasycznych objawów, żeby przepisać odpowiedni środek psychotropowy.

I

- Opowiesz mi wszystko jeszcze raz?

Po czterech dniach na własną prośbę wyszłam ze schroniska i zamieszkałam w domu luster.

Mój dom luster jest stary i znajduje się na farmie zaledwie półtora kilometra od szpitala, gdzie mnie operowano. Wynajmuję go za bezcen. Na górze nie ma ogrzewania. Chociaż mieszkam w granicach miasta, dom stoi na uboczu, w lesie, przy końcu drogi i wygląda tak, jakby powoli zsuwał się do wąwozu tuż obok.

Stoję w największym pokoju. Na ścianach wiszą lustra bez ram, przyniesione z sali do nauki tańca. Żadnych mebli. Drewniana podłoga. Tylko ja i lustra. Tutaj teraz mieszkam. Nikt nie może mi pomóc.

Patrzę w największe lustro. Piękna kobieta. Jestem zatrutą pięknnością. Mam ładne rysy, ale pokrywa je gruba warstwa choroby. Objawia się ciemnymi obwódkami pod oczami, matowością skóry, spierzchniętymi wargami, zamglonymi źrenicami, sapiącym oddechem oraz ciągłym wrażeniem, że jestem brudna.

Mogłabym się pozbyć tej warstwy, zmyć ją, zdrapać, znów być ładna, gdybym tylko potrafiła przestać wpędzać się w chorobę. Ale nie umiem. Nie mogę. Mam to we wszystkich komórkach. We krwi. Tak jakby w chwili urodzenia odebrano mi instynkt samozachowawczy. Zaprogramowano mnie tak, żebym dążyła do śmierci, jeśli nawet nie bezpośrednio, to przynajmniej poprzez brak chęci życia.

Zarabiam na konieczne wydatki, pracując na pół etatu jako recepcjonistka. Wciskam swoje wysokie ciało za wąskie biurko w Klinice Medycyny Naturalnej. Przyjęłam tę pracę, licząc na zniżki za usługi zdrowotne - doradztwo dietetyka, odtruwanie, terapia witaminami. Zamiast tego całymi

dнями zapisuję na wizyty stałych pacjentów, którzy są zachwyceni własną chorobą. Pewna kobieta z entuzjazmem wyciąga z torebki słoik, na którego dnie wije się długa glista. Pacjentka pokazuje wszystkim, jak bardzo pomogli jej lekarze z kliniki. Najgorsze jest zapisywanie na wizyty matek, które stoją w poczekalni i każdemu, kto zechce słuchać, opowiadają ze szczegółami o objawach, zauważonych u ich dzieci. Przenoszę wzrok z matki w blade oczy dziecka i wydaje mi się, że tak jak z przygarniętym rodzeństwem porozumiewamy się bez słów.

- Przykro mi - kłamię. - Nie będzie miejsca przez... kilka tygodni. - Umawiam matkę z dzieckiem na dzień, kiedy mnie nie będzie.

Czasami zapominam zanotować nazwisk w kalendarzu. Żaden lekarz nie przyjąłby ich bez zapisu, bo w klinice zawsze jest tłok.

W domu i w klinice jest mi dobrze. W prawdziwym świecie czuję się jak potencjalna ofiara. Skradam się, wiem, że ludzie na mnie patrzą. Przeszywają świdrującym wzrokiem. Wiem, co myślą: Trzeba na nią uważać, w każdej chwili może umrzeć.

W domu mogę wyjść ze swojej skorupy. Powoli unoszę ramiona, jak feniks, i tańczę, faluję, fruwać po pokoju... Potem z płaczem osuwam się na ziemię przed lustrami. W bladym, zimowym świetle, wpadającym przez duże okna, zaczynam widzieć swoje prawdziwe odbicie, a nie obraz, który wpajano mi od urodzenia. Nie piszę o tym. Nie mówię. Nie wiem, co robię. Jak nowo wyklute pisklą otwieram oczy i prostuję mokre skrzydła. Nie umiem sobie uświadomić przeszłości. Wiem, że tkwi gdzieś we mnie, bardzo blisko powierzchni, ale nie mogę do niej dotrzeć. Staram się, żeby tak zostało.

Wciąż kontaktuję się z matką, bo bardzo tego potrzebuję. Bez niej jestem jak nie do końca rozwinięta larwa. Matka mieszka teraz w Montanie, na terenie rezerwatu, w przyczepie ze swoim indiańskim kochankiem. Rozmawiam z nią, jakby nic się nie stało, jakby wszystko było w porządku. Wciąż staram się uzyskać od niej trochę miłości. Kiedy dzwoni w środku nocy i mówi, że się zabije, próbuję ją przekonać, żeby wyjęła pistolet z ust lub odłożyła środki nasenne, choć dzieli nas 3000 kilometrów. Tylko ja mogę ją uratować. Nie darowałabym sobie, gdyby zmarła, bo nie zrobiłam tego, do czego tak solidnie mnie przygotowała.

Czasami, kiedy dzwoni, jest łagodna, czuję, że chce się otworzyć.

- Sis - mówi. - Zadręczam się. Wiem, że chciałabyś porozmawiać o wielu sprawach... o przeszłości. - Zaczynam płakać, muszę jej powiedzieć, że

wiem, co zrobiła. - Zdarzeń sprzed lat nie da się usprawiedliwić. - To prawda. Bardzo chcę, żeby nade mną zapłakała. - Nie rozumiem tego. - Słowa więzną mi w gardle jak wtedy, gdy siedziałam na stole w gabinecie i nie protestowałam, kiedy mama podawała kolejne wymyślone objawy. Słowa piętrzą się przy tamie, pcha je rzeka, która wzbiera od 20 lat; chcą się wyrwać, wypłynąć wraz z potokiem łez. - Nie wiem, dlaczego on tak postępuje. Po prostu mu wybaczyłam. - Przeżyłam. - Trzeba próbować. Ja się starałam. Walczyłam o to małżeństwo, chciałam, żeby wam, dzieciom, dobrze się żyło. - Już po wszystkim. - A teraz, po pięćdziesiątce, ledwo wiąże koniec z końcem. Kiedy byłam u nich ostatni raz, nawet nie zafundowali mi posiłku. Ani jednego. To wszystko tyle mnie kosztowało, wysłałam dwójkę dzieci na studia, ale przecież dobrze mnie znasz, za dużo biorę na siebie.

Traci kontakt z rzeczywistością. A jej dwójka dzieci płaci za studia samodzielnie, ciężko pracując.

Zaczyna się wiosna. Widzę w lustrze, że rosną mi piersi. Po bokach robią się na nich białe rozstępy, jak pręgi tygrysa, od nagłego zwiększenia objętości. Moje biodra rozwijają się jak zakwitający kwiat. Czuję się jak dojrzewająca dziewczyna. Skorupa, w którą mnie wciśnięto, jednak pęka, a ja uwalniam się z niej, choć jest to bolesne. Wyobrażam sobie, że szarpie palcami krępujący mnie sznur, wyplątuję się z kokonu, w którym tak długo tkwiłam, wije się, żeby oswobodzić swoje krzywe, chude kończyny pozabawione mięśni.

Dotykam swojej twarzy przed lustrem, przyglądam się jej godzinami. Muszę zrozumieć, co do mnie mówi. Zobaczyć, jakie robię miny, jak poruszam oczami, sprawdzić, czy mam nerwowy tik, jak ona.

Gdy nie patrzę w lustro, nie uważam się za ładną. Nie mogę pojąć, że mam atrakcyjne ciało. Ani że to ciało nosi w sobie uzdrawiającą moc. Mój instykt samozachowawczy jest zwinięty jak kłębek żyłki wędkarskiej, tak poplątany, że trzeba całych miesięcy żmudnego rozsypywania, żeby wętełki wreszcie puściły.

Kulę się przed lustrem: skóra i kości. Żebra, które widzę na swoich plecach, rzucają cień na napiętą skórę. Przyglądam się niebieskawym żyłkom, zafascynowana lekkim pulsowaniem krwi; to potwierdza, że żyję. Nie muszę sama pompować krwi; przy życiu utrzymuje mnie serce.

Oglądam w lustrze każdy fragment swojego ciała, chcąc sprawdzić, jak widzą mnie inni. Dłonie wyglądają pięknie, obracam je bez końca, jak

zahipnotyzowana. Znów zerkam na swoją twarz, łagodną i dziecięcą, na smukłe, gibkie ciało. Odchodzę od lustra, ale nie idzie za mną. Tracąc kontakt ze swoim odbiciem, nie wiem już, co widziałam.

Mam w myślach obraz chorowitej dziewczyny, odzwierciedlenie tego, co czułam wewnątrz. Przez 26 lat wierzyłam, że tym właśnie jestem: dziewczynym, delikatnym stworzeniem, skazanym na wczesną śmierć. Oczywiście duszy widzę siebie brudną, z ciemnymi, przetłuszczonymi włosami, pociągłą twarzą, zawsze smutną, z opadającą dolną wargą i nieprzytomnym wzrokiem. A że w to wierzę, tak się też czuję. I zachowuję zgodnie ze swoim samopoczuciem. A świat reaguje na moje zachowanie.

Wracam do lustra i ona znów tam jest, ta obca dziewczyna, którą widzą wszyscy inni ludzie. Wyciągam rękę, żeby dotknąć palcami jej twarzy. Nie mogę się napatrzyć. Przyglądam się podejrzliwie. Czy to ja stoję po drugiej stronie lustra? Prawda w moim umyśle różni się od prawdy w szklanej tafli. Jestem rozdarta między nimi dwiema, stoję nad przepaścią rozdzielającą dwa światy, chwięję się pomiędzy tym, co znam, a tym co istnieje w lustrze. Trzeba będzie 3 lat, żebym wreszcie zdołała połączyć te rzeczywistości.

Życie w tym nowym stanie umysłu jest powolne i dziecinne. Pomieszały mi się poziomy rozwoju: emocjonalnie poruszam się drobnymi kroczkami dziecka, choć fizycznie jestem normalną kobietą.

Wciąż nie mogę jeść.

Zaglądając do lodówki, widzę produkty żywnościowe, a nie jedzenie. Chociaż burczy mi w brzuchu, nie mam apetytu.

Apetyt różni się od głodu: jest mentalną potrzebą, która sprawia, że aulo matycznie wyciągasz rękę. bierzesz coś do jedzenia, wkładasz to do ust, gryziesz i połykasz. Dowiedziałam się tego na pierwszym wykładzie z psychologii. Jedzenie nie jest wyłącznie potrzebą fizjologiczną: zaczyna się w umyśle, generując uczucia głodu, które powinno skłonić organizm do trawienia żywności. U mnie te obwody się rozłączyły.

Chyba że ktoś mnie dotyka. Wtedy zjem wszystko. Wystarczy pogładzić mnie po plecach, przytulić jak dziecko, obejmować, a staję się głodomorem.

Pamiętam z zajęć, że gdy dotyka się dzieci, ich podwzgórze wysyła sygnał głodu. U dzieci, których nikt nie dotyka, podwzgórze nie wysyła tego sygnału, więc nie jedzą. Czy tak samo jest w przypadku dorosłego, który zatrzymał się w rozwoju? Jeśli ktoś zatrzymał się na poziomie małego dziecka, to chyba funkcjonuje tak jak ono?

Nauczyłam się, że lepiej mieć w lodówce trzy do pięciu produktów żywnościowych, żebym nie czuła się przytłoczona, gdy ją otworzę. Żebym widziała jedzenie, a nie zbiór słoików, butelek i torebek. Nie mogę trzymać pudeł z płatkami śniadaniowymi na lodówce ani stosu pieczywa na kuchennym blacie. Przeraza mnie szuflada pełna sztucców. Jeśli jakiś przedmiot nie znajduje się dokładnie na swoim miejscu, zatrauwa mi to cały dzień. Jak trzylatek potrzebuję jasnych, określonych sytuacji, w których mam wybór między bardzo niewieloma rzeczami. Stworzyłam sobie własny świat Teletubisiów.

Musiałam być sama, bo każdy, kto się do mnie zbliżał, wywoływał poczucie zagrożenia. Tylko pod nieobecność ludzi mogłam myśleć jasno i krok po kroku uczyć się życia.

Od czasu do czasu ośmielałam się wyjść na świat pod opieką innej osoby, ale to nic nie dawało. Każda chwila interakcji była potencjalnym niebezpieczeństwem.

Siedzę w barze. Czekam na mojego nowego chłopaka i denerwuję się coraz bardziej, widząc wchodzących ludzi. Trzymam się ściany, próbuję zachować spokój. Mój chłopak macha do mnie ręką. Ruszam w jego stronę, myśląc, że znalazł mi bezpieczną wysepkę, ale gdy idę przez bar, tłum za mną gęstnieje. Dotykają mnie faceci we flanelowych koszulach, pchają się. Trącają się butelkami piwa nad moją głową, śmieją się chytrze. Wybiegam jak oparzona, nie chcąc czuć na sobie ich oddechu. Włosy zasłaniają mi twarz. Mój chłopak się śmieje. Zabawnie wyglądam, jakbym uciekała przed rojem niewidzialnych pszczoł. Za każdym razem, gdy podfruwam do przewodów elektrycznych innej osoby, zahaczam o nie skrzydłem.

Całe życie przeżyłam pod kloszem. Najpierw pod jej kloszem, potem pod własnym. A teraz, gdy pozbyłam się złudzeń, które chroniły mnie latami, wróciłam do stanu embrionu, zbyt delikatnego, by mógł bezpośrednio kontaktować się ze światem. Powiedzieć, że ludzie wywierają na mnie wpływ, to za mało: raczej oblepiają mnie cienką warstwą siebie, która przywiera jak gorąca folia. Ich słowa stają się moimi, przejmuję modulację ich głosu, ich opinie nakładają się na załączki mojego własnego światopoglądu.

Przeglądam moje zdjęcia, zrobione po pożarze. Na każdym z nich moja mina upodabnia się do wyrazu twarzy osoby, z którą przebywam. Na mojej twarzy pojawiają się takie same zmarszczki, szczęka identycznie układa się podczas uśmiechu. W ten sposób chcę przyjąć tożsamość innych ludzi.

Biorę zdjęcie, na którym jako sześciomiesięczny bobas leżę na brzuchu, a moją buzię rozświetla naturalny uśmiech. Mój własny, nietknięty, nieuszkodzony uśmiech. To jedyne zdjęcie mojej prawdziwej twarzy, nienależącej do nikogo innego. Zastanawiam się, czy już zawsze będę tkwić w przeszłości, jak odrzucone łożysko? Jak długo jeszcze będę musiała się zadrećzać, żeby odzyskać własną tożsamość? Pytam, ile elementów układanki straciłam po drodze? Gdzie je znajdę? Czy zdołam je wsunąć z powrotem na miejsce? Ile razy można sklejać stłuczony wazon, zanim wreszcie się go wyrzuci?

Odebrano mi wszystko. Matka wpiła się we mnie paznokciami jak w melon i wydrapała cały mięsz. Teraz, po latach, nie zostało ze mnie prawie nic.

Moimi przyjaciółmi są książki. W ich towarzystwie mogę milczeć, nie czuję się jak idiotka tylko dlatego, że nie upijam się i nie łażę po parkingu. Czytając, zapadam się w siebie, pływam przy głębokim końcu basenu; to nic, że jestem sama, że jest ciemno, zjadłam duży posiłek, mam skurcze... Chętnie idę na dno.

Biorę książki do łóżka. Kiedy nie jestem w klinice, każdą wolną chwilę spędzam w milczeniu, przewracając kartki, szukając prawdy, która potwierdziłaby to, co widzę w lustrze. Książki to moi guru, są dla mnie jak rodzice, pokazują, jak mam uwierzyć w siebie. Podsuwają mi pewną filozofię: każda dusza wybiera sobie rodziców, wszystko, czego doświadcza, jest potrzebne do jej pełnego rozwoju. Chociaż dusza ludzka z wyprzedzeniem wie, czego musi się nauczyć, to ego utrudnia jej odkrycie prawdy. Książki mówią mi, że w tym eksperymencie, w którym nikt nie rozumie celu, sama muszę zdecydować o swoim miejscu w tym bolesnym procesie.

Dowiaduję się z nich, że kto żył długo w ciemnej jaskini, ten po wyjściu musi dostosować wzrok do światła.

Że Hawaje były pokryte warstwą toksycznego pyłu wulkanicznego, zanim porosła je bujna roślinność.

Ubranie w pralce wygląda tak, jakby brudziło się jeszcze bardziej od mętnej wody, w której się kołtuję. Dopiero po tym burzliwym cyklu można je wyciągnąć, czyste i świeże.

Dodaję sobie odwagi powiedzeniami: „Jesteśmy tym, kim jesteśmy, nie pomimo przeciwności, lecz dzięki nim” lub „Ludzie mówią, że prawda rani - ale rani tylko złudzenia”. Wbijam pale w miękki grunt, buduję sobie nowe fundamenty.

Książki przemawiają do mnie jak do dziecka i zachęcają do samodzielnego rozwoju. Jakby były rodzicami i wieszały na lodówce moje kolorowe rysunki, gdy biegnę im je pokazać. Nigdy nie mówią: „Wyluzuj, za dużo myślisz”. Jeżeli już, to raczej: „Hej, ty, z piatem czołowym, wyłącz telewizor, wygłusz wszystkie hałasy i zastanów się głęboko”. Nigdy nie spławiają mnie zdawkowym: „Nie przejmuj się”. Nie mówią, jak mój ojciec: „Co ty wygadujesz?” Ani jak brat: „Nic nie pamiętam”. Ani jak moja matka, kiedy tłumaczę, że byłam za mała, żeby wyciągać jej pistolet z ust: „Jezu, Julie, u kogo ma szukać pomocy matka, jeśli nie u córki? Myślisz, że jesteś pępkiem świata? Że ominą cię problemy? Ty sama ze sto razy... ”

Przed snem otaczam się stosami książek. Są psychologicznymi strażnikami, pilnują, żebym nocą nie spadła z łóżka.

Postanawiam jeszcze raz porozmawiać z ojcem. Może uda mi się odzyskać chociaż jedno z rodziców. Przecież można lecieć na jednym silniku. Chociaż nie zerwaliśmy kontaktów, nasz związek jest bardzo powierzchowny i wprawia nas oboje w zakłopotanie. Mam wątpliwości, czy tata w ogóle rozumie, że jestem jego córką. Czasami nazywa mnie „Sandy” lub „Danny”, myśląc się jak kiedyś jego ojciec, a czasami długo milczy, próbując sobie przypomnieć moje imię.

Spotkam się z nim w chińskim bufecie, który sam wybrał. Upieram się, żebyśmy porozmawiali w cztery oczy. Już dwa razy chciał przyprowadzić swoją dziewczynę lub Danny'ego, żeby ktoś oddzielał go ode mnie. Wyciągam list na 20 kartkach z zeszytu, który napisałam zeszłej nocy i w którym wszystko wyjaśniam. Ojciec wyjmuje kieszonkową grę wideo i zaczyna się bawić.

- Tato - mówię, pochylając się nad stołem. - Wiedziałaś, że mama zmyśla różne rzeczy na mój temat?

- Julie, wydaje ci się, że miałaś trudne dzieciństwo. Coś ci powiem: kiedy ja miałem 10 lat, spadłem z drzewa na podwórku. Chester siedział w fotelu i oglądał telewizję. Dosłownie wniósłem do pokoju swoją rękę. Wiedziałem, że była złamana, a ten bydlak nie chciał zawieźć mnie do szpitala przed zakończeniem filmu! Musiałem czekać pół godziny ze złamaną ręką!

- Tato...

- Tak, kotku?

- Złamałam dwie ręce i czekałam cały dzień, zanim wreszcie zawieźliście mnie do lekarza.,

- Złamałaś rękę? - Marszczy brwi. - Kiedy?

- Tato! W drugiej klasie, a potem w czwartej. Musiałam czekać, aż wrócisz i zabierzesz mnie do przychodni. Nie pamiętasz, że nosiłam gips?

- Julie, nie wiedziałem, że kiedykolwiek miałaś złamaną rękę.

Na moją prośbę ojciec czyta list nad pełnym talerzem. Obserwuję jego twarz z przeciwnej strony stołu. Widząc jego minę, wiem, w którym jest miejscu. Napisałam mu, że bardzo kochałam go w dzieciństwie, że był moim bohaterem. Opisałam swój smutek, kiedy przestał mnie bronić i matka całkowicie mną zawładnęła. Czytając fragment o tym, jak mama wymknęła się, żeby schować narzędzia, za których kradzież nas zbił, wybucha płaczem. Łzy płyną po jego twarzy i spadają na zatłuszczony obrus w czerwonej kratę; łkam razem z nim. Czytamy ten sam list, siedząc naprzeciwko siebie. Nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy. Jak zahipnotyzowana patrzę na łzy ojca; wyobrażam sobie, że to żetony, dzięki którym się otworzy. Z jego serca, jak z automatu do gry, posypią się złote monety, prosto w moje dłonie. Dotknę tymi złotymi dłońmi twarzy, zmyję brud i łzy, wylane przez dziewczynę z przyczepy.

Gdy kończy czytać, do ust cisną mi się te same słowa, które chciałam powiedzieć matce. Pragnę, żeby połączyły mnie z ojcem. Teraz mamy szansę wrócić do siebie i wyleczyć rany. Nie mogę się doczekać, aż tata wreszcie mnie zrozumie, po tylu latach. Zrobiłam rysę w jego skorupie i zaraz otrzymam nagrodę.

Ojciec starannie składa mój list i wciska go do kieszeni koszuli.

- Pójdziemy już, Sissy?

Doskonale, chce prywatności. Nie będzie ze mną rozmawiać w tej zatłoczonej, chińskiej knajpie. Odezwie się teraz, na parkingu; idę tuż przy nim, oddychając bardzo, bardzo cicho, żeby nie zagłuszyć ani jednego jego słowa, choćby szeptu.

Odchrząkuje.

- Jak się spisuje samochód?

- Tato!

- Co?

- List! Co masz mi do powiedzenia o liście? Tato, mój list!

- Zawsze mówiłem, że twoja matka jest chora psychicznie. Przykro mi, że to wszystko zrobiła.

- Ale tato, byłeś dorosły, musisz przyjąć odpowiedzialność za własne czyny! Kazałeś mi zjeść brudną chusteczkę! Na miłość boską, tego się nie robi dziecku! Przepraszam cię za krzywdę, którą wyrządziłeś mi jako dorosły człowiek!

- Cóż... - prycha tata. - Bardzo dobrze zrobiłem. Od tej pory już nigdy nie rzuciłaś na podłogę zasmarkanej chustki, prawda?

Prawdą jest to, w co wierzy twój umysł. A wiarę budują osoby, które cię wychowują. Jeśli ktoś zdeformuje twoje myśli, koniecznie musisz znaleźć coś, co pomoże ci je wyprostować.

Po tym wieczorze z tatą zrozumiałam, że w tym procesie jestem zdana tylko na siebie. Patrzyłam w lustra, żeby uspokoić się w czasie kontaktów z rzeczywistym światem: powrotami do czarnej dziury mojego życia w rodzinie i wyprawami poza bańkę bezpieczeństwa. Sprawdziałam, jak daleko mogę odejść od lustra, zanim stare myśli przyćmią te nowe, dobre. Czasami docierałam tylko do kuchni albo na schody na ganku. Zdarzało się, że wytrzymywałam pół dnia bez patrzenia na siebie w lustrze.

Nadchodzi lato. Buduję w sobie siłę, biorę rozbieg. Dotykam się, próbując pobudzić apetyt. Uciskam skórę palcami, uderzam pięściami w nogi, żeby rozruszać skurczone mięśnie. Często się kąpię, żeby urozmaicić doznania fizyczne, dzielę dzień na krótsze części, które mnie nie przerażają.

Na kartkach, zatytułowanych Trzeba zrobić, zapisuję: wstać, umyć włosy, zjeść. Za każdym razem, gdy wykonam zadanie z listy, wykreślam je z radosnym poczuciem osiągnięcia celu. Przechodząc obok lustra, zerkam w nie i cieszę się pięknem, które tam widzę. Mój uśmiech stał się bardziej naturalny, już nie musi minąć chwila, żebym zorientowała się, że oglądam własne odbicie. Każde zerknięcie w lustro dodaje coś do mnie, jakbym nawlekała na nitkę kolorowe, styropianowe kulki, którymi w drugiej klasie ozdabialiśmy sale przed imprezami. Taką dekoracją zasłaniam gasnącą przeszłość.

Powoli odzyskuję instynkty, więc mogę się coraz bardziej oddalać od swojego inkubatora. Dłużej zostaję w prawdziwym świecie i wracam mniej przerażona, gdy czuję, że zalewają mnie fale. Kiedy zaczynam tonąć, wyciągam długopis i za jego pomocą wracam na powierzchnię, pisząc wszędzie: na serwetkach, papierze toaletowym, torebkach, własnej nodze. Notuję swoje myśli, przeplatając je słowami, które dopiero poznaję. Wyrывam się z obłądu, wydobywam się z dołka. Zapełniam całe zeszyty wrażeniami z tych chwil; między gęsto zapisane kartki wsuwam skrawki papieru, serwetki, na których rozmazał się atrament, gdy gorączkowo coś notowałam.

Moje życie toczy się teraz trzema torami: w lustrze, w świecie i gdzieś pomiędzy nimi, jakby te dwa światy były oceanami, które muszą się wymieszać, zanim jeden całkowicie pochłonie drugi.

Kupiłam fioletową matę do jogi, mój pierwszy „sprzęt” na drodze do zdrowia. Kładę się na niej i wiję jak niedożywiony robak, wykonując własne, żałosne wersje wszystkich ćwiczeń, jakie tylko przychodzą mi do głowy. Zaczynam jeździć na rowerze, starym, zielonym schwinnie z moją szczęśliwą cyfrą, siódemką, namalowaną na ciężkiej ramie. Z początku udaje mi się pokonywać niewielkie odległości, tylko do drogi i z powrotem; po jakimś czasie mogę już objechać cały kwartał; wreszcie wypuszczam się na pagórki. Pokonuję je w ślimaczym tempie, sapiąc i dysząc w sierpniowym upale. W nogach buzuje mi krew. Czuję się tak, jakby przenikał mnie prąd życia, elektryczności, podniecenia. Mam niejasną wizję zdrowia; wydaje mi się, że jest już blisko i muszę je uchwycić, żeby się nie rozproszyło. Rozbieram się i przyglądam swojemu ciału w lustrze. Zmienia się z dnia na dzień. Wydaje mi się, że rosnę: wyciągam się w górę, wydłużają mi się włosy, dostrzegam delikatny zarys mięśni na nodze. Niebieskie żyłki znikają, bo sama wypomowałam w nie krew.

Siedzę w poczekalni pierwszego klubu sportowego w moim życiu, do którego zamierzam się zapisać, i wypełniam formularze zgłoszeniowe. Jeden z nich zawiera pytania:

Czy kiedykolwiek był Pan/była Pani poddana długotrwałej farmakoterapii?

Czy kiedykolwiek miał Pan/miała Pani problemy z sercem?

Płytki oddech?

Bóle w klatce piersiowej?

Hospitalizacje?

Zabiegi chirurgiczne?

Przewlekłe choroby?

Uczulenie?

Odpowiedzi twierdzące proszę rozwinąć.

Jak to, rozwinąć? Na stronie pozostawiono za mało miejsca. Poza tym, odpowiedź na te wszystkie pytania była twierdząca w przeszłości. Przeszłość okazała się kłamstwem, więc czy mam teraz napisać „tak”? W klubie pytają, czy jestem naprawdę chora. Nie jestem. Zgadza się?

Przy każdym pytaniu w kwestionariuszu wpisuję czarnym długopisem wielkie *NIE*.

Jest piękna noc, a ja idę na spotkanie z chłopakiem, który jest równie wrażliwy jak ja i wymaga takiej samej troski. To mój rówieśnik, delikatny i przystojny. Tak bardzo chcę z nim być, że opuszczam bezpieczny obszar,

który rozciąga się w promieniu 15 kilometrów od mojego domu. Wielki, srebrny księżyc wisi na szarym, zimowym niebie. Gdzieś w oddali nikną światła miasta. Jadę na wieś. Mijam przychodnię, gdzie wszystko się zaczęło. Dziesięć lat nie widziałam tego piętrowego, nieciekawego budynku; nie pomyślałam o nim ani razu od chwili, gdy poznałam prawdę o swoim życiu. Weiskam pedał gazu i uciekam, jakby przychodnia mogła mnie schwytać. Dojeżdżam na miejsce. Padam w ramiona mojego chłopaka i opowiadam mu swoją historię, pierwszy raz naprawdę ją rozumiejąc. Mam wrażenie, że z ust wysypała mi się już lawina szorstkich głązów. Teraz moje słowa są gładkie jak oszlifowane kamienie szlachetne.

Zbieram się na odwagę, żeby zadzwonić do przychodni i poprosić o moją kartę zdrowia. Jestem już gotowa: zobaczę to, co oni widzieli. Znam prawdę, więc jestem dość silna, żeby lektura nie wytrąciła mnie z równowagi. Przyjeżdżam po kartę i czekam w poczekalni, gdzie w dzieciństwie przesiadziałam tyle godzin. Na ekranie telewizora zmieniają się reklamy lekarstw i operacji, jakby to były zabiegi upiększające na farmie piękności. Reklamy ukazują ubranych w pastelowe stroje, szczęśliwych ludzi, którzy biegają po polach, roześmiani.

Wracam w kolejne miejsca, dokąd zabierała mnie matka. Niektórzy lekarze już zmarli, inni się przenieśli. Chirurg, który zoperował mi nos, wyjechał z miasta, nie zostawiając adresu. Wiele było pojedynczych wizyt, więc nie mogę sobie przypomnieć przychodni ani nazwisk lekarzy. Miałam przecież dziewięć, 10, 11 lat. Czasami do nowego doktora jechało się godzinę. Jeśli nie spodobał się matce, już tam nie wracałyśmy. A on nie przysyłał wyników badań do lekarza prowadzącego. Matka po prostu nie odbierała wyników stwierdzających, że jestem zdrowa.

Miałam coraz więcej danych. Gdy listonosz przynosił kopertę, natychmiast ją rozrywałam. Sto pięćdziesiąt stron zmarnowanego czasu. Sto pięćdziesiąt stron utraconej niewinności.

«

List s. 175 - tłumaczenie

Uniwersytet Stanu Ohio
Oddział kardiologii

6 lipca 1984 r.

Dr.

Pacjentka: Julie Gregory

Szanowna dr.

Dziś rano przyjąłem Julie Gregory. Czuje się bardzo dobrze. Poprosiła o zwiększenie dawki atenololu (dotychczas brała 25 mg - prosi o dwukrotnie większą dawkę). Nie sprzeciwiłem się, jednak chciałbym powtórzyć badanie EKG przed wdrożeniem nowej dawki. Pacjentka wciąż ma częstoskurcz przy wysiłku. Zleciłem powtórzenie badań tarczycy, chcąc wykluczyć tego typu zaburzenia jako przyczynę.

Wynik EKG jest zbieżny z poprzednimi, wykazuje niewielkie fale delta i skrócenie PR. Jeśli zleczone badania nie wykażą niczego niepokojącego, wyrażę zgodę na podwojenie dawki beta-blokera. Matka pytała, czy pacjentka może w czasie wakacji wyjechać na wycieczkę szkolną. Nie widzę przeciwwskazań.

Proszę o wizytę kontrolną w lipcu przyszłego roku, za zgodą Pani doktor.

Z poważaniem

Dr.

Oddział kardiologii

<<

W dokumentacji dotyczącej cewnikowania serca jest list, który mój kardiolog napisał podczas wizyty kontrolnej, gdy miałam 15 lat.

Byłeś dorosłym człowiekiem, doświadczonym lekarzem. Jak mogłeś to przeoczyć? Jaka 15-latka idzie do kardiologa, żeby rozmawiać o dawkach atenololu?

Jako lekarz znasz się na zachowaniu ludzi; umiesz natychmiast rozpoznać kłamstwo. Nie sądzisz, że miałam ciekawsze zajęcia niż przychodzenie do twojego gabinetu? Jesteś pewien, że to nie moja matka przyszła na wizytę? Kto opowiadał ci o nowych objawach, kto mówił, że prosiłam o zwiększenie dawki leku? Kto pochylał się ku tobie i przekrzywiając głowę, mówił o tym, jak niebezpieczne są dla młodej pacjentki podróże, uprawianie sportu, spotkania z przyjaciółmi? Czy to możliwe, że jesteś tym samym lekarzem, który zaledwie dwa lata wcześniej stanowczo powiedział mojej matce, żeby przestała się starać o zapisanie mnie na operację serca? A teraz siedzisz z nią spokojniutko i rozmawiasz o podwojeniu dawek atenololu?

Hm... Tak właśnie myślałam.

Słabowite dziecko z wadą serca umarło. Jestem teraz prawdziwą kobietą, mam ciało i temperament. Potrafię wyrażać swoje myśli, uczucia, chęci i życzenia. Chodzę wyprostowana po sklepie spożywczym. Rozmawiam z ludźmi. W kontaktach z mężczyznami zachowuję się jak kobieta, a nie jak łania w okresie rui. Gdy opada ze mnie zasłona łagodności, narasta poczucie, że pod skórą mam coś bardzo złego i mrocznego, co próbuje się wydostać na zewnątrz.

Nie mogę powstrzymać wściekłości. Bucha ze mnie. Mam chęć pourywać głowy ekspedientom, operatorom telefonicznym, każdemu, kto wydaje mi się zbyt powolny. Jestem dokładna i bezlitosna. Oni wszyscy są niekompetentni. Głupi. Bezwartościowi. Chcę ich bić packą na muchy. Po takich chwilach ślepej furii godzinami zastanawiam się nad swoim postępowaniem: wyżywałam się na kimś, tak jak kiedyś moja matka na mnie, na przygarniętych dzieciach i lekarzach; wściekała się na każdego, kto był zbyt słaby, żeby odeprzeć atak. A teraz ja chcę krzywdzić ludzi, wywoływać w nich poczucie winy, podważać ich wiarę w siebie, tak jak moja matka robiła z lekarzami, którzy mnie badali. Muszę przestać.

Podczas terapii shen kładziesz się na hamaku zawieszonym nad stołem. Hamak wisi w słabo oświetlonym, cichym pokoju, a terapeutka łagodnie

przesuwa ręce tuż nad twoim ciałem, najczęściej nad brzuchem, gdzie w nerwach pomiędzy mostkiem i miednicą tkwią zablokowane emocjonalne urazy. Później masz głęboko oddychać, żeby uwolnić emocje. Judith, moja terapeutka, zaleciła dwa miesiące takich sesji. Po rozmowie postanawia, że nie będę za nie płacić.

Leżąc w kokonie shen, wnikam w głąb siebie. Jesteśmy w połowie terapii, pomimo sceptycznego nastawienia całkowicie się otwieram. Pod dłońmi Judith czuję się tak, jakbym dryfowała. Jest ciepła, łagodna, pełna współczucia. Nigdy nie czułam się tak bezpieczna. Nasze sesje zwykle przebiegają w milczeniu, ale dziś prosi, żebym wyobraziła sobie pierwszy raz, gdy poczułam, że coś jest nie tak.

Przypominam sobie. Widzę dziewczynkę z krótko ostrzyżonymi włosami. Moje pięści same się zaciskają. Dziewczynka trzyma w dłoni packę na muchy. Jej usta wykrzywia uśmiech łudząco podobny do uśmiechu matki.

- Widzę ją.

- Ile ma lat, Julie?

Zamykam oczy, broniąc się przed tym widokiem.

- Jedenaście - warczę. - Nie cierpię jej!

- Dlaczego? Jest taka mała.

- Biła dzieci. Biła, aż zaczynały wrzeszczeć. Nienawidzę jej! Chcę ją zabić. - Oddycham coraz szybciej.

- Już dobrze, Julie, zostawmy ją. Oddychaj spokojnie.

- Nienawidzę jej. Judith, nienawidzę!

- Dobrze, wyrzuć to z siebie. Zniknęła?

Mój oddech się uspokaja.

- Teraz przenieś się w późniejsze czasy. Ile miałaś lat następnym razem, gdy się zorientowałaś, że jest źle?

Leżę na łóżku w pokoju Danny'ego. Słyszę głosy przez cienką ścianę w przyciepie.

- Mój Boże. Miałam 12 lat. Wieczorem, w łóżku, rodzice kłócili się z mojego powodu. Sprzeczali się o to, co ze mną zrobić. Chciałam wziąć kuchenny nóż i wbić go sobie w brzuch, zanim oni mnie zamordują.

- Widzisz 12-letnią dziewczynkę. Leży w łóżku. Stoisz w pokoju, patrzysz na nią. Co chcesz jej powiedzieć?

- Powiedzieć? Nic jej nie powiem! Muszę ją stamtąd zabrać, Judith! Ci ludzie to wariaci! Ona nie może tam zostać. Zniszczą ją. Muszę ją zabrać natychmiast. Teraz! Nie czekając, aż jakiś gorliwy opiekun społeczny zacznie tu szukać niewidzialnej trucizny. Muszę ją zabrać, Judith! Muszę!

- Dobrze, zrób to. Weź ją na ręce i wynieś z przyczepy. Udało się. Po latach wciąż jest przy tobie, bezpieczna. Co jej powiesz?

- Och, Judith - Zwracam do niej rozpromienioną twarz. - Jest taka cudowna; będę jej codziennie powtarzać, że jest piękna i że bardzo ją kocham. Powiem, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co przeszła, i przyrzeknę wynagrodzić jej to miłością. Będzie dorastać otoczona moją czułą troską, więc całkowicie wyzdrowieje. Już nigdy jej nie dopadną.

To dała mi terapia shen.

Teraz jestem gotowa do następnych spotkań z psychoterapeutką. Na ogół nie czuję się jak klientka, lecz raczej jak specjalistka, która za własne pieniądze uczy psychoterapeutkę o zespole Miinchhausena per procura. Odpowiadam na jej pytania: „Jak to możliwe, że lekarze dali się nabrać? Dlaczego nikt nic nie zauważył? Nie mieliście sąsiadów? Naprawdę byłaś chora?”

Podczas sesji wciąż zdarza mi się płakać, bo mam poczucie winy. Zdradziłam własną matkę, ujawniłam jej tajemnice, choć kiedyś tak jej wierzyłam. Czuję się okropnie z powodu własnego sekretu. Piszę i piszę o tym, jak się czuje człowiek, gdy go rozcinają, a wąskie usta matki mówią: „Tak kazał pan doktor, kochanie”. Matka opróżniła mnie i wypełniła od nowa, jakbym była woreczkiem z lekarstwem podawanym w kropłówce. Wierzyłam, że jestem chora, bo taką widział mnie świat.

Terapeutka wyjaśnia, że moja matka jest ludożercą. Chciała jeść moje żywe ciało, szarpać je. Dlatego podała mnie na tacy lekarzom, żeby mnie pocięli. Im dłużej będę miała wyrzuty sumienia, że ją zdradziłam, tym dłużej sama będę wchodzić na tę tacę.

A jednak właśnie ta dłoń, która pchnęła mnie w przepaść, pomogła mi się z niej wydostać. Tylko osoba, która mnie biła, mogła mnie uratować przed biciem. Chciała mnie zabić, ale zabiłaby siebie samą, gdybym ja nie poszła pod nóż. Od samego początku traktowała mnie jak alibi, potwierdzenie własnej niewinności. Wykończyłaby mnie za najdrobniejszy sprzeciw, choćby tylko za buntownicze myśli. Ukształtowała mnie bez trudu; tak jak przesuwają się szczotką po spodniach, żeby wszystkie włoski ułożyły się w jedną stronę.

Wmawiałam sobie, że nic się nie stało. To normalne, że dziecko poświęca się dla matki. Uważałam te słowa za swoje własne. Oplatała mnie pajęczyną. Jeśli lekarze nie potrafili jej przejrzeć, to czyja mogłam?

Nie mogłam - do trzydziestki. Teraz widzę ją tak wyraźnie: stoję na kłifie, a ona patrzy na mnie z plaży rozciągającej się poniżej. Łączy nas tylko

jedna lina, którą jestem opasana. To mój głód związany z najintymniejszym, najgłębszym emocjonalnie kontaktem, jaki istnieje, czyli z dotykiem matki. Doznania mniej intensywne niż te, które ona mi zapewniła, po prostu mi nie wystarczają.

Dotyczy to także ludzi w moim życiu. Moje relacje z nimi, podobnie jak związek z matką, natychmiast stają się bardzo intensywne, czasami gwałtowne i agresywne. Zaczynam zauważać, że otaczam się nieszczęśliwymi osobami, jeszcze bardziej nieszczęśliwymi niż ja. Ach, tak, policzę ci emocjonalne rany. Zobaczmy... 100, 200... Tak, nadajesz się. Przy nieszczęśliwym partnerze czuję się pewnie, wiem, że mogę o kogoś zadbać. Wśród zrównoważonych ludzi, którym nic nie dolega, widzę własne rany, psychiczne złamanie i przemieszczenie.

Zaczynam więc od nowa. Gdy już coś zniszczę albo gdy druga osoba oplata się wokół mnie jak bluszcz, odchodzę, szukając kolejnej szansy na związki z ludźmi - związki, które nie pochłoną mnie całkowicie.

Wyjeżdżam z Ohio. Mój dom na farmie się wali; południowa ściana obsuwa się do wąwozu. Podchodzę do niej z młotkiem. Tam kiedyś wisiało największe lustro. Biorę zamach i uderzam raz po raz, wykrzykując imiona osób, które mnie skrzywdziły. Kawałki starej tapety znikają w dziurach, które robię w płycie kartonowo-gipsowej. Rozpalam ogień na podwórku i wrzucam do niego pudełko z ciastem w proszku, kopie mojej dokumentacji medycznej, świadectwa ze szkoły, z piątkami i dwójkami, listy od chłopaków oraz od mężczyzn, różne rzeczy, które nie pasowały do mnie wtedy i nie pasują teraz - przedmioty, które zbierałam od czasu, gdy pierwszy pożar odebrał mi wszystko, co kiedykolwiek kochałam.

Wiatr unosi popiół wysoko w nocne niebo; szarawe płatki wyglądają tak, jak wyobrażałam sobie swoje ciało, lekkie i cienkie, podobne do liści klonu. Zamykam tylne drzwi mojego pozbawionego życia domu. pustego jak kokon poczwaraki, która się przeobraziła. Pakuję do starego kabrioletu gitarę, papierową torbę z ubraniem, warzywa i sok, wyjeżdżam o północy. Jadę prosto do Los Angeles, gdzie z dnia na dzień można zacząć od zera, gdzie można wtopić się w tłum ludzi, gdzie nikogo nie obchodzi, czy żyjesz, czy zdychasz na chodniku.

Z każdym przejechanym kilometrem, który rejestruje licznik, wspomnienie mojej matki rozpada się trochę bardziej; podmyte klify osuwają się w głębinę mojej pamięci. Podobnie jak zakupy po wizytach u lekarzy, które

odcinały mnie od tego, co działo się wcześniej w ciągu dnia, tak szybka i nagła zmiana miejsca zamieszkania podważa moją wiarę we wspomnienia. Im bardziej aklimatyzuję się w normalnym świecie, tym mniej realny i wiarygodny wydaje się świat, z którego pochodzę.

Przeżyłam piekło, choć nikt tego nie zauważył. Wyrwałam się z niego, choć nikt tego nie potwierdzi. Teraz, po latach, tysiące kilometrów od dawnego domu, w moich myślach zaczyna się pojawiać cień wątpliwości.

Nie mogła być aż tak zła. Do tej pory na pewno się zmieniała. Robiła to, co robiła, bo po prostu musiała. Wyżywała się na mnie jak molestowane dziecko na lalce. Teraz, gdy to wszystko minęło, na pewno stała się zupełnie innym człowiekiem.

W ten sposób do niej wróciłam. Im więcej zmian wprowadzałam w swoje życie, tym więcej traciłam. Im więcej traciłam, tym więcej potrzebowałam. Tym bardziej brakowało mi matki, która by mi pomogła, do której bym należała. Desperacko zaglądałam w oczy innych matek, marząc, że mnie przytulą jak małe dziecko - a tego chciała ode mnie Sandy. Pragnęłam położyć głowę na kolanach jakiejś matki. Gdy w środku nocy ogarniała mnie panika, uspokajałam się, wyobrażając sobie, że na krawędzi mojego łóżka siedzi dobra, łagodna mama; spokojnie głaszcze mnie po głowie, odgarnia niesforne kosmyki za uszy, delikatnie drapie palcami, aż moja czaszkę zaczynają przesywać lekkie impulsy, jak spadające gwiazdy. Leżę z głową ciepłym swoim rąk.

Nie widziałam jej 7 lat. Nasze ostatnie wspólne zdjęcie zostało zrobione w Dniu Matki. Siedzimy na kłodzie w lesie, gdzieś na szlaku, jemy kanapki i uśmiechamy się do aparatu. Świeżo ufarbowane na blond włosy mamy lśnią w słońcu.

Kilka miesięcy później będę leżeć skulona przy schodach, czując, że moje życie rozpadło się na kawałki, a ona wyruszy do Montany, porzucając wszystko, żeby zacząć od nowa. Teraz, tak daleko od przeszłości i przeprowadzek co pół roku, poszukałam w pamięci skrawków naszego życia, żeby przywołać jej obraz; z tych włókienek pamięci stworzyłam postać matki, która macha do mnie, jest tuż-tuż, prosi, bym do niej przyszła.

Pewnego popołudnia - mam wtedy 31 lat - wstrzymuję oddech i wykręcam jej numer.

- Sandy? - Nie mogę się zmusić, żeby nazwać ją mamą. - Cześć. Tu Julie. Nie wiem, czego się spodziewać: może gniewu, może obwiniania...

- Sis? Och, mój Boże, Julie, jak dobrze słyszeć twój głos. Gdzie jesteś? Zamartwiałam się o ciebie.

Tak zaczął się stopniowy powrót do matki. Podczas kilku rozmów telefonicznych odmawiam podania jej swojego numeru, choć o to prosi. W końcu ulegam i stwarzam jej możliwość skontaktowania się ze mną. Przyrzeka, że nie będzie dzwonić za późno; w ten sposób przeprosza mnie za tamte samobójcze telefony w środku nocy.

W Los Angeles czuję się samotna. Mężczy mnie anonimowość. W Ohio wyróżniałam się z tłumem. W Los Angeles wszyscy się wyróżniają, więc nikt się nie liczy. Podaję ludziom swój numer telefonu, choć wiem, że nigdy nie zadzwonią. Im bardziej pragnę kontaktu, tym mniej go zyskuję. Mieszkańcy Los Angeles wyczuwają, że ktoś jest w potrzebie - i trzymają się od niego z daleka.

Moja matka stała się więc ogniwem łączącym mnie z lepszymi ludźmi, takimi, których co 24 godziny nie zmywa przypyływ. Zwierzam się jej, że ciężko mi się żyje w wielkim, pustym mieście.

- Zawsze możesz wrócić do domu, Sis.

„Do domu, Sis”. Mysi o powrocie do matki wydała mi się absurdalna. Byłam jednak tak znuzona samodzielnością, że pozwoliłam, by o mnie zadbała.

Przez rok przysyłała mi paczki z rzeczami, których potrzebowałam, ale na które nie było mnie stać. Kiedy policja założyła blokadę na koło mojego samochodu, wysłała czek, żebym mogła zapłacić mandat. Pomagała, gdy było mi bardzo ciężko. Pierwszy raz w moim życiu zachowywała się jak prawdziwa matka. Nie musiałam jej ratować. Potrzebowałam jej, a ona mi pomagała, mówiła wszystkie właściwe słowa, zawsze dzwoniła w samą porę. Moja czujność wyparowała. Matka się zmieniła, próbuje mi wynagrodzić tamte cierpienia. Nie musimy nawet rozmawiać o tym, co się stało. Wystarczy, że mnie chce.

Sandy przyjeżdża po mnie do Great Falls w Montanie. Mam niewiele pieniędzy, jeszcze mniej planów na przyszłość. Chciałam napisać książkę o swoim życiu, ale najbardziej potrzebuję teraz matki.

Muszę wiedzieć: czy naprawdę jest osobą, którą słyszałam w telefonie, czy na darmo rozbudziłam w sobie nadzieję.

Chce mi podarować mały dom, niedaleko swojego, żebym mogła wypocząć i zapuścić korzenie. Zamieszkać tam z moim pieskiem, Lulu, i wszystko będzie dobrze, bo wreszcie odzyskam mamę.

Do Montany leci się z dwiema przesiadkami, coraz mniejszymi samolotami. Ostatni leci przez puste niebo jak puszcza uwiązana do latawca.

Wysiadam na małym lotnisku w Great Falls, obładowana bagażem na nowe życie; niosę pieska w cętkowanej torbie na ramię, mam ubrania i książki. Zauważam matkę.

Mój Boże, życie źle się z nią obeszło.

Z trudem ją rozpoznaję. Nie wygląda na osobę zdolną do strasznych czynów. Ma obrzękłą twarz, jakby pod skórą zaczynało się zapalenie. Za nią

stoi kilka osób, które nazywa rodziną. Przedstawia swojego męża, Eda, i dwoje adoptowanych dzieci, Tinę i Paula. Przełykam z trudem.

Zatrzymujemy się przed budynkiem lotniska, przy załosnym, wypchanym grizzly, stojącym na tylnych łapach, co ma wyglądać groźnie. Ed robi nam zdjęcie. Mama każe dzieciom się uśmiechnąć; rozpromieniają się tak jak my kiedyś. Ona ugina nogę jak modelka, to też się nie zmieniło.

Jedziemy minivanem na ich ranczo, oddalone o 150 kilometrów. Mama chce się zatrzymać w restauracji Ponderosa, żeby uczcić mój przyjazd. Siadamy przy stole z płyty październikowej. Zaczynamy przełamywać lody. Jestem dorosła, rozumiem, że moja matka ma teraz nowe życie. Przyjechałam tu, żeby znaleźć w nim swoje miejsce. Bardzo pragnę, by było nam dobrze razem.

Znad talerza ze stekiem i kartoflami pieczonymi w folii uważnie przyglądam się Tinie. Ma 11 lat, a jej brat, Paul, 4. Tyle samo lat dzieli Danny'ego i mnie. Tina jest drobna, jak ja kiedyś, i ma śmiesznie potargane włosy. Nosiłam taką samą fryzurę, gdy mama kazała mi ostrzec moje długie loki. Skubiąc jedzenie, zerkam na matkę, staram się czytać między wierszami, gdy rozmawia z Tiną i Paulem. Sprawdzam, czy wciąż jest kobietą z mojego dzieciństwa.

Nie jest.

Wszystko w porządku, dzieci się śmieją, ona i Ed naprawdę do siebie pasują. Matka nosi na palcu szeroką obrączkę z brylantami. Gdy wreszcie docieramy do domu, dzieci wyciągają prezenty dla mnie i piszczą:

- Będiesz naszą starszą siostrą?

Mama przynosi z kuchni tort ze świeczkami. Nigdy przedtem nie powitano mnie tak w rodzinie. Jestem wzruszona. Stajemy wszyscy przy lodówce i ustawiamy włącznik czasowy taniego aparatu ze sklepu Kmart. Tyle tu uczucia, że wybucham płaczem przy kuchennym stole - z drewnopodobną okleiną, takim jak ten, przy którym przesiedziałam tyle nocy w Ohio, rozmawiając z Sandy. Bardzo chcę się mylić. Bardzo chcę, żeby znikły wyrzuty sumienia, które zaczną mnie nękać, jeśli jeszcze raz nazwę ją „mama”.

Przygotowała dla mnie pokój, przyniosła elektryczny koc, bo wie, że nocami marznę, i dodatkowe poduszki, które mogę sobie wsunąć pod kolana. Wyjęła najlepsze ręczniki. Pokazuje mi, gdzie są różne rzeczy, traktuje mnie jak gościa. Kupiła mi trochę ubrań, dała nową pościel w wiosennych kolorach; ma nadzieję, że mi się spodoba. Kładę się do łóżka i zmuszam do wypowiedzenia słowa, którego nie używałam 7 lat.

- Dobranoc... - Słowo uwięzło mi w gardle, tak bardzo się odzwyczaiłam. - Mamo.

Gasi światło.

- Dobranoc, Sis.

Śpię spokojnie jak małe dziecko.

Nazajutrz wszyscy wstają wcześnie. Mama i Ed pracują na dworze, a dzieci siedzą przy stole, pochylone nad miseczkami płatków śniadaniowych.

Dziś obejrzę farmę. Dom, w którym mieszka mama z rodziną, to przyczepa podwójnej szerokości, choć na pierwszy rzut oka tego nie widać, za sprawą dobudówek. Na podłogach leżą ładne dywaniki, na ganku stoi betonowa geś w sukience z kraciastej bawełny. W pokojach dzieci pełno jest zabawek i kaset wideo. Tina ma łóżeczko z baldachimem w pastelowych kolorach, jak ja kiedyś. Paul śpi w łóżku w kształcie samochodu wyścigowego. Dobrze to wszystko wygląda.

Zaczynam jednak zauważać inne szczegóły. Mama ma już kilkaset par butów. Tkwią w dużych pudłach; czubki i obcasy wystają z otworów i spod kartonowych pokryw, jakby chwytały powietrze. Pudła stoją bezładnie jedne na drugich. Zauważam jeszcze więcej butów, w czarnych torbach na śmieci, w szopie i małych przyczepkach samochodowych stojących na podwórku.

Żadnych sąsiadów. Działka mamy rozciąga się na kilkudziesięciu hektarach i chociaż dom stoi tu przy drodze, to trzeba by jechać wiele kilometrów, żeby natrafić na inne ludzkie siedziby. Wychudzone, uratowane przed rzeźnią konie z moich czasów teraz zostały zastąpione dorodnymi ogierami i klaczami rozplodowymi. Na wiszącym kalendarzu w kuchni są zaznaczone okresy rui. Zawsze źrebi się któraś klacz, zawsze można sprzedawać młode. Konie potrzebują obroku i siana, praca przy nich pochłania wiele godzin. Wszystko inne na farmie ma mniejsze znaczenie. W szkole, do której chodzi Tina, uczy się w sumie ośmioro dzieci, od wieku przedszkolnego do szóstej klasy. Zastanawiam się, jak dziecko ma zdobyć choćby minimalną wiedzę w takim otoczeniu. Dyrektor, opiekun i nauczyciel to jedna i ta sama osoba. Latem, podczas wakacji, dorabia jako kierowca ciężarówki.

Przy kolacji zaczynamy się bliżej poznawać, bardzo ostrożnie; próbujemy przybliżyć do siebie nasze światy, kruche jak bombki choinkowe, nie tłukąc ich. Paul coś bełkocze, a mama ze wszystkich sił stara się być

cierpliwa i uśmiechnięta, żeby mi pokazać, jak się zmieniła. Tina jest zbyt milcząca jak na 11 -letnią dziewczynkę. Chcę ją wciągnąć w rozmowę.

- Jak tam w szkole, Tino?

Tina zwraca twarz w stronę mamy, która odpowiada, nie patrząc na nią.

- Cóż, Tina jest opóźniona w rozwoju, była zatruta alkoholem w życiu płodowym. W szkole jakoś sobie radzi, ale zatrzyma się na pewnym poziomie. Trafiła do nas w bardzo złym stanie. Prawda, Tino?

- Tak, mamó.

- Teraz jest znacznie lepiej. Prawda, kotku?

Tina potakuje. Nie mogę skończyć gulaszu. Tina też nie. Przesuwa kawałki po talerzu, opierając głowę na nadgarstku. Wreszcie mówi przeproszająco:

- Nie lubię mięsa.

Tego wieczoru siedzę z mamą przy kuchennym stole i rozmawiamy, tak jak kiedyś, tylko że ja jestem teraz kimś z zewnątrz. Staram się zapomnieć o niepokoju, który zaczął we mnie narastać podczas kolacji.

Mama wspomina dawne czasy ze Smokeyem. Mówi, że urodziłam się w rocznicę ich ślubu. Co roku, szesnastego maja, żałuje, że nie może się z nami skontaktować: ze mną, bo zakopałam się we własnym świecie, z nim, bo jest po prostu zakopany w ziemi. Mówi o swoim nowym życiu tutaj, o tym, jak dobry jest Ed, choćby tylko dlatego, że jej nie bije, jak mój ojciec. Uważa, że coś osiągnęła. On ma brata, wiesz, przyzwoitego czło-wieka, który szuka żony i chce mieć dzieci; już pokazała mu moje zdjęcie. Chciałby się ze mną spotkać. Matka opowiada mi o swoim codziennym życiu na rozległych równinach Montany.

- Przejechaliśmy przez dwa strumyki bez mostów, żeby dotrzeć na szlak w Palookaville, gdzie zaczynała się konna wycieczka. Zrobiliśmy już jakieś 50 kilometrów, kiedy koń Jonasa Walkera zaczął wierzgać. Zrzucił Jonasa, który upadł na skałę i skreślił kark. Trup na miejscu. Pierwszy raz mieliśmy na szlaku telefon komórkowy. Jonas był biały i przyjaźnił się z Indianami. Siuksowie go kochali. Zrobili mu prawdziwy indiański pogrzeb na wzgórzu nad rzeką. Przyzywali duchy, uderzali w bębny. Przyleciały dwa orły. Aż przesyłał mnie dreszcz.

Najbardziej lubię słuchać właśnie takich opowieści mamy. Jej intonacja przywodzi na myśl czytanie Ewangelii lub spokojne, indiańskie gawędy. Nigdy nie mówi tak o moim ojcu lub swoim ciężkim życiu; opowiada o wydarzeniach, od których dostała gęsiej skóry lub które bardzo ją wzruszyły. W przerwach czekając, aż znów zacznie mówić, patrzę na jej obrę-kę, pokryte odciskami dłonie. Jakby sama nałożyła sobie karę w postaci

ciężkiej pracy. Jeden palec, po jakimś wypadku, został krzywo przyszyty i odstaje od pozostałych.

- Jak tam zdrowie, mammo?

- Mój Boże, Julie, cały czas choruję. Popatrz. - Podnosi koszulę, żeby pokazać szeroką bliznę przecinającą plecy od pachy aż do pośladków. Wygląda tak, jakby kret wyrył ukośny korytarz w jej ciele. - Omal od tego nie umarłam. Wycięli mi żebra; omal nie uszkodzili kręgosłupa. Zrosły mi się kręgi.

Chociaż pytam, nie mówi mi, dlaczego właściwie musiała przejść tę poważną operację. Przez tych niekompetentnych, wiejskich lekarzy ma krzywo przyszyty palec. Innym razem, ciągnie, do oczu dostał jej się toksyczny proszek z żarówki, która wybuchła podczas wykręcania. A w zeszłym roku matka była u wielu kardiologów.

- Kazali mi nosić coś, co nazywa się aparatem Holtera. - Mówi to wolno i wyraźnie, żebym zrozumiała. - Zakładają go, żeby rejestrować bicie serca, kiedy pacjent jest w domu. Zapytałam lekarkę, co mi grozi. Bypassy? Operacja serca? Poprosiłam: „Powiedz mi, czego mogę się spodziewać, żebym była gotowa. Rozumiesz?”

Krew odpływa mi z twarzy. Kiedy matka mówi, rozglądam się po kuchni. Na kredensie leżą medyczne książki w twardych okładkach i grube przewodniki farmaceutyczne. Buteleczki z lekarstwami tłoczą się na półce przy kuchence mikrofalowej, zajmują też duży talerz na lodówce.

- Powiedziała, że jeśli takie epizody będą się powtarzały, może być konieczny bardzo inwazyjny zabieg, cewnikowanie serca, wiesz, tak to się fachowo nazywa.

Ściskam krawędź krzesła lodowatymi palcami. Zmieniam temat rozmowy, pytając o Tinę.

- Och, Julie, tej małej było tak ciężko, że nawet sobie nie wyobrażasz. Jej ojciec siedzi w więzieniu, matka jest narkomanką. Stąd wszystkie problemy. Od urodzenia jest upośledzona, miała zatrucie alkoholowe, od którego dzieci wolniej rosną, wiesz? Odkąd tu mieszka, czuje się świetnie. Skończyła pierwszą klasę, ale przyszło jej to z wielkim trudem. Jest tu szczęśliwa. Wiem, że twój ojciec zmienił nasze życie w piekło. Teraz, z dala od niego, jestem lepszym człowiekiem. Sama się przekonasz.

- Tak, mammo, wierzę ci.

Następnego ranka, kiedy mama podlewa kwiaty, piekę 16 kiełbasek śniadaniowych i smażę jajecznicę. Jestem w kuchni z Tiną. Kiełbaski nie trafiają

na stół. Tina bierze je z ręczników papierowych, na których przenoszę je z rusztu na talerz. Przytulam ją do siebie i pokazuję, krok po kroku, jak podgrzać kiełbaski: średnia temperatura, obracanie, aż zrobią się brązowe z każdej strony. Wciskam Tinie łopatkę w rękę i zasłaniam ją, żeby ktoś, kto zajrzy do kuchni, nie zobaczył, co się dzieje. Czujemy się dziwnie podniecone: spiskujemy przeciwko Sandy, robimy coś niedozwolonego. Dosłownie wyskakujemy ze skóry, kiedy do kuchni wpada mama.

- Tina, do jasnej cholery, nie dotykaj piecyka! Ile razy mam powtarzać, że nie wolno ci gotować?

Przerywam jej.

- Sandy, pokazuję Tinie, jak podgrzać kiełbaski, żeby mogła to zrobić, kiedy zgłodnieje. Na pewno będzie wysoka i chuda. Powinna jeść rano trochę białka.

- Co to ma znaczyć, Julie? Mówisz, że nie karmię tej malej? Może jeść, co chce i kiedy chce. Lodówka jest pełna.

Tina zamiera z łopatką w dłoni.

- Śniadanie dzieci nie powinno się składać wyłącznie ze słodkich płatków. Tina mogłaby sobie odgrzewać kiełbaski, gdyby miała ochotę.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, Julie! Ta dziewczyna wie, że nie wolno jej włączać piecyka. Wiesz to, prawda, Tino? Jest opóźniona w rozwoju, rozumiesz? Spaliłaby cały dom.

Opóźniona w rozwoju tak jak ja. Ja też miałam się zatrzymać na pewnym poziomie inteligencji. Spalić dom? Tak jak ty i tata, dla ubezpieczenia. Nikt tu o tym nie wie, więc każdy zrozumie, że nie chcesz ryzykować, bo raz już straciłaś wszystko. Lata życia w odosobnieniu nauczyły mnie logiki. Umieć wyczuć i zobaczyć niewykrywalny, trujący gaz.

Tina, jękając się, przeprosza mamę i próbuje uciec do przedpokoju. Cofam się w czasie, jak przyciągana magnesem, bezsilna w obecności matki. Mogę tylko obserwować rozwój zdarzeń.

Mama krzyczy:

- Tino, wracaj tu natychmiast, wzięłaś dziś lekarstwa? - Chwyta różne fiolki z talerza na lodówce i wysypuje sobie tabletki na dłoń. - Weź teraz, na wszelki wypadek.

Wciska tabletki w rękę Tiny. Mała połyka je bez mrugnięcia okiem.

Ściska mnie w żołądku. Idę do łazienki i wymiotuję. To niemożliwe. To po prostu nie może mnie znowu spotkać. Tina ma 11 lat, tyle samo, co dziewczynka, o której myślałam podczas seansu shen.

„Co jej powiesz, Julie?
Nic nie powiem. Wydostanę ją stąd”.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. Nie będziesz mnie uczyć, jak wychowywać dzieci, jasne? Okropnie wyglądasz. Nic nie wiesz o zdrowiu! Nie dopuszczę, żebyś buntowała tę dziewczynę przeciwko mnie.

Przez resztę dnia wszyscy chodzą na paluszkach, nie chcąc zdenerwować mamy. Ja próbuję ją uspokoić, żeby zdobyć jej zaufanie i dowiedzieć się czegoś o Tinie. Potrzebne mi nazwiska lekarzy, historia choroby, prawdziwe nazwisko dziewczynki. Muszę zawiadomić agencję adopcyjną. Wszyscy starają się ugłaskać matkę, by nie wpadła w szał. To prawdziwie rodzinne przedsięwzięcie.

Ed zaczepia mnie w stodole.

- Julie, moglibyśmy chwilę pogadać? Twoja mama dobrze traktuje dzieciaki. Daje im jeść i kupuje ubrania. Denerwuje się trochę, że Tina ma kłopoty w szkole, ale naprawdę jest dla nich dobra.

Siedząc w kuchni, słyszę, jak mama syczy do Tyny:

- Powiedz jej teraz, Tino. Wejź tam i powiedz jej.

Dziewczynka wbiega do środka i staje przy lodówce.

- Julie. Kocham mamusię. Daje mi jeść i jest dla mnie dobra.

Tina została zaprogramowana, tak samo jak ja kiedyś.

Im bardziej staram się załagodzić sytuację, tym bardziej matka się denerwuje. Trafiłam w czuły punkt, zakwestionowałam jej rację bytu: macierzyństwo. Pokazałam, że znam jej wypróbowany sposób przywiązywania do siebie dzieci.

Przez cały dzień łązi za mną po przyczepie, sapiąc i klnąc. Wieczorem, gdy Tina i Paul już śpią, atakuje mnie otwarcie.

- Okej, teraz usiądziemy i załatwimy sprawę raz na zawsze. Ed, chodź tu! Masz słuchać!

- Sandy, lepiej nie. Nie chcę, żebyś się denerwowała.

- O nie. Nie ujdzie ci to na sucho, pyskata pannico. Usiądziesz tu i porozmawiasz z nami jak dorosła osoba. Co ci odbiło, do cholery? Dlaczego mi to robisz?

- Sandy, naprawdę, nie sądzę... - Urywam, ale czy to nie jest chwila, o której marzyłam? Czy przez te wszystkie lata nie czekałam na odpowiednią okazję? Czy nie chciałam wszystkiego jej wygarnąć? Głęboki wdech. Dam radę. - Okej. Sandy, kiedy byłam mała... No, cóż... Krzywdziłaś mnie, kiedy byłam dzieckiem, i widzę, że to samo robisz teraz Tinie.

Matka mruży oczy.

- Cos' ci powiem! Ta mała jest opóźniona, fatalnie się uczy, nie wyrośnie z niej nic dobrego! Gdybym jej nie przygarnęła, nikt by się nią nie zaopiekował, jasne? Nikt by nie chciał córki tego sukinsyna!

- Sandy, o to mi właśnie chodzi. Tak samo mówiłaś o mnie! Że jestem głupia, że nie wyrośnie ze mnie nic dobrego, że niczego nie osiągnę w życiu.

- Ed, pomożesz mi? Pozwolisz, żeby tak do mnie mówiła? Bądź mężczyzną, daj cos' z siebie. Stan w mojej obronie!

- Cóż, Sandy, ona nic do ciebie nie ma. Wydaje jej się, że ją krzywdziłaś, a teraz robisz to Tinie. To tylko jej zdanie.

- Och! Mój Boże. Nie wierzę własnym uszom. O to więc chodzi! - Matka wpada w histerię. Marszczy brwi, jakby uświadomiła sobie okropną prawdę. - A niech mnie! - Osłupiała, jest zaskoczona. - Przyjechałaś tu, żeby odebrać mi męża! Coś was łączy, prawda? - Klepie się w nogę. - Jak mogłam ci zaufać? - Mój romans z Edem rozwija się w jej głowie z prędkością błyskawicy. Matka wrzeszczy: - Weź ją sobie, Ed, możesz z nią zamieszkać, a ja po prostu umrę!

Jest pierwsza w nocy. Matka biega jak oszalała, wymachuje rękami, chwytając różne przedmioty i rzuca nimi. Ed próbuje ją uspokoić, nie ruszając się z fotela.

- Daj mi spokój! - krzyczy matka. - Ucieknijcie sobie razem, we dwóje. Ja zostanę i odbiorę sobie życie!

Wygrała. Biegnie do swojego pokoju, gdzie o ścianę oparta jest strzelba. Matka uda, że chce się zabić, a Ed ją uratuje. Przygotowała klej, który znów ich połączy, jednocześnie lecząc jej rany. Nikt nie może mieć do niej pretensji, bo to „oni” ponoszą winę za to, że chciała popełnić samobójstwo. O dzisiejszej nocy nigdy nie będzie się mówić. Nie chodzi o Tinę ani o krzywdę, którą wyrządziła mi mama. Nieważne kiełbaski, głodzenie, wynajdowanie chorób, operacje. Matka zapamięta, że tej nocy próbowałam zniszczyć jej małżeństwo z dobrym człowiekiem.

Biegnę do swojego pokoju i klinuję drzwi krzesłem. Matka krzyczy histerycznie, biegając po przyczepie, a Ed próbuje jej wyrwać strzelbę. Opieram się plecami o drzwi. Ogarnia mnie panika, z trudem łapię powietrze. Nie pójdę do niej i nie odbiorę jej broni. Nie odpowiadam za nią i nie będę jej ratować. Pierwszy raz w życiu przychodzi mi do głowy pewna myśl, bardzo silne przeczucie: tak bardzo się od siebie oddaliśmy i tak bardzo się różnimy, że teraz, kiedy matka wymachuje strzelbą, może wcale nie chce jej skierować przeciwko sobie, lecz przeciwko mnie.

Następnego ranka Ed ma mnie odwiedzić na lotnisko. Jestem wstrząśnięta. Wytrzymałam z matką trzy dni. Zabieram psa, ubrania, książki. Zostawiam prezenty i tort, rozsmarowany na wykładzinie w kuchni. Gdy wyjeżdżamy, Sandy siedzi w minivanie na końcu podjazdu, z Tiną. Byle dalej ode mnie, łajdaczki, która rozbija rodziny. Chce obserwować Eda z pewnej odległości, widzieć, że ją zdradza. A Tina, jak ja kiedyś, przyjmuje rolę terapeutki.

Przez półtorej godziny jazdy dowiaduję się, że Ed nie jest mężem Sandy. Kilka lat temu zaczęła używać jego nazwiska i sama kupiła pierścionek. Kamienie to nie diamenty, ale cyrkonie. Dzieci nie są adoptowane. Tina i Paul to dalecy krewni Eda. Gdy próbowano ich wcisnąć kolejnemu członkowi rodziny, który ich nie chciał, mama skwapliwie wykorzystała nadarżającą się sposobność.

- Wiesz - mówi Ed - twoja matka czasami się tak zachowuje. Wtedy trzeba potakiwać i próbować ją uspokoić.

Gdybyś tylko znał prawdę, Ed...

Nie zna. Sandy jest jego pierwszą prawdziwą kobietą. Ed całe życie spędził na ranchu w Montanie, hodując bydło. Nie czytał magazynu „Sweet-harts”. Jeszcze po trzydziestce mieszkał z rodzicami. Sandy zaczęła go na potańcówce. Ed i ja urodziliśmy się w jednej dekadzie - tak jak moja matka i jego matka. Ed nigdy nie zorientowałby się, że w jego otoczeniu jest maltretowane dziecko.

Na lotnisku żegnamy się z zakłopotaniem. Przykro mu, że nam się nie ułożyło. Sandy chciała, żebym zamieszkała w pobliżu. Przy koniach jest tyle roboty, że mała nie daje rady.

- Wiem. Ed. Wiem.

Spisując to wszystko, często zasypiam. Pisanie mnie wykańcza, jakby ktoś wydzierał mi szpik z kości. Trzymam się jakoś przez godzinę, a potem zapadam w ciężki sen bez snów, wywołany strzałami wspomnień, które wciąż zatruwają moją krew.

Pisząc, marzę o tym, żeby leżeć w szpitalnym łóżku. Nie chcę z nikim rozmawiać. Z nikim się spotykać. Nie chcę też być sama. Najlepiej, żeby gdzieś w pobliżu kręcili się ludzie, zajęci swoimi sprawami, którzy w razie czego mogliby mi pomóc. Pisanie o moim życiu jest jak wyciąganie włoska z głębi gardła. Ciągnę i ciągnę, nie czując końca. To bardzo wyczerpujące, więc odpoczywam. Spędzam w łóżku całe dni, pisząc i śpiąc. Czasami śpię, pisząc, czasami piszę, śpiąc. Przypominając sobie, jak przyłożyłam tacie pistolet do głowy, zamykam oczy i zapadam się w pustkę. Budzę się po godzinie, z palcami na klawiaturze. Przez sen tworzę spójny tekst, gdzieś w głębi duszy, nie używając dłoni ani ust, bo przekaz mógłby być niepełny. Potem widzę go przed sobą: dokładnie to, co chciałam przekazać, w najczystszej formie - wcięcia akapitów, styl pełen uczucia. Wzrusza mnie jego piękno. Gdy się budzę, słowa same kierują moimi dłońmi. Zebrały się we mnie, chcą wyjść.

W środku nocy budzą mnie przerażające sny o Tinie w Montanie. Serce wali mi jak młotem. Co ja tu robię? Muszę ją stamtąd zabrać. Nie mogę udawać, że nic się nie stało i że sytuacja nie pogarsza się z każdym dniem. Muszę ją ratować.

Jednak za bardzo boję się matki. Gdy siedziałam na lotnisku w Great Falls, czekając na samolot, ona zadzwoniła do wszystkich osób, do których miała numer, i powiedziała im o moich kłopotach z policją, o nakazie aresztowania. Po powrocie do Los Angeles znalazłam na automatycznej sekretarce wiadomości od ludzi, którzy znają mnie, ale nie Sandy. Którzy mają normalnych rodziców i nie mogą pojąć, do czego może się posunąć biologiczna matka, żeby oczernić własne dziecko i utwierdzić się w swoim szaleństwie.

Jeśli zawiadomię pogotowie opiekuńcze w Montanie i na farmę przyjedzie funkcjonariusz, matka domyśli się, że ja to zrobiłam. Przy opiece społecznej najpierw uda zdziwienie, a potem się zaśmieje, tak, już wiem, to na pewno robota mojej bezdomnej córki. Uroni kilka łez i opowie o swoim najstarszym dziecku, które wiele lat spędziło w szpitalach psychiatrycznych. Pracownik opieki społecznej z Montany na pewno w to uwierzy; nie będzie szukał w pastelowych pokojach, pełnych zabawek i wypchanych zwierząt, nie wykryje delikatnego zapachu trującego gazu.

Tina odpowie na wszystkie pytania na korzyść matki, bo wie, że jeśli ją zabiorą, to zostanie zgwałcona. Ed będzie sobą: dobrodusznym, boleśnie naiwnym chłopakiem z rancza. Paul uczepli się nogi Sandy i zawoła: „Mamuuuuuu!” Opiekun społeczny nie zauważy nic niepokojącego, a moja matka stanie się bardziej czujna albo, co gorsza, przeprowadzi się z dziećmi w nowe miejsce, tak że nie będę już mogła nic zrobić. Muszę to załatwić jak należy. Wrócę do Ohio, tam, gdzie wszystko się zaczęło. Będę tak przebiegła jak moja matka z zastępczym zespołem Munchhausena.

Danny wychodzi po mnie na lotnisko. Cieszymy się, ale nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Nie widział mnie dwa lata, Sandy jeszcze dłużej. W pamięci zachował, podobnie jak ja kiedyś, nieprawdziwy, ładny obraz rzeczywistości. Jeszcze w zeszłym roku, gdy miał 24 lata, poprosił, żeby w prezencie gwiazdkowym dać mu kasetę z nagraniem śpiewu mamy. To jedna z nielicznych dobrych stron naszego życia z nią.

Danny wciąż potrzebuje rodziców. Nie pamięta szczegółów bolesnych zdarzeń, od przeszłości oddzieliła się pracoholizmem i atakami astmy, które zbiegają się w czasie z telefonami mamy. Jest kierowcą rajdowym, pracuje na pełny etat jako inżynier, odnawia stare samochody, byleby tylko zapełnić wszystkie sekundy dnia i skierować myśli w przyszłość. Ma dom z ogrodem, ciągnik i 50 starych aut czekających na naprawę. Zajmuje się tym w każdej wolnej chwili. Wydaje mi się znacznie starszy od swoich rówieśników.

Spisując to wszystko, często zasypiam. Pisanie mnie wykańcza, jakby ktoś wydzierał mi szpik z kości. Trzymam się jakoś przez godzinę, a potem zapadam w ciężki sen bez snów, wywołany strzałami wspomnień, które wciąż zatruwają moją krew.

Pisząc, marzę o tym, żeby leżeć w szpitalnym łóżku. Nie chcę z nikim rozmawiać. Z nikim się spotykać. Nie chcę też być sama. Najlepiej, żeby gdzieś w pobliżu kręcili się ludzie, zajęci swoimi sprawami, którzy w razie czego mogliby mi pomóc. Pisanie o moim życiu jest jak wyciąganie włosa z głębokiej gardła. Ciągnę i ciągnę, nie czując końca. To bardzo wyczerpujące, więc odpoczywam. Spędzam w łóżku całe dni, pisząc i śpiąc. Czasami śpię, pisząc, czasami piszę, śpiąc. Przypominając sobie, jak przyłożyłam tacie pistolet do głowy, zamykam oczy i zapadam się w pustkę. Budzę się po godzinie, z palcami na klawiaturze. Przez sen tworzę spójny tekst, gdzieś w głębi duszy, nie używając dłoni ani ust, bo przekaz mógłby być niepełny. Potem widzę go przed sobą: dokładnie to, co chciałam przekazać, w najczystszej formie - wcięcia akapitów, styl pełen uczucia. Wzrusza mnie jego piękno. Gdy się budzę, słowa same kierują moimi dłońmi. Zebrały się we mnie. chcą wyjść.

W środku nocy budzą mnie przerażające sny o Tinie w Montanie. Serce wali mi jak młotem. Co ja tu robię? Muszę ją stamtąd zabrać. Nie mogę udawać, że nic się nie stało i że sytuacja nie pogarsza się z każdym dniem. Muszę ją ratować.

Jednak za bardzo boję się matki. Gdy siedziałam na lotnisku w Great Falls, czekając na samolot, ona zadzwoniła do wszystkich osób, do których miała numer, i powiedziała im o moich kłopotach z policją, o nakazie aresztowania. Po powrocie do Los Angeles znalazłam na automatycznej sekretarce wiadomości od ludzi, którzy znają mnie, ale nie Sandy. Którzy mają normalnych rodziców i nie mogą pojąć, do czego może się posunąć biologiczna matka, żeby oczernić własne dziecko i utwierdzić się w swoim szaleństwie.

Jeśli zawiadomię pogotowie opiekuńcze w Montanie i na farmę przyjedzie funkcjonariusz, matka domyśli się, że ja to zrobiłam. Przy opiekunie społecznym najpierw uda zdziwienie, a potem się zaśmieje, tak, już wiem, to na pewno robota mojej bezdomnej córki. Uroni kilka łez i opowie o swoim najstarszym dziecku, które wiele lat spędziło w szpitalach psychiatrycznych. Pracownik opieki społecznej z Montany na pewno w to uwierzy; nie będzie szukał w pastelowych pokojach, pełnych zabawek i wypchanych zwierząt, nie wykryje delikatnego zapachu trującego gazu.

Tina odpowie na wszystkie pytania na korzyść matki, bo wie, że jeśli ją zabrają, to zostanie zgwałcona. Ed będzie sobą: dobrodusznym, boleśnie naiwnym chłopakiem z rancza. Paul uczepli się nogi Sandy i zawoła: „Mamuuuusiu!” Opiekun społeczny nie zauważy nic niepokojącego, a moja matka stanie się bardziej czujna albo, co gorsza, przeprowadzi się z dziećmi w nowe miejsce, tak że nie będę już mogła nic zrobić. Muszę to załatwić jak należy. Wrócę do Ohio, tam, gdzie wszystko się zaczęło. Będę tak przebiegła jak moja matka z zastępczym zespołem Munchhausena.

Danny wychodzi po mnie na lotnisko. Cieszymy się, ale nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Nie widział mnie dwa lata, Sandy jeszcze dłużej. W pamięci zachował, podobnie jak ja kiedyś, nieprawdziwy, ładny obraz rzeczywistości. Jeszcze w zeszłym roku, gdy miał 24 lata, poprosił, żeby w prezencie gwiazdkowym dać mu kasetę z nagraniem śpiewu mamy. To jedna z nielicznych dobrych stron naszego życia z nią.

Danny wciąż potrzebuje rodziców. Nie pamięta szczegółów bolesnych zdarzeń, od przeszłości oddziela się pracoholizmem i atakami astmy, które zbiegają się w czasie z telefonami mamy. Jest kierowcą rajdowym, pracuje na pełny etat jako inżynier, odnawia stare samochody, byleby tylko zapełnić wszystkie sekundy dnia i skierować myśli w przyszłość. Ma dom z ogrodem, ciągnik i 50 starych aut czekających na naprawę. Zajmuje się tym w każdej wolnej chwili. Wydaje mi się znacznie starszy od swoich rówieśników.

Ja jestem pisarką błądzącą po niekończącym się labiryncie korytarzy umysłu. Nie mam prawie nic; przyzwyczaiałam się do życia w pustce, bez rodziców. I tak nigdy ich nie miałam. Wychowały mnie książki, prawdę pokazało mi lustro. Moje wypaczone przekonania, jak bezkształtna bryła gliny, trafiły na koło garncarskie i zmieniły się w wysokie, mocne stożki, skierowane w jasne niebo. Dużo przeżyłam. Wiem, jak to jest, przyłożyć własnemu ojcu pistolet do skroni. Znam strach przed śmiercią z ręki rodzica. Wiem, co czuje ktoś okaleczany, osaczany, brany siłą. I wiem, czym jest ucieczka. Dobrze rozumiem, co przeżywa człowiek uwięziony w tożsamości narzuconej przez innych, który wyrwa się z niej i odkrywa prawdziwego siebie.

Wróciłam do Boga. On jest wszędzie. Wiem to, gdy biedronka siada mi na dłoni. Gdy widzę wzruszenie i zachwyt w oczach starego człowieka, pełnych łez. Gdy na niebie płoną jaskrawe kolory, a mnie się wydaje, że w tym udreńczonym świecie jestem jedyną osobą, która naprawdę umie patrzeć.

Wyobrażam sobie, że stoję na brzegu oceanu, wyciągając ręce po całą prawdę, piękno i miłość, które może mi dać życie. Wreszcie odnalazłam spokój.

Jedziemy z bratem szeroką autostradą. Mknimy 130 kilometrów na godzinę jego czerwonym mustangiem ze składanym dachem. Tony płynące z radia przenoszą moje myśli na równiny Środkowego Zachodu. Danny i ja śpiewamy piosenkę *Jeremy* Eddiego Veddera. Danny chwyta dźwignię zmiany biegów i wciska pedał gazu; jedzie szybko jak tata, gdy uciekał. Opieram się wygodnie na siedzeniu obitym czarną skórą, odwracam głowę do okna. Duża łza spływa mi po twarzy. Dwoje najtwardszych dzieci z Ohio, pędząc pustą autostradą, śpiewa piosenkę o utraconym dzieciństwie, bez uśmiechu ani ironii.

Wróciłam, żeby prześladować własną matkę; żeby zdradzić jej tajemnicę, zderzyć z niej zasłonę, która jest jak przyrośnięta do jej skóry. Nie wiem, co dokładnie zrobię, ale muszę powstrzymać Sandy. Nie pozwolę, by pod zmienionym nazwiskiem omamiła kolejną dziewczynkę. Nie dopuszczę, żeby zrobiła z niej zabawkę, którą będzie prowadzić od lekarza do lekarza. Kolejne dziecko nie będzie dla niej misiem czy ciepłym kocykiem. Wyrzuciłam z siebie resztki wyrzutów sumienia. Nie jestem jej nic winna. Dotrę do dokumentów stwierdzających, że w Ohio odebrano jej prawo do

opieki nad dziećmi; znajdę opiekunkę społeczną, która tamtego dnia zabrała moje przybrane rodzeństwo; podam numer ubezpieczenia społecznego matki i poproszę, żeby poszukano w jej przeszłości. Uratuję tę 11-letnią dziewczynkę, siebie w następnym pokoleniu. Przechytrzę moja matkę, bo wiem, że ona jeszcze nie skończyła: nigdy nie skończy.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do pogotowia opiekuńczego.

Podziękowania

*Z całego serca dziękuję Katlerine Boyie - agentce, przyjaciółce, powiernicy - która nieustraszenie wymachiwała pomponami, żeby przeprowadzić mnie przez wszystkie trudne chwile. Bardzo dziękuję Benowi, który we mnie wierzył, oraz pisarzom, na których książkach się wychowałam: I Had It All the Time, Weight Loss for the **Mind**, The **Four Agreements**.*